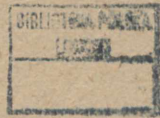
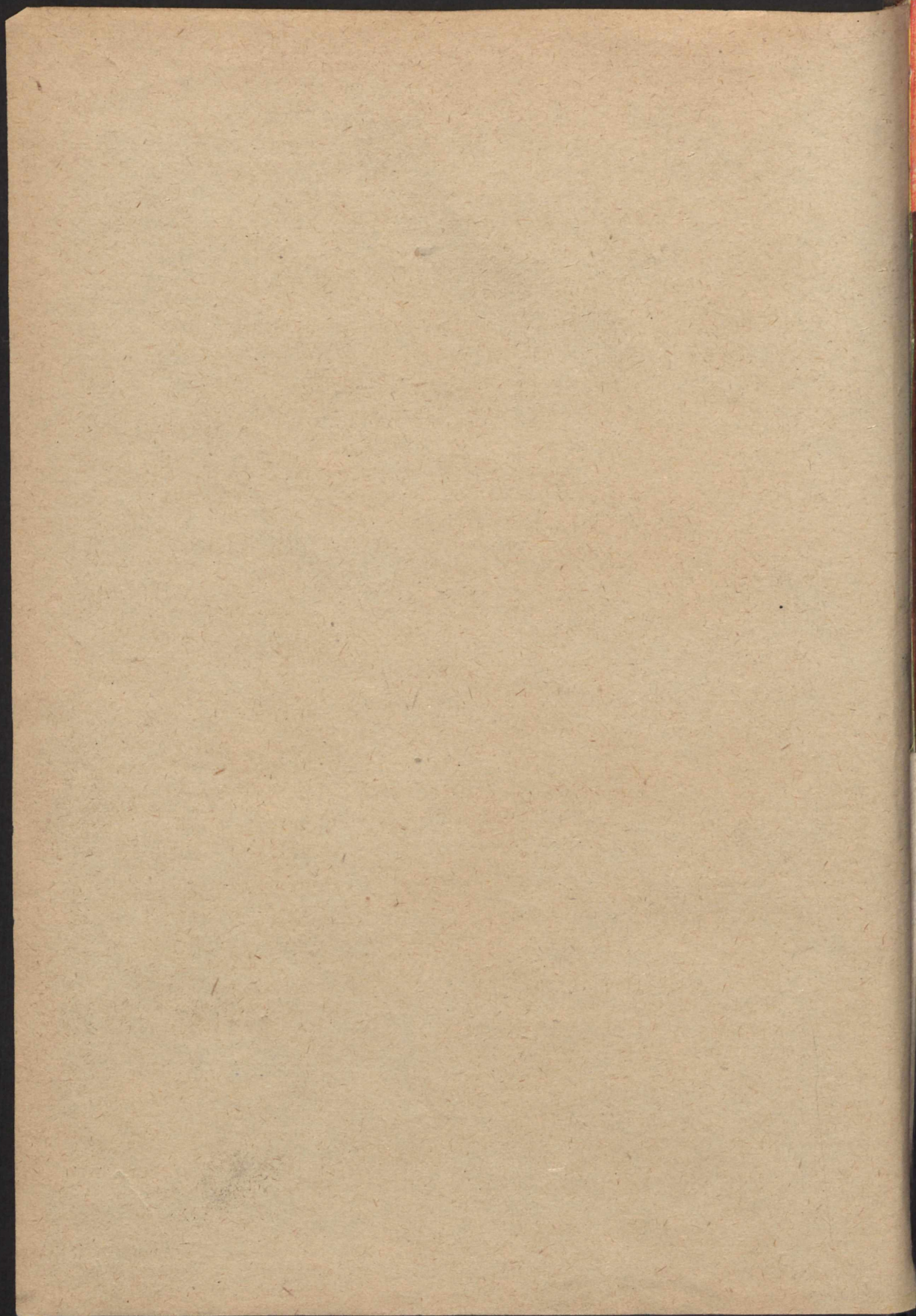


Ex libris Marianorum
domus Bielancensis
№ 930 Dv



600



MIESIĄC



ILUSTROWANY

**KUCHNIA
POLSKA**

ułożyły
J. Izdebska i M. Gałęcka.

PODRĘCZNIK DLA PAŃ, GOSPODYŃ I KUCHAREK,
ułożyła *Jadwiga Izdebska*. Wydanie II, przerobiła i uzupełniła *Marja Gałęcka*.
1600 PRZEPISÓW POTRAW PROSTYCH I WYKWINTNYCH
z uwzględnieniem kuchni jarskiej i dietetycznej.
111 PRAKTYCZNYCH RAD I WSKAZÓWEK GOSPODARSKICH
Dyspozycje obiadów zwyczajnych i wystawnych. Nakrycie stołu. Bufet.
160 RYSUNKÓW i 4 tablice kolorowe.

Cena rb. i kop. 80, w opr. rb. .-

**Praktyczna hodowla o o o
o o o kwiatów w pokoju**

Przekład według 5-go wydania oryginału **ROBERTA BETTENA**.
Wydanie II, poprawione i uzupełnione podług
wskazówek **P. Hosera**. Z 130-ma rysunkami,
rb. 1 k. 70; w oprawie ozdobnej rb. 2 kop. 20.

N A S Z L A S

I JEGO MIESZKAŃCY

Opisy przyrody przez **B. Dąbrowskiego**.
Wydanie II rozszerzone i uzupeł-
nione z 230 rysunkami oraz 4 ta-
blicami kolorowymi i 8 dwutono-
wemi, rb. 2.25, w opr. ozd. rb. 2 k.80.

HYGIENA KOBIETY

napisał **D-r W. Hojnacki**
Wydanie III powiększone z 26 rysun-
kami rb. 1 kop. 60; w opr. ozdobnej
rubli 2.
Książka ta powinna znajdować się
w rękach każdej kobiety.

**ŻYCIE DŁUGIE
STAROŚĆ ZDROWA**

Rady, jak uniknąć dolegliwości wieku
starczego i długo zachować młodość.
Napisał **D-r J. Kluge**,
spolszczył **Dr. K. Niedzielski**
rb. 1 kop. 80; w opr. ozd. rb. 2 k. 30.

POWIEŚCI

Dygasiński A.
GODY ŻYCIA
Wyd. II z ilustr. 2.80
Gawalewicz M.
GĄBKA 1.-
Gawiński A.
STELLE 1.20
Krechowiecki A.
AMEN 1.80
Powalski J.
W SŁOŃCU 1.20
Wilson E.
Ofiara Siostry 1.35

PORADNIK LĘKARSKI

Zawierający opis wszystkich cho-
rob, sposób ich uprzedzenia i leczenia
oraz Hygienę domową
z 10 wyd. oryginału **D-r A. Kocha**
przeł. **Dr. St. Bartoszewicz**
WYDANIE II, Rb. 1 k. 60; w opr. rb. 2.

Fally E. Jak zachować zdrowie, urodę
i młodość. Praktyczne rady dla
kobiet. —10
Hancock Irving H. Japoński system fre-
nowania ciała dla kobiet. 232 ryc.
Z ang. oryginału spolszczył **W. Szu-
kiewicz** —35

KSIĘGI ŻYCIA I DUCHA

Pracuj i nie trać nadziei *T. Carlyle.*
Wiązanka myśli o istotnych war-
tościach życia. Rb. 1.20.

Czego świat szuka *R. W. Trine*
Prawo życia, potęgi i szczęścia. Rb. 1.20.

Ku światłu *Z. Hartingh.*
Pokłosie myśli z niwy życia i ducha. Rb. 1.80.

Jak żyć należy *Dr. Toulouse.*
Przewodnik życiowy i etyczny Rb. 1.50.

Sila ducha i spokój życia *O. S. Marden.*
Rb. 1.40.

Nauka szczęścia *Jan Finot.*
Nagr. przez Akademię Francuską Rb. 1.50

Wielcy wtajemniczeni *E. Schuré.*
Zarys tajemniczych dziejów religji. Rb. 1.80.

Zbudź się i walcz *E. Morn.*
Sztuka odnawiania duszy i ciała Rb. 1.50

Sztuka życia *M. Haushofer.*
i zagadnienia życia. Rb. 1.80.

Niewyzyskane siły życia *P. Mulfort.*
Rb. 1.40.

KATALOGI książek, nut, pism periodycznych na żądanie
prospekty na dzieła specjalne **BEZPŁATNIE**

Wojewódzka Biblioteka P.
Nr 5933



Nr 6.

Wrzesień 1912.

Rok I.

Ukazuje się w pierwszej połowie każdego miesiąca pod redakcją
WŁADYSŁAWA UMIŃSKIEGO.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
1. Cień, nowela. <i>Jan Augustynowicz.</i>	391
2. Para Artystyczna, Lüdowa i Żmurko. <i>Mirostlaw Gajewski-Ostojewski.</i>	405
3. Cuda Chirurgii. Przeszczepianie Członków i Organów. <i>Neuter.</i>	427
4. W Skarbcu. <i>A. Sallivan.</i>	441
5. Dziwy Przyrody. <i>IND.</i>	441
6. Czy Józia, nowela. <i>T. Jaroszyński.</i>	457
7. Z cyklu: Widzenia Złote. <i>Władystaw Zalewski.</i>	468
8. Co należy przeczytać. <i>Eustachy Czekalski.</i>	463
9. Kronika Mody. <i>Marcéle.</i>	467
10. Nad grobem Hamleta, Stubenkammer w nocy. <i>Zuzanna Rabska.</i>	469
11. Z Miesiąca.	470
12. Sport.	478
13. Żniwo Śmierci	480
14. Karykatury. <i>Mirostlaw Gajewski.</i>	484

Papiery rysunkowe, szkicowe, kalki,
farby, cyrkle E. O. RICHTERA et C-o
oraz wszelkie artykuły inżynierskie i
biurowe w wielkim wyborze poleca

St. MIERNICKI,

w Warszawie, Marszałkowska 81, tel. 12-60.

Warunki Prenumeraty:

W Warszawie:		Z przesyłką pocztową w Państwie:	
Rocznie	rb. 6.—	Rocznie	rb. 7.50
Półrocznie	rb. 3.—	Półrocznie	rb. 3.75
Kwartalnie	rb. 1.50	Kwartalnie	rb. 1.90

za odnośnienie do domu dopłaca się 15 kop. kwartalnie.

Numery pojedyncze po kop. 60, sprzedają księgarnie i kioski, główniejsze stacje dróg żelaznych i składy materiałów piśmiennych.

W Galicyi numer pojed. 1 kor. 80 h. — Prenum. roczna 20 kor. — W Ks. Poznańskiem num. pojed. 1 m. 50 pf. Pren. roczn. 17 m. — W Ameryce prenumerata roczna 4 dolary.

Redakcyja i Administracyja, Wspólna 45. Telefon 187-43.

Kantory główne „Miesiąca Ilustrowanego“:

w Warszawie, ks. Jana Fiszera, N.-Świat 9,
w Łodzi, ks. L. Fiszera, ul. Piotrkowska,
w Krakowie, ks. Gebethnera i Wolffa,
we Lwowie, księgarnia Sokołowskiego,
w Wilnie, księgarnia Zawadzkiego,
w Kijowie, księgarnia Idzikowskiego,
w Petersburgu, księgarnia Polska,
w Sosnowicach, ks. Rowieńskiej,
w Chicago, Osiecki Office, 668 Milwaukee Ave. Res. 1339. Park. 57.

Prenumeratę w Warszawie przyjmują wszystkie księgarnie.

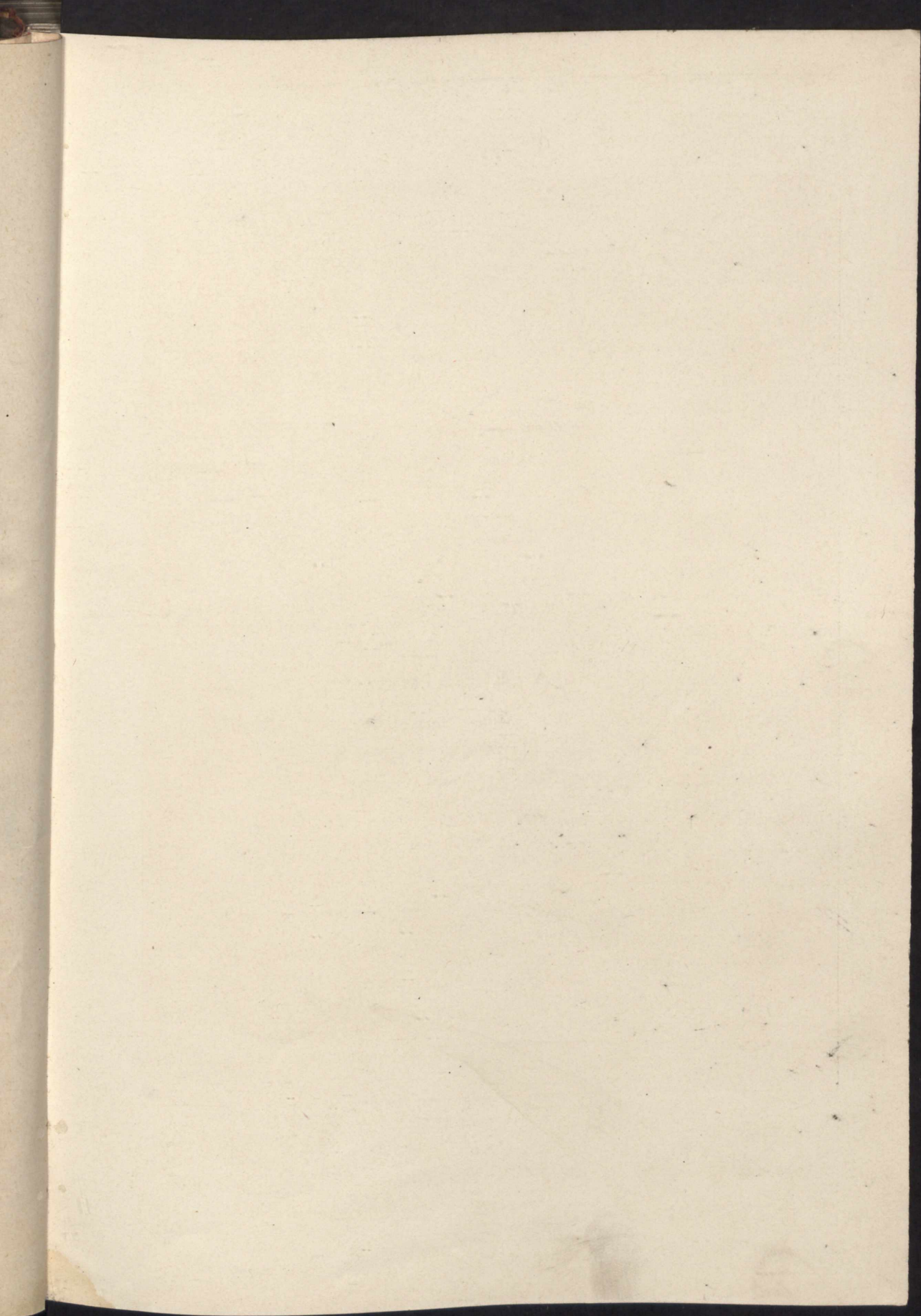
1882



1896

„KRYSZTAŁ“

NAFTA NAJWYŻSZEGO GATUNKU W BLASZANKACH
TOWARZYSTWA B-ci NOBEL, WARSZAWA, NIECAŁA 4,
TELEFONY 223-20 i 223-40.





JAN AUGUSTYNOWICZ

CIEŃ

NOWELA



Właśnie skończył się obiad i zabierano się do wstania, gdy Fischer z niezwykle u siebie grymasem uprzejmości zwrócił się do Ireny, powstającej także, i rzekł wesolo:

— *Ein Moment noch, Fräulein... Ein Moment...*

Rzucił wzrokiem porozumiewawczym na żonę; ta odśmiecnęła się. Drzwi otworzyły się i ciężka, kolubrynowa Elsbeth wtoczyła się wraz z wazą ponczyku i sterłą żółtych biszkoptów.

Wysoki von Schlem rozrzewnił się tajemnie, olśniony widokiem. Posmakował jakby, ślina napłynęła mu do ust, laskocząc ostrożnie. Chudy Kratz zarumienił się, siedzący zaś przy nim Good wytrzeszczył oczy, Fräulein Mitzi, bona Giertrudy, Anny i Friedricha, skrzywiła się z uznaniem, powstrzymując żywy giest Giertrudy. Krótki i zwięzły Krainer wyduł wargi ze zgapieniem. Przez usta Ireny przemknął szybki, niedbały uśmiech ironii i gdzieś zginął...

Elsbeth, kołysząc się na ciężkich biodrach, szła w stronę stołu nabożnie. Fischerowa, nad program ustrojona i uwdzięczona, śledziła ją niespokojnie, obliczając możliwość fałszywego kroku i runięcia wraz z wazą i biszkoptami. Fischer ocierał usta serwetą i szerokim giestem dobywał z kieszeni odświętne cygaro.

Elsbeth doszła wreszcie.

Irena uczyniła ruch, by powstać.

— *Aber, Fräulein* — zdziwionym trochę, szorstkim i zgorszonym tonem zwrócił jej uwagę Fischer.—Z okazji urodzin...

Irena spojrzała osobliwie. — Z powodu urodzin właśnie, — mówił uroczyście Fischer.—Moja żona i ja pozwalamy sobie—uśmiechnął się z pogardą—ofiarować pań-

stwu... do dyńca, ofiarować wam, smarkacze, żółtodzioby, i pani, szanowna panno Ireno, che, che, panno Ireno, ten mały dodatek, ten dodatek do dzisiejszego obiadu, który i tak przecie—niezgorszy był chyba? Ale, pojmujecie: *Geburtstag...*

Rozłożył ręce. Odgryzał ostrożnie koniuszkek cygara i wypluwał wolno...

Irena ziewnęła. Czujne oko Fischera dostrzegło ten odruch nieprzymuszony. Zgorszenie Fischerowej, chociaż mniej wydatne, połączyło się wraz ze zdumieniem Fischera wartko i sprężysto, by odbić się w gapiowatym i spojrzeniu Krainera i uśmiešku zjadliwym von Schlema. Von Schlem kończył oblizywanie łyżeczki po kremie i interesował się coraz czujniej aromatem promieniującego wokół ponczyku...

Jakaś tępa apatya osunęła się w kąty ust Ireny i zwała je niemo. Plecy dziewczyny podały się w tył, ręce opadły. Poszła jakby wzrokiem dokąds i zastygła.

Von Schlem trącił Kratza zlekka:

— *Schau mal...* Nasza Wenus — jakby zasnęła?

Irena, nie drgnąwszy, z tym samym sennym na twarzy wyrazem, rzekła nagle głośno:

— Mogę dać panu, kochany panie von Schlem, Ritter von und zu, vor und nach Schlem, pomorski wykwiecie czystej krwi, najczystszej, jeszcze tę swoją łyżeczkę do bliższego zaznajomienia się... kochany Bacchusie, per Baccho... cha, cha, per Baccho!

Skrzywione pogardliwie wargi zajaśniały soczystą purpurą.

Kramer wybaluszył oczy.

— O co oni się psztyczą, panie kolego? — pytał tkwiącego naprzeciwko Goda. — *Donnerwetter* — mruknął cicho — poncz stygnie, *saperment...*

— Ehm...—zadokumentował Kratz.

— Ja panią bardzo proszę — wybuchał von Szlem, skubiąc małego wąsa. Jak pani śmie?

— Panie dyrektorze... czy nie uznalby pan za stosowne powściągnąć zapał pana barona von Schlema?—ozwała się ze znużeniem Irena. I możeby pan go pouczył przy sposobności... ponczu choćby, choćby ponczu, że pomorskie bawolki nie powinny sobie tak *à l'ami cochon* wycierać języzka swoją boginkowością choćby?

Fischerowa ustawiła na Irenie swoje jakby przestraszone oczy, Fischer zmarszczył się. Von Schlem polykał złym wzrokiem Irenę, a Kramer, połachotany przez Friedricha, wydał dźwięk pośredni między tremolem koguta a krótkim psim skowytem.

— *Friedrich!*—upomniała groźnie panna Kosigarten, bona.

— *Einmal ist kein mal...* — zauważył Friedrich.

— *Sie, Schlem...*—wymlaskał Fischer. — Pan powinienes uważać... — błysnął okiem z szydem—z damami no, tego... A przecie panna Irena dama... Dama...—westchnął.— Nie trzeba, by zbyt kiepskie wrażenie z Pomorza wywiozła, che, che... Wszak i tak niezbyt laskawie...

A pan, szlachcic pomorski, nadto kurtoazyjnie... Bo ostatecznie: Wenus, pi, pi... Zmrużył powieki, przyglądał się.

Von Schlem popatrzał głupowato.

— Pan kolega niedostatecznie jakby kombinujący?... — cisnął węzyka z obojętną uciechą Kratz.

Lecz zdławił go Fischer:

— *Du, ski doch nicht so witzig, Giraffe...*

Kratz zaczerwienił się.

— Niedawno miałem zaszczyt być szpargiem, dyrektorze... — ośmielił się zarcycytować.

Krainer spojrział zadziwiony.

— Kratz szlifuje starego—szepnął. Dostłyszal go Good i zaszczytał krótko:

— Poznałeś się, wiechciu...

— Ostatecznie...—wydęła wargi Irena.

— Co ostatecznie?—podchwycił z uprzejmością Fischer.

— Ee, nic. Na tym Olimpie swego chowu ja już zostanę — czarownicą. Von

Schlem—Bachus, Friedrich—Kupido, a pan co, dyrektorze?

Zmrużyła piękne swoje oczy i patrzała w Fischera pocziwie.

Cisza się zrobiła maleńka;—von Schlem, Kratz, Krainer, Fischerowa i nawet panna Kosigarten zastygli troszeczkę. Lecz Elsbeth, która odchodziła właśnie, zarzała cudacznie.

— Czego drzesz się? zakwiczal krótko Fischer.

— Bo pan Good... pan Good... — bronila się Elsbeth.

Fischer spojrzal. Good, zalany rumieńcem, chował dlonie pod stół.

— *Raus!*—zahuczał Fischer.

Good wstał. Przysadkowata jego postać skurczyła się, dziecinna twarz stępiała w głupawym wyrazie.

— Syn pastora!—rzucił za nim Fischer.— Syn pastora! Niestychane!

— *Ale—ujrzane—westchnęła Fischerowa.*

Jęła rozlewać poncz w szklanki. Rozdała go gościom. Do każdej szklanki dołączała po dwa biszkopcy, nie więcej. Fischerowi dała cztery, lecz pozostał chmurny.

Nastrój tworzył się niewyraźny, bynajmniej nie odświętny. Jakies mikroby zwarzonej *Gemüthlichkeit* rozsiały się w powietrzu.

Nagle drzwi się otwarły i do pokoju wtoczył się, półokrągły, z kwitnącym nosem Martin.

— *Sie? Was wollen, sie?..*

Martin wyprężył się.

— *Melde gehorsam... Wollte Frau Direktor gratulieren. Ich auch!* — położył nacisk.

Fischer wparł się w niego:

— *Vortrefflich... sie auch? Der besoffene, Martin, che... Unser besoffene Martin?..*

Rozśmiał się rozgłośnie.

Zawtórowali mu von Schlem i Krainer. Friedrich, słysząc ich, zaskrzeczał też chętnie.

Martin nie zmieszał się.

— *Ja... der besoffene Martin..*

Spojrzal na ponczyk drapieźnie i oblizal się. Gęsta ślina napłynęła mu do ust. Połknął ją z przykrością.

— Łykasz, stary huncwocie... — ozwał się pochmurnie Fischer.

— Łykam, wielmożny dyrektorze... Poncz, jeśli dobrze przyrządzony... No, a wiadomo już, co potrafi pani dyrektorowa!

— Ja? — spytała Fischerowa.

— Pani, proszę pani. Ach, pani! Andruty też robi pani kokosowe, lody malinowe, soki i marmolady... ciasta, nalewki... Nalewki! — westchnął po chwili.

Krainer jął śmiać się, lecz ostudził go Fischer:

— Psst... naczynie wzruszeń...

— Sto lat pani dyrektorowej, sto pościech — z męża, dzieci, służby! Ze służby! — rozrzewnił się. — Worków pieniędzy, pomnożenia radości i uciech... Dzieci więcej, wciąż więcej..

— Milcz, ty — zmarszczył się Fischer.

— To z poczciwości... Przykupienia gruntu, by zakwitł ogród wreszcie, by zakwitł...

Fischer uczynił ruch, jakby go chciał przegnać. Lecz Fischerowa ulitowała się i nałala mu ponczu.

Martin mlasnął. Podszedł i pochylił się nabożnie do dłoni Fischerowej:

— *Prosit, Frau und Herr Director!*

Fischer odwrócił się...

Von Schlem patrzył w Martina z pogardą.

— Lubię rasę — mamrotał Martin, popijając ponczyk, uśmiechnion do von Schlema. — Meklemburskie konie, naprzykład.

Von Schlem stał się purpurowy.

— *Was?!*

— Iii... *Herr Baron, Herr Baron...* — Oczy ściemniały Martinowi nagle.

Lecz wtrącił się Fischer.

— *Schlem! Nicht so laut, mein lieber!* — położył akcent groźnie. Schlem skurczył się. — *Nicht so laut* — powtórzył. — A ty — zwrócił się do Martina — zawrzyj chlew, rozumiesz?! Co ty znowu?

— Eee... nic. Mówię wielmożnemu: przyjaciele my, choć pan von Schlem od głupców mi... No, lecz młode piwko! Liza — ta ma łaski — inne; trudno.

Machnął dłonią.

Von Schlem stał się biały.

— Li-za? — ściągnęły się „jowiszowe“ brwi Fischera.

— Zwracam panu uwagę, dyrektorze —

ozwał się nagle głos Ireny. — Przy damach — nie uchodzi!

Fijolkowe tęcze padły nań szydersko, łachocąc niedbale. Wzgarda ślizgala się wesoło po dolnej, kraśnej wardze — usta odsłoniły w uśmiechu równe, lśniące zęby. Czarne, ciężkie włosy zawisły wyzywająco — szyja zajaśniała...

— *Ein hübsches, hübsches Mädel!* — powtórzył w myśli Fischer.

Krainer mrużył oczy, badając sytuację. *Fräulein* Mitzi patrzyła na Schlema, Kratz sumował własne podejrzenia na konto von Schlema i złorzeczył Lizie. Z pewną melancholją stwierdzał kobiecą nieszczerłość i wywodzenie w pole przez „przyjaciela“, za jakiego miał jednak von Schlema.

— Gałgan! — pomyślał:

— Na moją sławę wojacką... na gloryę mej młodości — *hoch, hoch, Frau und Herr Director! Hurrah!! Hurrah!!* — dławił się w czkawce Martin.

— Na twoją sławę... na twą gloryę?!... — zabijał go pogardą Fischer.

— Na moją sławę! Na moje dni piękne! Cha, cha! Na moją sławę! Sedan, Grave-lotte — *Kreuzhimm...* — zatkał sobie gębę dłonią. — Sedan! E pe distuar — diu tan passe, mosje le direkter, nes pa? Kom ę braw solda alman tiue le zenemi de sa patri, oche?! —

Irena spojrziała.

— *Tiens... Vous étiez soldat, Martin?*

— A wo zordr, mamzel — błysnął okiem. Burakowy, pijacki nos rozrzewnił się, gardło się zachlipło.

Przyjrzał jej się osobliwie.

— E, mamzel parł mniem, mniem...

Obliznął się, położył dłoń na sercu.

— *Mensch, Mensch* — zwrócił się nagle do zgapiętego Krainera. — *Du hörst und denkst: was quatschen die beide?* Ech, bracie: jakbym we Francji był znowu! A wielmożna panienska — spojrzła na Irenę — to jakby sama cesarzowa Francji. Mówili przecie: cudo, nie kobieta.

Śmiech wytoczył się z krtani Ireny.

— Ostrożnie, Martin, bo się zakochasz! Martin posłał wzrok.

— *Fräulein, Fräulein!* My się tu wszyscy — wyprostował się — ostro trzymamy, nawet ten prześliczny Krainer i pan von Schlem także — a jakże i — żeby nie złąk-

nać się dyrektorowej — sam pan dyrektor Fischer.

Żuł biskopt i patrzył zacnie w okrąg.

Fischer zarumienił się.

— *Du...* to już zawiele nieco!

Von Schlem warknął ostro:

— Pan dyrektor sam go... Tego starego osł... huncwota... Pan dyrektor...

Fischer zzieleniał.

— Proszę zamilczeć! *Verstanden?! Byś pan nie żałował!*

Martin potakiwał:

— Tak, tak, ma się rozumieć! Byś pan nie żałował.

Pożądliwe oko Krainera wgwążdżało się w szklankę Martina.

— Tfu... Zazdrościsz mi pan tak...

Krainer sponsował.

— Nie rusz go — warknął Kratz półgłosem. — Ty, stara kataryno! Wsypie ci co z reszty, babka cię nie pozna — choć już na tamtym świecie.

— Proszę, niech pani pije! — zachęcała Irenę Fischerowa.

Irena dotknęła wargami.

— Kole w ząbki — zamamrotał Fischer.

— Jeżeli pani zdrowie istotnie polepszy się od tego?... — improwizowała Irena.

Giertruda, pchnięta przez Friedricha, zapłakała nagle. Fischerowa zerwała się, Fischer także. Powstało małe zamieszanie. Von Schlem skorzystał z tego i sięgnął w stronę ponczu. Ale spostrzegł to Fischer i runął nań swym basem:

— *Was, was?!*

Kratz zdążył chwycić biskopt i drugi dla Krainera. Martin telegrafował szybko:

— Pst, pst!

Dał mu więc Kratz także, życząc przytem rzewnie:

— Bodajeś zdechl.

— Nawzajem.

— Choć sługa i niewolnik, choć tylko zamiatacz pokojów i sieni, parobek od chlewów, obórki i stajni, rozwoziciel użyźnień po szanownym ogrodzie, a w potrzebie i czego trza do usług, żywię odwagę, umiżgnąwszy się do cnej dyrektorowej o jedną szklanusię jeszcze...

Fischerowa spojrziała z zażenowaniem. Czekwała wyroku Fischera.

— Względem czego żywiłbyś tak odwa-

gę? — zbadał ów z pogardą. — Ululałeś się dość, widzę? Golileś już... gdzieś...

— Iii... — skrzywił się Martin boleśnie. — Wzniesć... aha... najspecałniejsze wznieść... szanownych państwa... wznieść, by kwitli... Spojrzał słodko. Coś mu galki przesłoniło.

— By kwitli długie lata...

— *Schuft* — wypluł z gardła Fischer.

Fischerowa nalala ponczyku.

Martin rosił lżą szklankę.

— *Heil dich im Siegeskranz...* — dawał upust czkawce.

— *Was, was?!* — wytrzeszczył się Fischer.

— *Kartoffel mit Heringschwanz* — kończył cicho Kratz.

— *Nichts... Lieb Vaterland, mags ruhig sein...* — rzępolił wargami Martin.

— *Du! Bist lange schon, wie ein Schwein besoffen!* — miarkował go Fischer.

— *Deutschland, Deutschland über alles!* — Kończył z nową czkawką Martin.

Oburzenie odmalowało się w oczach Fischera.

— *Rraus!* — krzyknął.

— *Rraus, rraus!* — miamlał Martin, zataczając się i idąc ku wyjściu. — *Rraus, rraus! Alle rraus, alles rraus! Ein, zwei, — ein, zwei!* — czynił z precyzją krok „parademarszu“, kołysząc się. Trzymał szklankę z resztą ponczyku i uważał, by się nie zwalić.

— *Schuft* — powtórzył Fischer.

— *Wir sind brave Soldaten
Voll Tapferkeit und Treue,
Gott gebe Glück dem Lande,
Dem deutschen Vaterlande,
Das Vaterland hoch, hoch!*

*Ja wojak sie nie boje,
Geschichte lubie neue,
Choć dbam o skóre swoje.
Wojacką naszą bandę
Mam w syrcu, jak swą Wandę...
A psik! A kysz! Och, och!*

Otworzył drzwi. Odskokzył od nich Good z Elsbeth, nie zdążywszy zamaskować czułości.

— Che, che! — rozśmiał się przerażliwie Martin.

Irena słuchała z rozwartymi oczyma...

.....

Słońce kładło się na przestwór, głaszcząc go i całując. W lśniącym, hojnym kwieciu stały w nieskończonych szeregach jabłonki, grusze i wiśnie, jak panny młode— czyste, nieskalane, czekające na obrzęd zaślubin. Łany kwietne, tkwiące w zachwyceniu, zdawały się pieśnią, sławiącą dobre życie, mówiącą słowa mocne i pełne uniesienia o niespożytości bytu, jego trwałości i krasie. Jakieś nieobjawione westchnienie padało cicho w ziemię, dając jej swą tkliwość. Lekki wietrzyk muskał drzewa, wciskając się wszędy i zaczepiając liście. Roje pszczół wyległy na kwiecie i krążąc wokół, ssały miód. Przenikliwy, wartki aromat ziół, kwiatów i ziemi, zmieszany z zapachem liści, kołysał się w przestworzu i podpełzał czasem, by się zerwać znowu. Ptaki grały ciągle,—gdzieś niedługo zaszczebotał słowik, nucący swe trele. Cały ogród — wielki, nieobjęty — nurzał się w wośnie...

Irena przyspieszyła kroku. Za węglem oranżerii spostrzegła Martina, przysiadłego w kucki, zda się nieruchomego. Nie była pewna zupełnie, czy to on istotnie, lecz poszła w ową stronę, licząc na to właśnie. Obejrzała się mimowoli: nikt znikąd tutaj nie szedł.

Zmarszczyła w pion gładkie, białe czoło, oczy pociemniały.

Gibkim swoim ruchem podeszła do figury i zatrzymała się: to był istotnie Martin.

Siedział obojętny, dość senny. Z fajki krótkiej, grubej pykał lekko, zwolna, spluwając obrzydliwie. Cofnęła się mimowoli. Lecz podeszła znowu. Patrzała długo w niego.

— *Nun, gnädiges Fräuleinchen? Nun, nun?*—przymrużył powieki.

Odsłonił czarno-żółte zęby, uśmiechnął się.

— *A guter Punsch... aber wenig... Kreuzhimmel... wenig, glaube?..*

Irena westchnęła dziwnie.

— A wy, Marcinie, polak?—rzekła w cichem zdumieniu,—polak!?

Martin wykrzywił się.

— Polak? No, polak. No...

Spojrzał obojętnie.

— Wy polak, Marcinie, — powtarzała dziwnie...

— Acha. Dlaczego nie? Acha.

— I ja, Marcinie, polka! I ja, Marcinie, polka! Jak widzicie...

— Jo wiedziałem. Niby co? Jo wiedziałem. To co?

— Wiedzieliście? I rechotaliście po szwabsku do mnie? Wiedzieliście? oburzyła się.

Martin machnął dłonią.

— A mnie jakie sprawy, *Fräulein?* Co mnie? *Was kann ich dafür?* To *Sache* panienki jezd przecie. A co mnie, Martinowi?

Irena patrzała.

— Wy, Marcin, nie Martin...

— Marcin, Martin, *alles Wurst.* Martin był jo,—niech będzie. Che, che... Martin!

— Pod jednym dachem prawie tyle czasu...—dziwiła się niewolnie Irena.

— *Laska Fräulein*—wyszczerył się. Jak panienka kce, możemy i po polsku gadać. Ino ja trochę... nie każde słowo już... Ale co to znaczy?

— I wy, Marcinie, polak, polak? powtarzała z zadziwieniem jeszcze.

— Polak, no co? skrzywił się z niechęcią—polaków dość, są polaki wszędzie. Gdzie plunąć—tam polak—*Eine polnische Überschwemmung*... cha, cha, — rozśmiał się. — I co? Polaki są wszędzie — powtórzył. — I tu w Holsteinie dosyć... i gdzie indziej... I co?

— Pewnie, nic, pewnie, nic — mówiła w zamyśleniu Irena.

— A panienka — skąd? zagadnął jakby przez grzeczność. Z Księstwa, czy z Prus może? Ze Szląska?

— Z Królestwa.

— Z jakiego to królestwa? Pruskiego nie, przecie? Z holenderskiego?—zażartował.—Był ja też w Holandyi!

— Z Królestwa—Polskiego... Polskiego—rzekła tępo.

— Polskiego? — dziwił się. Niema go już przecie! Niema! — wyszczerył się. — To i ja wim dobrze. Więc jakże?

— Z tego, co do Rosyi...

— Ach, z Rosyi! Pracował ja kiedyś z ruskim takim trochę, a później kiedyś także. Dziwne to ludzie, te ruskie. Nie powiem, żeby złe, ale dziwne przecie.

Jacy?

— No, te ruskie, z Rosyi. Wiara tam u was, rychtyk jak i nasza, mówią nawet podobnie właśnie, jak panienka, wyrozumieć łatwo, ale czego chcą—nie wiedzieć. Może są i różne. Jo takich spotykał.

— A jakie to największe miasto wasze?—zapytał po chwili.

— Warszawa.

— No, Warszawa, rychtyk, rychtyk! Siła cudów mi o niej gadali, a to pewnie bajki?! Dziursko, jak i Poznań! Panienka była w Poznaniu?

— Byłam.

— No! Nie mam to ja racyi? A Berlin? Hu! A *Danzig* choćby? A *Stettin*? A Paryż?

— Byliście w Paryżu?

— Dlaczego nie? Jo Paryż szturmem brał!—rzekł z dumą, i przechwałką... Jo cysarski wojak, jo inwalida pruski, jo order mam i pochwały—zdjął czapkę—od samego cesarza Wilhelma, Panie świeć nad duszą... i feldmarszałka Moltkego, Panie świeć mu także, i fūrsta Bismarcka, — świeć też Boże,—nawet. Jo wojak, inwalida, jo w kampanii był, całą kampanię odbył, jo Paryż szturmem brał—powtórzył z dumą i godnością. Oczy rozjaśniły się, błogi uśmiech okrasil mu usta. Wyprostował się, pierś wydał.

— Mam rany—rzekł po chwili tajemniczo—kilka ran, a nogi ledwie nie straciłem. *Gnade Gottes*, że się tak skończyło... Żeby była sprawiedliwość, miejsce choćby odzwiernego w jakimś *Amcie* mieć jo powinieniem... Ale, wiadomo: niema sprawiedliwości—nawet w pruskiem państwie.

— Nawet w pruskiem?

— No! Choć u nas, jak panienka widzi, *Ordnung* wszędzie przecie! *Wie in der Kaserne*—jak trzeba. Nie jak u polaków. *Polnische Wirtschaft!*—rozśmiał się.—*Giebst ja garnicht! Stramm, pünktlich und sauber!*—wświdrował żrenice.

— Czy nie mógłby Marcin dać spokój temu niemieckiemu?—zapytała.

— Niby bez co, dlaczego? Niemieckiemu? Panienka nie lubi naszej, ocho, mowy!

— Naszej?

— No! Insza, niż tam u was! Nie bele co sie różni. A Austryjaki z tej—jakże?—Galicyi podobne więcej do nas, choć nie-

bardzo znowu. Ale więcej. Ich *Kaiser* niemiec przecie także.

Patrzala w niego wzrokiem mętnym, tępy i przez zaciśnięte usta chciała wypłuć to słowo jakoweś, co się w nie cisnęło. Usiadła ciężko.

— A panienka—zgrabna taka—ozwał się znienacka.—Patrzal ja nieraz w panienke,—myślał sobie:—cha, cha, cha, poleczka, poleczka!

— Mówiliście, żem rosyanka?

— Rosyanka, rosyanka! Cóż to: Rosyanka? A,—ruska chyba, acha! No, no, ma się wiedzieć. Ruskie wy przecie, jako my prusaki, jak tam te austryjaki. Podzielili się ową Polską naszą—wynurzył się—to mają. Na zdrowie!—skrzywił twarz uśmiechem.

— Więc wy—prusak?

— Prusak, prusak! Pruskiego króla podany, cysarza niemieckiego—sprostował się.—*Unser allergnädigster König und Kaiser*—rzekł z marsem.—Nie mam ja, grzech byłby, pretensyi o to, że me czasem *der Pollacke* nazwą. *Der Pollacke aus der Pollackei!* Bo my sami, panienko, ja może niebardzo, ale inne rdzenne temu przecie winne; zasłużyliśmy se. Przezywają się, Księstwo przezywają jakąś Wielkopolską oto,—*Grosspolen*, che, che,—o jakiejś Polsce myślą! Na co im to wszystko? A *Kaiser* nie lubi tego! Nie lubi *Rebellen* a i *Rebellianten!* Takie to prusaki? Tak swoje kochają—i wierne są. Byłoby im dobrze, by zmądrzeli ino. Ale durne takie!

— Wy, Marcinie, pijani jeszcze całkiem?

— Pijany? Cha, cha! Pijany? Rzeknę prawdę szczyrą: trzeźwiutki zupełnie.

Podrapał się w brodę

— Czy panienka wierzy temu von Schlemowi, czy Kratzowi może, co na mnie szczekają, co mie kufą zową, pełną piwa, sznapy i czego tam jeszcze? Von Schlem sam pijak jezd piwrszy! A Kratz, gdzie ujrzy, także nie pogardzi. Von Schlem kocha sie w panience,—rzucił i rozśmiał się brutalnie.—Ale mówie ja mu: nie dla psa kielbasa, nie dla ciebie spyrka! Che, che! Ukazał żółte zęby, jął czyścić fajeczkę. Irena zmarszczyła się.

— *Der besoffene Martin*—przemówiła jakby w zamyśleniu.—*Der besoffene Mar-*

tin — rzekła jeszcze twardo i ze smutkiem.

— To nic, to nic, chce... Nazwali tak mnie sobie... rychtyk, jak nasze — polakami siebie. Ale co to znaczy? Tyle — plunął. — Panienska jezd uczona, to wi. Nazwa nic nie znaczy! Pan dyrektor pocziwy, a jednak...

— Jednak?

— Żeby jo panience mógł zaufać... żeby mógł.. to rzekłbym. Martin tyż wi trochę! Ale niech mie panienka czasem... No, że-bym mógł...

— Zaufać? — cisnęła.

— No, no! Pan dyrektor — nachylił się — głupiec jezd i kwita. Wielki osioł, *ein Esel*, a może — świnią wielką nawet, *ein Schwein*, *nichts mehr?*

Złakł sie jakby, zmieszał, lecz wnet zhardtował znowu.

— Mówie ja... no, po serdeczności, pofałosci, po szczyrej swej przyjaźni — wyparskał. — Przyjaciele my — panna i ja — i landslojty. Landslojty! Ot, na co się to zdało! Co mi ta! Choćby się ten Fischer i dowiedział... Leć panna i powiedz! Owa! Mam Fischera w pięcie — że man fisz de lii...

— Znów po francusku, jak widzę?... — zmrużyła powieki.

— A wo zordr, mamzel... A co to — czy mie nie stać? Zdolny jezdem! *Dolmetscher* ja tam przecie był, franiów na niemiecki przekładałem. Co który szczeknął — zara do niemieckiego naszego pojęcia ja go przyprowadzał, na niemiecki ład go przerabiając. Wyuczyl ja sie! Skakali te francuzy koło mnie, jeśli się udało — mrugnął tajemniczo — niby te, co się do niewoli wzięno, cho, cho! Patrzył ino taki, nie mówiąc całkiem, modlił się jakgdyby: nie wydaj mie! A ja sie śmiał! Brzuch me bolał czasem, jako że śmiech to był, co go w głębie niema. Co ja miał takiego żałować, albo inaczej mowę jego kręcić? Nie do ważnych zresztą przekładań me brali! Jak tylko co — z ryb takich prawdziwszych — do oficyerów ich zara wiedli! A ja, — taki, jak ja właśnie, z płótkami ino, giejmajnam! Chycili pana brata, prowadzą akuratnie: będzie ci ciepło, psubrace! *A guter Witz* — takie historyjki. Nie kciał ja często w skórze frania siedzieć, bo po-

co? I strzegł sie, żeby im tyż nie wpaść — w łapy delikatne, ślacheckie: różowe gęby mieli i oczy tak wesole, ale ja wolal swoich i swoje... Che, che... Che, che...

Śmiał się głośno, szczerze. Gębe rozwarł, ziewnął przeraźliwie.

Patrzyła w niego.

— Ja was rozumiem, Marcinie — rzekła cicho i z pogardą.

— Panna rozumie? No, jo! No, jo! Rychtyk, rychtyk właśnie. No jo! To sie wi, każdy to zrozumie. Przekładał ja tam i jeńszych także landslojtów. Maciek, Bartek! — skrzywił się.

— Zwycięzca — szepnęła.

— Co?

— Bartek zwycięzca — zaśmiała się całym ciałem mocno.

Żrenice zwięzły się i pociemniały. Łysnęły białka, lekkie róż wypelzną na jagody. Usta zbladły i drgnęły.

— Jo nie wiem, co to...

— Nie, nie — mówiła Irena. — Ma się rozumieć. Nie, nie.

— Miał ich jo dość... tych — kolegów — zmelł z lekką pogardą — landslojtów. Całe pułki, bywało, polskie prawie były. Polaki! Rękami polskimi, polską krwią i potem Francuzy sie brało! Polskiem ściernem pola się pokryły, polską wołą Niemcy sie robity. Wielkie Niemcy, *das grosse deutsche Reich! Lieb Vaterland!* — śpiewał psiakrew niejednen, choć nie wiedział, co to. Jemu, psiakrew, śpiewać. *Vieh*, bydło...

— Milcz ty, milcz ty!... — zacisnęła pięści. — Milcz ty! — szeptała z uniesieniem.

— Panna, ehe, się gniewa? A co to panne obchodzi? Co cie, jasna panno — przypodniósł się nagle i spojrzal z nienawiścią — polski cham obchodzi?

Zaśmiał się okrutnie, a potem ucichł nagle.

— Co mnie — polski cham? — mówiła błędnie, tępo.

— Co cie — polski cham?! Cham, ściernem, psubrate! Sobacze nasienie, bydło!

Rozłożył ręce, zatrzeszczało. Dusił gniew w kulkach.

— Różnica, panno, była! — wparł się w nią ślepiami. — Maciek, Bartek! — zaśmiał się. — Jak gdyby pies ostatni! Przy Niemcach — że nie przymierz! Fritz, Karl,

Sepl, Wilhelm—no, inne to troszkę Ludzie.
Panna wi to: ludzie?

Patrzył pogardliwie i wzruszał ramionami.

— Jak i *Wirtschaft*—wytrzeszczył się — tak i ludzie. *Pollacken aus der Pollackei!* — wypluł — Tfy!

— Bartek zwycięzca — otwierała oczy szeroko Irena.

— Jo Martin Lisowski — wyprostował się. — Cztery klasy skończył, francuskiego w szkole się uczyłem! Nie tylko we Francji! — rzekł z naciskiem, z dumą. — Cztery klasy. Dlatego ja *Dolmetscher* był, a i sierżant także. *Unteroffizier seiner Majestät des Königs und Kaiser*. Nie jestem śmieciuch żaden...

Zagwizdał fałszywie piosenkę, uderzył się w kolano...

— *So, so! A braver Kerl war ich und bin, glaube, noch?* — zapytał uprzejmie. — *Le tan passe... Hm... Il e wreman passe... Schade...*

— Macie krewnych? — spytała posępnie.

— Krewnych? Jakże, jakże. Brat starszy w Czikago, siostra w San Francisko. Podróżniki! Ojciec, matka... Pomarli już przecie. Młodziutkim! — zaśmiał się.

— Brat — polak?

— Polak, polak, panno! Po polsku pisał do mnie! Bo-ga-ty! Dom ma tam w Czikago, fabrykę. Siostra za technikiem. Famjelial!

— A wy tak w tulaczce?

— Co mi? Mnie tu dobrze całkiem! Przywykł ja do swoich. Dobrze mi!

— I nigdy tam do nich nie myśleliście?

— Prosiła me siostra, list szczyry pisała: przyjedź do mnie, bracie. Stary jezdeś, dam tobie przytułek, żyć se u mnie będziesz. Sameś ty, sirota, przyjedź zatem, bracie. Piniondze przysłała. Ale...

Patrzyła.

— Et! — machnął. — Piniondze mi poszły, a siostra...

— Co?

— Nie przysłała drugich! — śmiał się hałaśliwie.

— Różnie bywa — rzekł wolno po chwili. — Jeden pan, drugiemu na chłopstwo ledwie starczy, che, che, a obaj bracia rodzoniutkie. Nie zawsze ja taki niepokazny był... Myślał ojciec może: doctorem nawet bę-

dzie, albo i księdzem, a ot moje doctorstwo i księdzostwo!

Wyciągnął spracowane ręce, zdarte od trudu i brudu, jakby już wżarte, zorane w bruzdy. Zacisnął dłonie i potrząsnął.

— Od gnoju parobek, woziwoda, *knecht*, posługacz. Nie myślała matula moja, — ano, ano. I nie myślał ojciec... Brat, co tam żeniaty, też nie myśli pewnie, nie myśli, że tak... *Wurst!* Zdechniem wszystkie przecie, wielmożne i oświecone, zdechniem panno, przecie!

Zapałił fajkę znowu.

— Nie chciał się ja uczyć — ot, mój sekret cały. A i tera nie uczyłbym się, gdyby mi kazali — zaśmiał się. — Taka już ochota do wolności! Szukał ja jej, — gadali, że w złem tylko, no... Nie mogie skłamać, bym zdolności nie miał. Bubkiem jeszcze małym dobrze w karty grałem, piweczko se ciąglem, z tytońciem się znałem. Pannienki też lubiałem, ale cicho o tem, — z przeproszeniem cnoty mojej panny! Różną me ojciec pasem, a ja *furt* swoje, żem to wolność kochał i zdolności miałem. Na aptekarza nawet dociągnąć nie mogłem; wynali me wreście, w świat prosząc. Niegościnne były, — poszedłem!

Kiwała głową.

— W prosty stan, w nieoświecone chamy zeszedłem, — no, to co? Nie trzeba inaczej! Wszystko głupstwo, marność! Przejdzie życie, panno, choćby ta i księciem był, albo jenszym królem, a potym jednaka dola wszystkim! Zgnijemy se.

Patrzył z uciechą i łypał prawem okiem.

— Z lekkością idę przez życie! Letkość — to moja natura. Letki jestem — ugiął się — i tak się należy. Letko i wesoło! *Parademarsch* przez życie! *Ein, zwei!* *Parademarsch* zawsze! *Schwammdrüber* na wszystko!! *Ein, zwei, ein, zwei...* Bo: zgnijemy przecie!

Spojrzała na niego.

— I już tak na kraj krzyżyk ostateczny?

— Krzyżyk? A co to jest, panno? Acha, jak niby na mogile? Che, che! Na mogile niby?

Skrzywiła się gęba, policzki pociemniały. W kątach ust zamigotał odbłask, oczy się zwężyły.

— Eeet... Eeet... Na kraj? Co za kraj? Jaki?...



Main body of the page containing very faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side.

Nadbiegł Medor, brytan łańcuchowy, wielki i groźny, z jeźącym się pyskiem i zębami kłapiącymi. Z szyi zwisał mu postronek. Jął łasić się.

— Huź! huzia! — zażartował Martin.

— Urwał się, *Saperment*, urwał się. Rozsobaczy się Fischer, że brat jego ucik. *Teufel*... Poczka, da ci *Herr Director*... A ty chcesz żyć, Medor...

Pies zaskamlał.

— Cichaj, sukinsynie... Słyszał ja, — te ruskie tak gadają. Bardzo śliczne słowo — prawdziwe. Ty chciałbyś też do siebie!?

Kopnął psa, aż się ten potoczył, trzepnął przed nim palcem.

— On tyż „od Polski“, cha, cha! z *Pollackei*! Kupił go *Director*, gdy tam w *Schlesien* był, od jakiegoś *Wasserpollacke*, co go dość już miał. Koło *Oppeln*, zdaje się. *Nun*, a ty chcesz do Polski?!

Buchnął śmiech — zdrowy, zadzierzysty. Trzęsły się policzki, pnie zębów lysnęły. Trzepnął psa w ucho, drażnił się pocieszenie:

— *Landsmann!* Chee... *Landsmann!*

Belkot konał gdzieś echem...

„Przyjęcie“ trwało już czas pewien. Właśnie wypito herbatę i zagryzano cienkimi „kruszonkami“, gdy wszedł nowy gość i jął witać się z obecnymi. Pewny siebie, stanowczy — znał tu wszystkich widocznie.

Fischer z godnym uszanowaniem robił mu honory. Życzliwie potakiwał, zwracając na coś uwagę. Uśmiechał się dyskretnie, a gdy gość zauważył obecność nieznanegoj damy, przedstawił go uprzejmie:

— *Herr Doctor Marcinkowsky... Fräulein Uschynsky... meine Praktikantin...*

— Uszyńska — poprawiła spokojnie Irena.

— *Uschynsky* — powtórzył Fischer.

Wysoki jegomość się skłonił. Rzekł swobodnie, acz z pewną rezerwą:

— *Sehr angenehm...*

Spoglądał dość uważnie. Trochę dłużej spoczął wzrokiem na twarzy Ireny i jej szyi smukłej, i prześlizgnął się po niej. Lekki uśmiech wparł mu się w kąty ust — i stęzał.

— Znam już panią... przez żonę i Martę... i przez dyrektora... — zrobił giest niechęący.

Fischer skłonił się.

— Miałam zaszczyt... jakże... mówić... opowiadać... *Fräulein Uschynsky*... choć...

— Uszyńska — poprawiła Irena.

— *Uschynsky* — powtórzył Fischer.

Irena, siedząca w fotelu, wsunęła się głębiej. Wyciągnęła nieco małe swoje stopy, założyła je jedna na drugą. Głowę pochylała, patrzała.

Jej szmaragdowe oczy zabłysnęły. Zwróciła się po polsku nagle:

— Dlaczego pan do mnie... tym językiem, proszę? Wszak pan... Dlaczego po niemiecku? Językiem... dyrektora! — skończyła.

Marcinkowsky uśmiechnął się.

— Jestem Niemcem, pani — odparł po niemiecku.

— Niem-cem?

Fischer uśmiechnął się także.

— Mówiłem, że pan z Polski... che, che... *aus Polen*, no *ein Pole* jakby. *Fräulein Uschynsky* bardzo się tem zainteresowała. Już dawno miała chęć — poznania pana właśnie. Nawet do pana, do sanatorium w tym celu się wybierała. Odwiedzić zapragnęła, że to *Landsmann*... *Fräulein Uschynsky* o, to *Polin* przecie...

Marcinkowsky przyglądał się.

— Typ pani nie polski... ale jest coś z Polski...

Fischer odszedł, niewinniając się, do jakiejś czynności gospodarskiej. Doktor czekał jakby.

— Pani pozwoli usiąść?

— Jeżeli pan chce... jeżeli pan chce...

Nuda skrzywiła jej oblicze. Poszła myślą ku jakimś rzeczom dalekim, obcym, cudzym tutaj. Ciężar pustej formy wtoczył się na barki z przykrością podwójną. Rozejrzała się po salce niedbale.

Von Schlem zabawiał *Fräulein* Liszt, nauczycielkę Marty Marcinkowskiej, polując na „kruszonki“, Kratz oświecał Krainera. Good powściągał Friedricha, co sójki w bok mu dawał, a *Fräulein* Kozigarten nakładła na spodki marmoladę, którą częstować wnet miano.

Doktor przywodził coś na pamięć.

— Zdaje się — od dwu miesięcy jest już pani tutaj? — jakże?

— Co: jakże?

— Jakże — czuje się pani w naszym — zagajniku? — zażartował.

— W naszym zagajniku?

Oczy zablądziły, nie widziały. Na ustach coś stężało.

— *Herr* Marcinkowsky... che, che...

Doktor zdziwił się.

— Istotnie, to moje nazwisko. To moje... — mówił, jak wprzódy, po niemiecku.

— A pan już tak dawno... Niemiec, *Herr Marcinkowsky*, ach, *Herr Marcinkowsky*?

— Całe życie — jeżeli pani pozwoli.

— Pozwolę... pozwolę...

Ziewnęła dyskretnie. Doktor zjeżył się.

— *Will sie nicht belästigen...*

— *Bitte... bitte...*

Doktor mówił chmurno, z złym patrząc grymasem:

— Jest pani polką... och, polką...

— Polką, panie majorze w rezerwie... pruski panie majorze, polką, polką! Cóż robić, musi mi pan to wybaczyć — jak i resztę chyba. Panie doktorze Jarosławie Marcinkowsky, panie Jarosławie!

Zaczęła śmiać się, aż Fischer zdumiał. Stał właśnie w przeciwnym rogu „salonu“ i rozlewał wino.

— Stęchłe trochę i marne, jak i sam gospodarz — zauważyła łaskawie Irena, gdy jej dano szklanekę. Uczynił to Krainer, wysłany przez Fischera.

Doktor zmarszczył się. Przyjrzał się surowo, pokiwał jakby głową.

— Pani ma informacje — stosowane trochę. Mówi pani — poco?

— Co mianowicie? Co? O naszym dyrektorz?

Skrzywiła się.

— Istotnie, jestem Jarosław — mówił doktor po niemiecku ciągle — i pruski major w rezerwie. Więc cóż? Lubię swoje imię! Pachnie trochę kolorem, jeżeli tak można powiedzieć, niezwyčajnym u nas, a barwi się — zapachem — nie pomorskim przecie. Coś jakby egzotycznego, niby Ali, lub Soliman; czy nie prawda, pani? Wspomnienia! Bo mój ojciec — był polakiem pono. To są głupstwa zresztą. A wojsko rzuciłem, bom zmądrzał potrosze. Chciałem żyć, nie trwać, a zdało mi się, iż ja specjalnie przydam się życiu, a ono mnie — na tem polu może. Zatem... I cóż, młoda,

złościwa Wando słowiańska, Wando polska, „co nie chciała Niemca“?

Ostatnie słowa wyrzekł po polsku — osobliwym, niemieckim akcentem, wymową łamaną; patrzył na nią.

Irena podniosła powieki.

— Nic, panie majorze, nic, panie doktorze. Słucham... mogę słuchać... Pan nawet po polsku jeszcze jakby?... Słucham.

— Kciałby po polsku gadać, *meinewegen*, cóż to szkodzi? — mogię z panią i po polsku gadać, ale już nie umiem nic. Rozumiem, że *Doctor*, co tak śmiesznie gada, *so wie ein gemeiner*, gorzej może jeszcze, śmieszny jest. *Nichts zu machen!* Jeżeli pani kce — *sie müssen mich* z dobrem inwen... — jak to sze wymawia? — tarza, z dobrem inwentarza, *nehmen*. Trudno!

Irena patrzyła na Gooda, który z Friedrichem rachunki załatwiał.

— *Aus Provinz Posen* my absztamujemy, z nad jeziora Gopła... *Ur-Polen*, chee... *Alles, alles vergessen...* *Möchte lügen*, gdybym gadał, że do *Polen Hass* czuję, albo gniew tam jaki. Eee, *meine gnädige*, to są bajki przecze, że każdy z nas kciałby wnet was *fressen* tylko. My was lubiemy nawet...

— Doprawdy?

— *Ja, ja...*

Przybiegła Marta i wzięła go za szyję.

— *Vater...* *Ich möchte schon nach Hause...*

Doktor rozśmiał się.

— *Sei doch nicht dumm, Maiglöckchen... Naa... Küß mich...*

Przyglądził jej złotawe włosy, nadstawił twarz.

Marta podeszła do Ireny.

— *Ich hab sie so gern... Sie sind so niedlich, meine liebe...*

Polasiła się. Irena przyciągnęła ją ku sobie.

— *Sprichst du schon Kein Wort polnisch, Martha?*

— *Pol-nisch?*

Czysty, dźwięczny śmiech potoczył się...

— *Pol-nisch?*

Pobiegła z powrotem do matki.

— Skąd? — rozśmiał się rubasznie. — Pani *Patriotin*, jak widzę! *Ultra-Patriotin!* Że kiedyś *mein Vater...* *Mein Vater!* — wyskrzeczył się.

Wyjął z kieszeni cygaro. Obciął je.

— Pani pozwoli... majorowi w rezerwie? Pruskiemu?

Irena skrzywiła się.

— Niechże pan będzie dowcipniejszy... pruski panie doktorze.

Fräulein Liszt, nauczycielka Marty, zbliżyła się na chwilę.

— Same — renegaty! — zauważył wesoło doktor. — Ja i ta — węgierka. *Eine Ungarin!* Prawie *Cousine* Liszta. *Und so ein deutsches Mädel! Ein braves deutsches Mädel!* A Liszt sam? *Schlechte* wszystko ludzie! Fischer... *Der stammt auch aus..*, no, z *irgendwelche*... Pszecz on w *Schlesien* był troszeczkę!

Gładził brodę, dyskretny uśmiech igrał mu na ustach.

— *Bin kein frecher Kerl... Ich versichere Sie; mam viel, viel Sympathie für ihre Heimath und Landsleute...* Jest przecie *originell* nawet tam od was pochodzisz. Nietzsche... *Der war stolz sogar darauf...* *Aber — er war Philosoph...*

Szeroki gościł pokrył słowa owe, doktor zjeżył się. Z cierpkim niesmakiem odezwał się nagle:

— *Vielleicht kommt die Assimilation von selbst*, zupełnie naturalnie, *nicht* za pomocą *hakatistischen Mitteln...* *Wir, Preussen, sind nicht alle Lumpen, kreuzhimm.. Polen*, cha, cha, to jest już czas *perfectum!* *Eine ex — Nation*, jeszli tak można powiedzieć. Niech sze pani nie obraża — *ich sage es ganz* szczerze i poważnie, *ohne jede Absicht* pani nieprzyjemnosz robicz...

— Im prędzej, tem lepiej... — rzekł po chwili. — Poco przedłużasz konanie? I dla was i dla nas! *Gute Deutsche* — a po drugiej *der Grenze — gute russische Bürger*, nie, *gute Deutsche und Russen*, — to będzie *ganz*, jak trzeba! *Polen ist schon verloren!* — *und hilft nichts, meine gnädige.*

Zaśmiał się gązieś puszczyk niespodziewanie i gdzieś, zdaleka, załomotał w okna jakiś wiatr plugawy. Opuściła brzemiennie sromem powieki — lekki dreszcz przeszył jej jedwabne ciało...

— Słyszałem, że pan jest poważny i dzielny, i nie od Fischera przecie, że pan jest — zaśmiała się nagle.

— Że jestem? *Dass ich bin?* Chce... *Ich*

danke herzlich... Że jestem? — przyjrzał się jej uważnie.

— Że pan jest — powtórzyła z uporem.

Es ist schlecht — mówił poważnie i z żalem jakgdyby — jeżeli się *eine Schovinistin ist*. Co daje *der Schovinismus, der falsche Patriotismus?* — Głos załamał mu się, przeżył się smutkiem. — Polaki nie umieją w czas umrzeć, by *logisch auferstehen — als Deutsche oder Russen. Man muss, przekonanie i odwagę dazu haben!*

O, tak, o, tak... — odrzekła.

Ozwało się pianino, — muzyka nagła, drżąca. Odbijały ją ściany ze zdumieniem — zaskoczony, nieufny, oszołomiony. Przewodni motyw wibrował dojmująco, czolgając się. Wzerał się w serce i myśli, starając się je zranić. Potrząchał lachmanami tajnych uczuć, by skowyt z nich wydobyć, rozszarpać je. Raz jeszcze budziła się ta żmija, co w głębiach duszy skryta, krew szalu z niej wysysa...

Irena słuchała z odurzeniem. Niezgaste nigdy rozrzewnienie wypełzło płomieniem na policzki, skurczyły się usta. Oczy owionął cień zadumy gorzkiej, dłonie się związały; — smukłe, cienkie palce chwytaly coś, co uciekało...

Doktor przyglądał się jej. Podziwiał całą piękność tej krasawicy polskiej, co jakby zbłękitniona, szła w pomrok dali. W pewnej chwili zmrzył zlekka oczy. Rzekł swobodnie, z odcieniem uprzejmości:

— *Polnisches Lied...* Polskie szpiewanie...

Fischerowa grała dalej...

Irena słyszała ten głos — nieistniejący, niemy, a wyraźny. Drzał skargą, a i płaczem tajemnym, a i jawnym, jak zawsze... Kąsał trzewia i padał oniemiały, jakby ów szal, który nim tak władał i skonał już na wieki...

...My już bez skargi nie znamy śpiewu, Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń... Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu, Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

Nędzny robak, — maleńki, ledwie znaczny, robak szydu i niemocy tępej, wygrzął się z zakamarków jaźni, niby na spotkanie głosowi owemu. Podłem, ostrem ślepiem wgrzął się w świadomość, siejąc swe miazmaty... Sztucznym uśmieżkiem brał poczucia we władztwo i kąsał...

...I znów powstajem w ufności szczerzi,
A za Twą wolą — — — — —

Lekkie wypieki wypelzły jej na policzki. Gorąca rosa zwilżyła tajemnie powieki i zastygła niemo. Ból przeszył swym sztyletem serce celnie, bezobłudnie i wyszarpnął je. Ciepły, żywy strumień krwi zalał piersi.

Kołysały się.. Podnosiły się i spadały — nie za mocno i nie za słabo także, jak w cierpieniu właśnie. Von Schlem, który podszedł nieco, patrzył na ruch ich z ukrytą lubością.

Fischerowa wstała.

Wollte Ihnen kleine Freude... — zwróciła się do Ireny. — *Wir haben dies Lied sehr gern. Polnisches Lied — so Heisst es bei uns.*

Doktor potaknął głową.

— *Ja, ja. Doch Keine Polenfresser, nicht wahr?*

I gdy Fischerowa odeszła, dodał jeszcze:

— Myszamy tekst *des Liedes sogar...* tego szpiwania. Młody *edler Pole wird von Tataren* porwany, jak sze u was mówiło — w *Jassy* *genommen*. *Zu Hause*, w domu, została młoda żona, *die junge Frau*, z małutkim synem. *Platze* i ten-skn! — *nicht wahr, so wird dieses Wortausgesprochen?* — ale na darmo: *der Vater* u tatarów w niewoli! Tak rośnie *der Junge* z miszłą o odwecie, o *Revanche*. Aż już jest duży, idzie na wojne daleko, bije sze z tatarami, mszczi sze za cierpienia ojca, *vielleicht* za jego szmiercz? *Mit polnischen Regimenten* trafja na *Crim* i tam spotyka sze z jednym starym człowiekiem, polakiem, *Pole*. Ten opowiada, że kiedysz został przez tatarów porwany, w *Jassy* *genommen*, i jako *Slave*, niewolnik, do tej pory *behalten*. On miał młodą, miłą żonę i syna, którego tak kochał... Łzy płyną z oczu starego człowieka. A młody *Ritter, der Schlachtisch* słucha... Słucha głosu... *seines Herzens*. I nagle rozlega sze okszyk: *mein Vater!* — mój ojcz! Na piersz starego szlachlicza pada młody *Ritter...* Poznali serca sze poznały...

Obuch zadumy stoczył się jej z mózgu. Drgnęła. Ujrzała błyszczące policzki dokto-

ra i sinawe zęby. Instyktownie odsunęła się, — drapieżna niemoc zczaiła się, grążąc tajne oczy...

Drzwi się otworzyły, — wszedł Martin w czarnej marynarce i białym krawacie. Przykrótkie rękawy odsłaniały białe też mankiety. W dłoniach niósł ostrożnie tacę niklowaną, a na niej — owoce.

Skłonił się doktorowi. Poszedł wnet do niego.

— *Eure Wohlgeboren... habe die Ehre.. Früchte gefällig?*...

— *Nun... alter Kerl... wie gehts? Wie gehts, Kamerad?*

Martin wyprężył się.

— *Gut... Immer gut...*

Spojrzał koso okiem. Uśmiechnął się...

Echo jakby konało. Ciche słowa szły i gasy...

...*O, Panie, Panie! Ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas:
Syn zabił matkę, brat zabił brata...
Mnóstwo Kainów jest pośród nas!*

Martin lypnął okiem.

— *Herr Major... Herr Doctor... mit Fräulein Irene! Fräulein Irene!*.. — strzepnął ręką beznadziejnie.

Cień szedł, i skradał się. Zakrył pokój, wtłaczał się w rdzeń duszy. Opadł zimny i bezwładny.

...*Dla błądnych braci otworzým serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest*

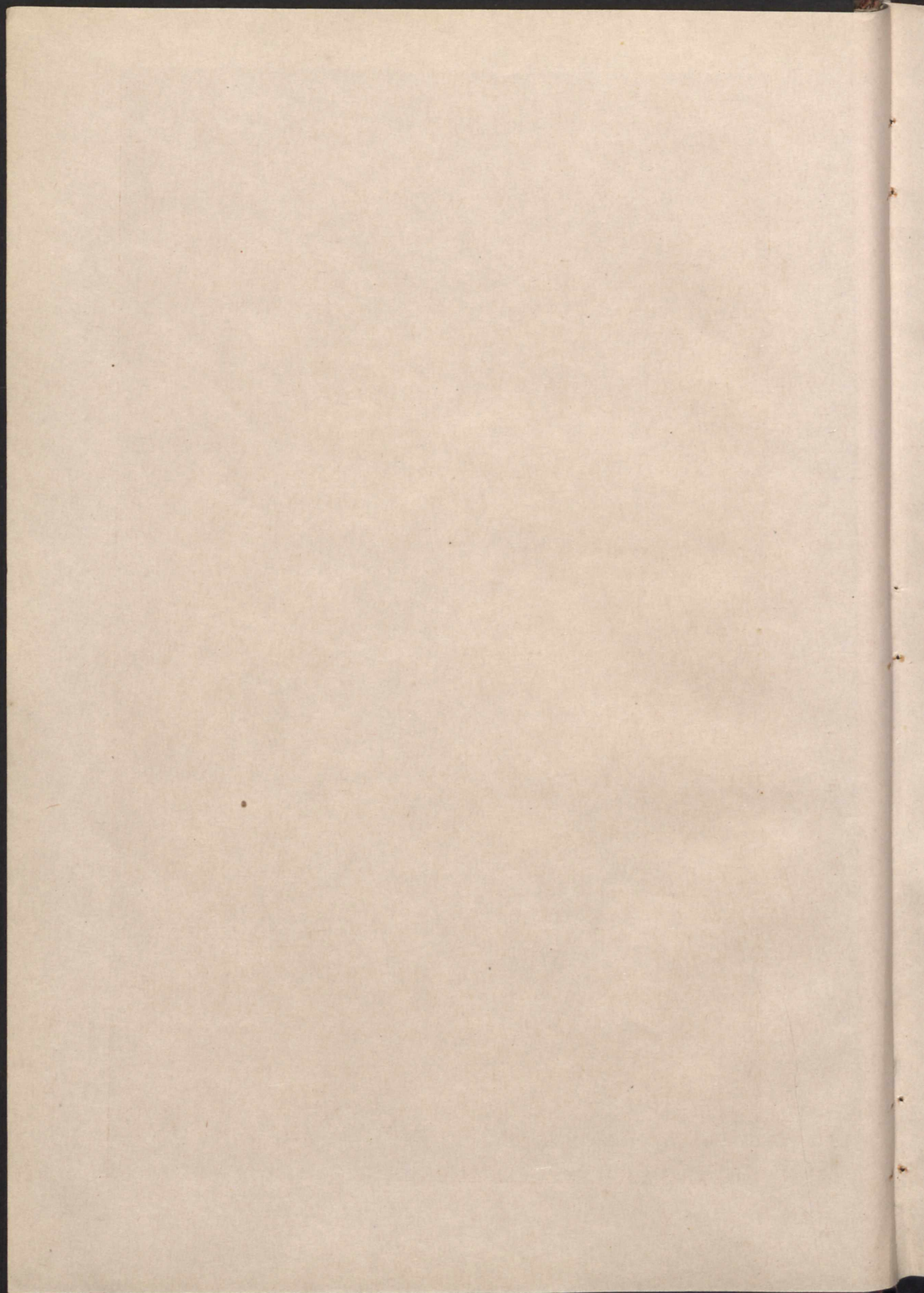
Irena odwróciła oczy. Ciężar powiek przytłoczył źrenice. Jedwabne, długie rzęsy stuliły się, twarz bladła, — zbladła całkowicie.

Wesołe, ręce dźwięki runęły nagle w przestwór. Wtargnęły z szumem i hukiem. To podochocony Kratz zaintonował marsza. Wnet przyskoczył do niego będący w „sztosie“ von Schlem, lecz zerknął na Fischera. Ów potaknął niemo. Von Schlem rozchylił czujnie swe wydatne usta; wychybnął się z nich gwizd, by złać się z muzyką. Duet rozbrzmiał z mocą.

Jan Augustynowicz.

PARA ARTYSTYCZNA





Para Artystyczna

Ludowa i Żmurko

Godzina ósma wieczór.

Przed „filarkami“ stoi Żmurko, zdenerwowany, z niepokojem wyjmując co chwila zegarek i nie patrząc, chowa z powrotem.

Witam go:

— Co pan taki?

Sięgnął po raz któryś do zegarka:

— Żona! dziś gra żona! —

Zdziwiłem się.

— I to pana tak denerwuje? Przecież artystka musi grać!

Zachnął się i pierzchnął, aby za chwilę wrócić i zacząć rozmowę urywaną, pełną domyślników, niedomówień...

— Pan myśli, że to tak można... Nie mogę wysiedzieć...

Byłem na górze przed chwilą... nie mogę... mężczy mnie teatr... Ja zaraz...

Biegnie w głąb cukierni, aby znowu przybiedz.

— Carla niema... miał być... gdzie on się podziewa?

To Giustiniani, jego przyjaciel.

— Nadejdzie, — mówię — niech się pan uspokoi!

— Albo to można! Z temi psami... mówię panu, okropność!

Para artystyczna lubi psy... trzyma całe stadko tych „swoich dzieci“, jak je nazywa...

Żmurko znów zadygotał:

— Mówię panu, z tymi modelami, okropność! Nic nie czuje, nie rozumie! Schulte pisał... dopomina się... Jak ja wyślę, kiedy nie mogę... Męczy mnie to! O, idzie! Nie! to nie on! Pójdę na chwilę na górę! —

Taki był zawsze.

Nie znał hierarchii zmartwień: przyczyna ważna, czy błaża wzruszała go jednakowo, wibrował, jak sejsmograf, ustawicznym niepokojem ciskany.

Niepokój o żonę, mistrzowską artystkę! Niepokój o ulubienicę publiczności, która huraganem oklasków wita ją i żegna!

A może...

Może tam, o tej godzinie, trzeba by gdzieś być, kogoś skontrolować... Może...

Para artystyczna...

On, czarnowłosy, demoniczny, wulkaniczny, elektryczny poprostu swoją nieustanną ruchliwością i ona, majestatyczna, spokojna, symetryczna, jak architektura, chłodna jak klimat Norwegii...

Chociaż...

Wszak chłodne wybrzeża Norwegii kryją w swych głębiach niedostrzeżonych dla powierzchni oka fiordy rozkoszne, pełne śpiewu ptasząt, kwiatów, zieleni i słońca...

Ale na zewnątrz chłód skalisty i spokój jasnowlosy i cisza.

Żmurko uwielbiał swoją panią za wykuint, wyrafinowanie estetyczne, za dobroć, z jaką go okrywała płaszczem opiekuńczości przed troską dnia.

Było w tem coś z macierzyństwa, to otaczanie dużego dziecka nieustanną, pieczołowitą troskliwością, równą i czuwającą, to wylawianie z fali zdarzeń wszystkiego, co razi lub nęka...

On to przyjmował bez namysłu, to było tak mile, tak potrzebne!

W pracowni zgasłego mistrza jest obraz niedokończony: jakaś dama zaledwie naszkicowana, szata kilkoma kreskami naznaczona i ręce.

Ręce spoczywające na kolanach, piękne jak kwiat...

To ręce żony...

Dobre, opiekuńcze ręce...

A jednak odbiegało się od tych rąk marmurowych bogini do innych, mniej pięknych, może wcale niepięknych, może dla kontrastu, a może...

Bo koniec końców najbardziej macierzyńska opiekunka jest zawsze opiekunką, trochę strofującą, nieco żenującą, zwłaszcza gdy opiekunką jest imponująca bogini...

Więc od czary korynckiej, do zwykłej

amfory, a może właśnie jemu, Petroniuszowi, niezwyklej...

Więc „laudemus feminam!“

Czcijmy tę dostojną, jasnowłosą, ale...

Pewnego dnia zadzwoniono do mieszkania pary artystycznej.

Jakiś lęk zdjął panią; ten dzwonek, zwykły dzwonek odezwał się jakimś echem nieszczęścia...

Mistrza nie było w domu, a o niego pytano; nazajutrz, to samo.

dzą zbrodniczą, oczy przymknięte a gorące nie były w obraz zupełnie zakłute, gdyż stanęła temu na przeszkodzie niespodziewana, tragiczna śmierć żony pana, który chciał piękną swoją na klucz zamykać złoty...

„Ewa“ Żmurki, to najbardziej mistrzowski jego obraz kobiecego ciała, tchnący zwartą rozkoszą milującej kobiety...

Ale tragiczna „Salome“ jest wyśnionem pragnieniem artysty.



ŻMURKO — PROFIL

— Mistrzu, — rzekł ów co był wczoraj, — pragnę mieć portret mojej żony, przez pana malowany. Umieszczę go w ramie krytej, zamykanej kluczem złotym, i sam tylko będę oglądał bogactwo kształtów twoją sztuką unieśmiertelnionych...

...I oto narodziła się „Lwica“, za nią „Ewa“, „Lydia“ i pełen żaru namiętności szkic do „Salome“.

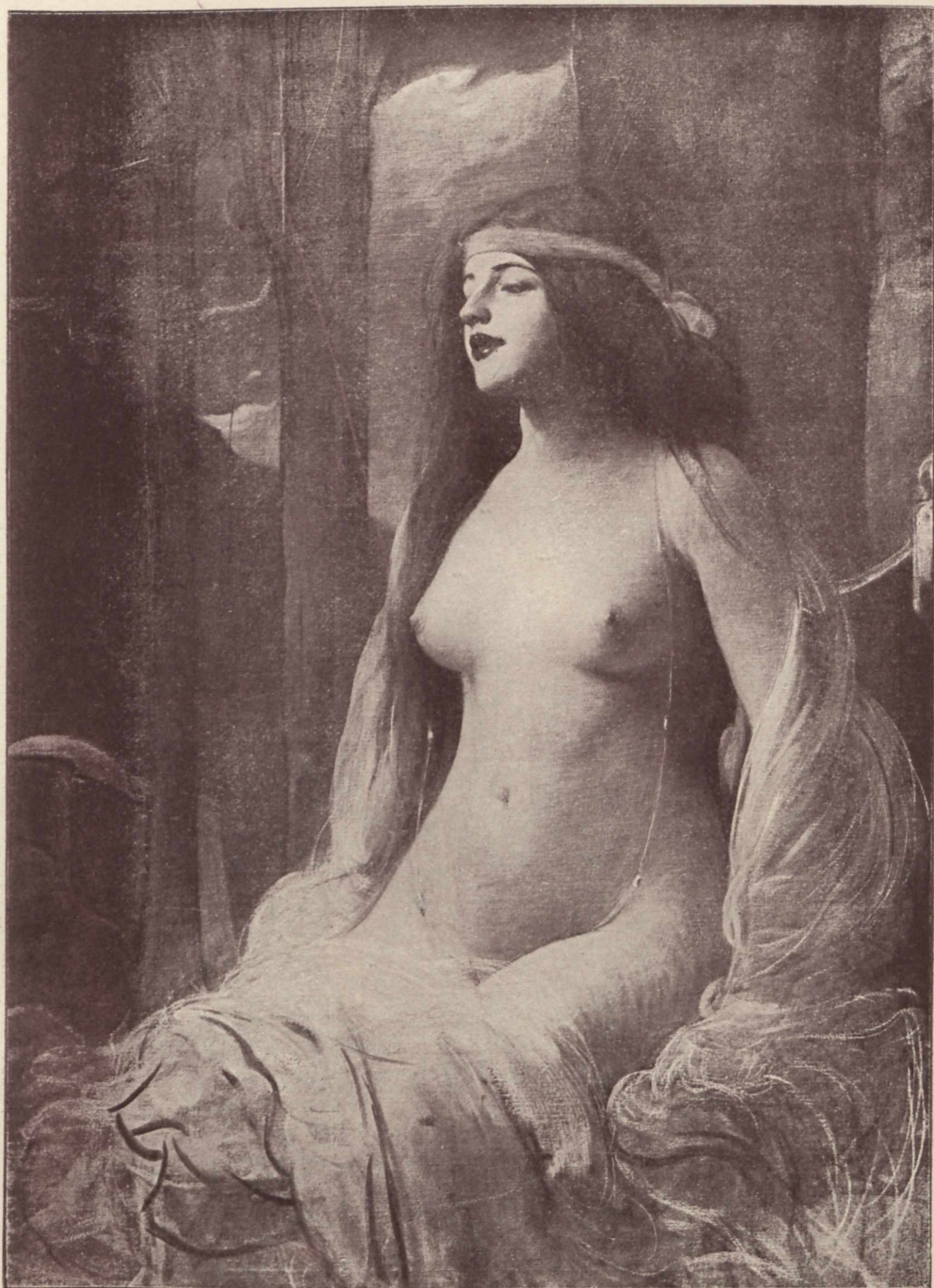
Usta krwiste i wilgotne, nabrzmiałe żą-

— Chcę namalować takie „szydercze, przekłucie umiłowane usta!

I namalował nieśmiertelną rozkosznicę.

Aby dotknąć upragnionej głowy, aby wbić palce w martwe oczy, aby wgryźć się w usta śmiertelne... A potem... jakże żyć? Z tymi palcami zbrodniczymi, z tym lodowatym pocatunkiem na skamieniałych wargach? Trzeba odejść...

I odeszła...



FR. ŽMURKO — BAJKA



FR. ŻMURKO — NIEWINNOŚĆ

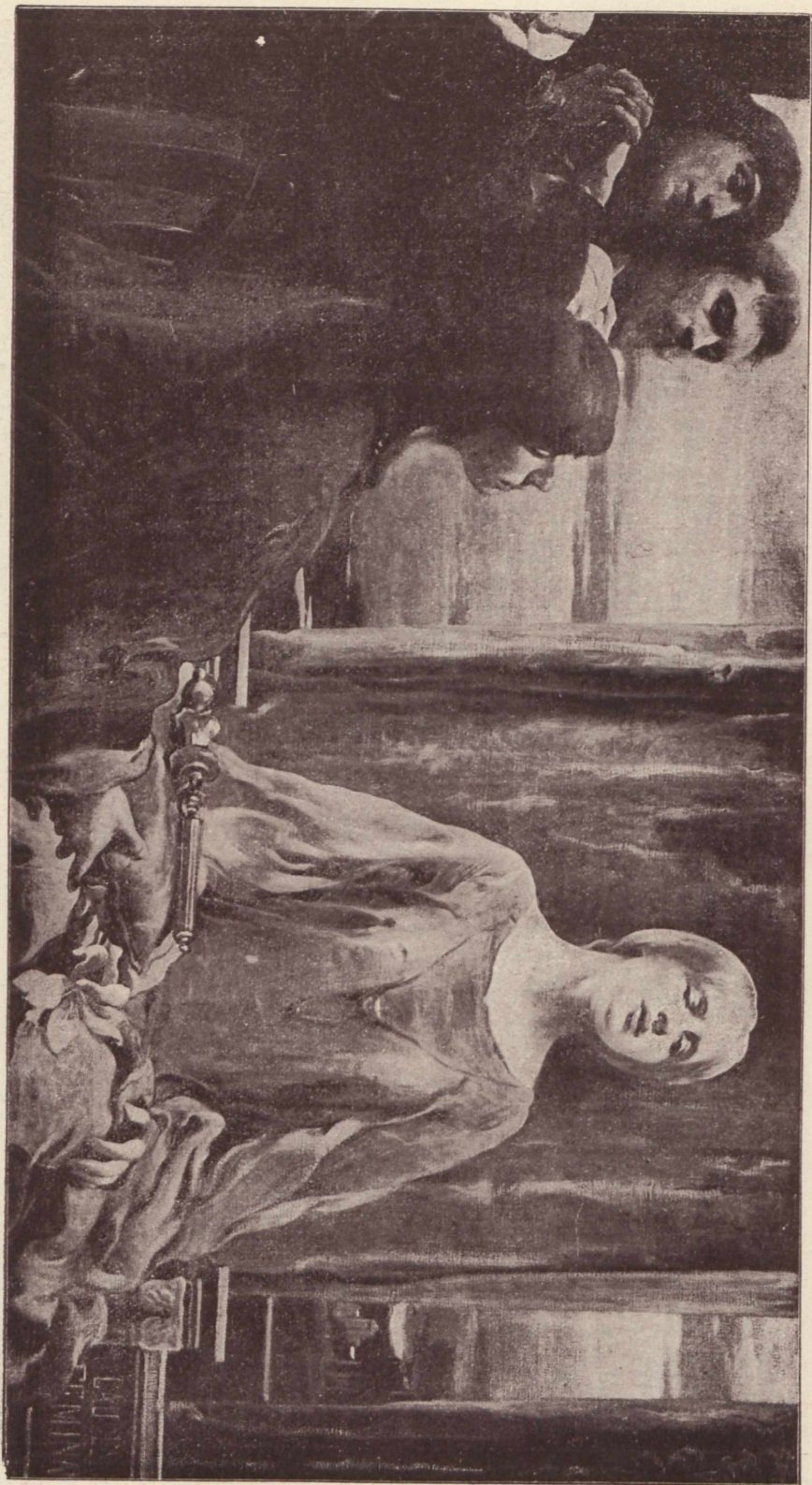


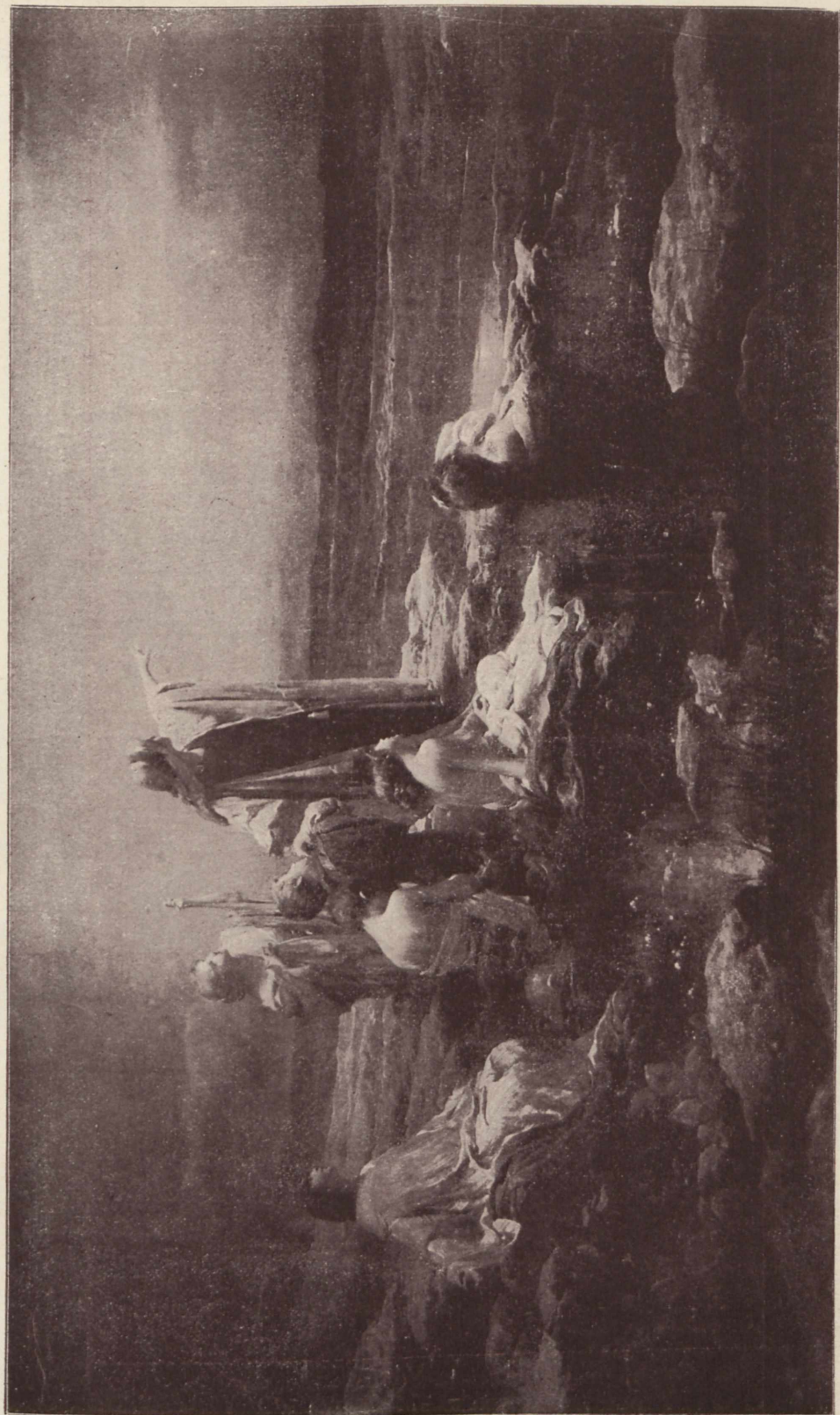
FR. ŻMURKO — UNA DONNA



FR. ŻMURKO — PATRYCJUSZKA

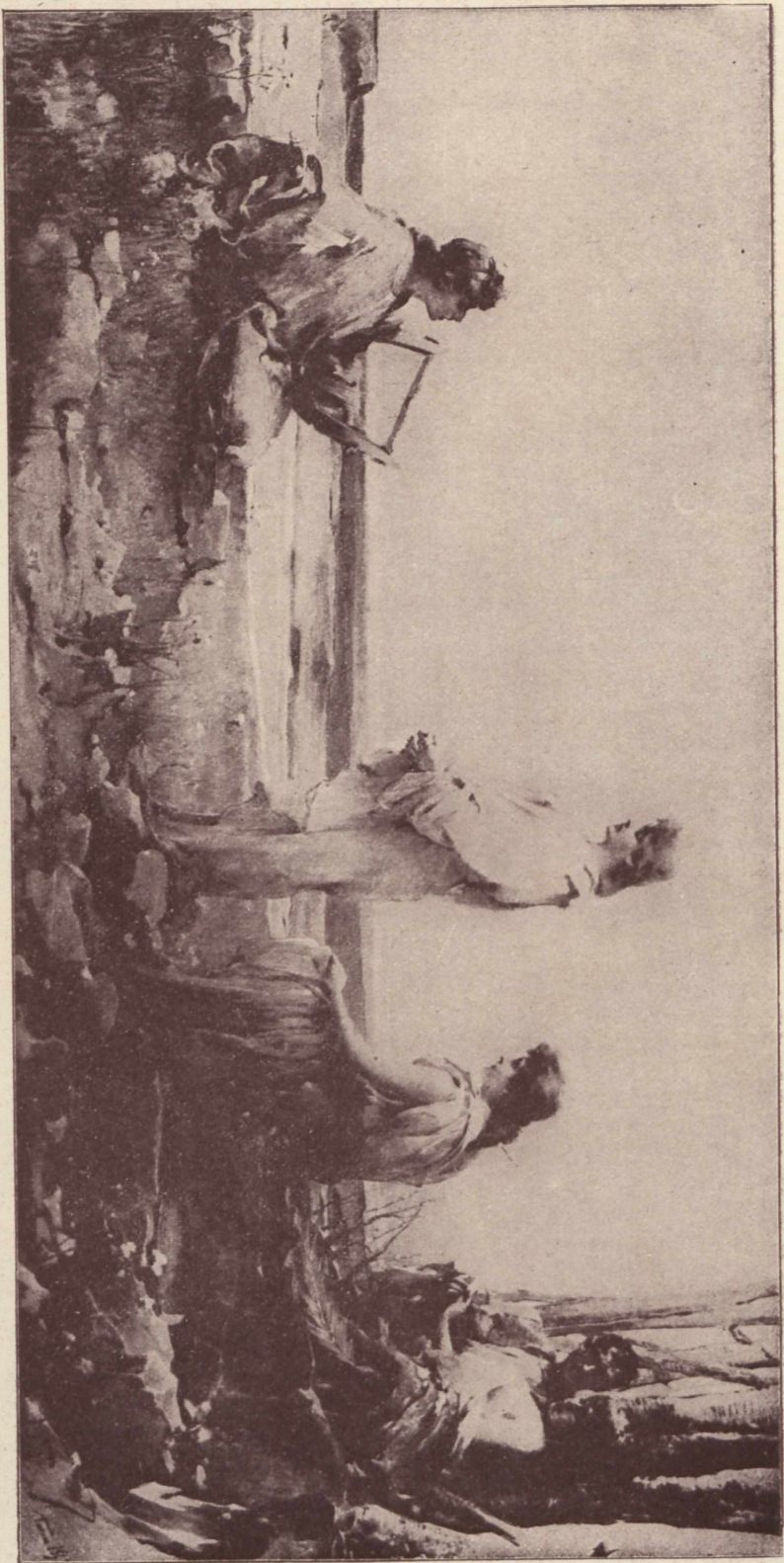
FR. ZMURKO — LAUDEMUS FEMINAM





FR. ŻMURKO — GWIAZDA BETLEEMSKA

FR. ZMURKO — PIESŃ WIECZORNĄ.



Purpurowa karta dziejów duszy twórczej przewinęła się z szmerem bolesnym, po niej nastąpiła błękitna stronica wytchnienia.

Zaczęła się „Bajka“, czarowna, marzenna, z krainy snów zwolana, echo dalekie, kojąca...

Ale gejzer pozornie tylko przycicha: w głębi wre gehenna ustawiczna, która za chwilę kaskadą gorącą wystrzeli.

Więc „Bajka“ z idylli stała się wkrótce namiętną sagą skandynawską, znów nastąpiły dręczące niepokoje, mnące duszę artysty aż do upadku sił aż do niezdrowia.

A pani? Cóż pani wobec tego?

Czy dusze dostojne cierpią? Nikt nie wie ze śmiertelnych co się dzieje w świętem-swiętych.

Nikt nie wie, więc niewiedział i on.

Lekarze zalecili mu spokój i odpoczynek.

Wtedy pani porwała pana i wywiozła go na brzeg jasny, gdzie wszystko jest rzeczywistością słoneczną, gdzie niema „Bajki“.

Nastąpiła chwila kojenia, chwila usiłowań uzdrowieńczych.

— Odpocznij, — mówiła pani, — uspokój się. Może chciała dodać: — zapomnij, — lecz ten wyraz niemógł przerząbać się przez dumę bogini...

Ale pieszczochi losu był zbyt rozkapryszony aby chciał zrosłinnieć, a istotnego stanu swego zdrowia nie znał jeszcze, nie wiedząc, że każde wzruszenie, ba, każde silniejsze poruszenie było groźne!

Pędził życie ruchliwe, troskał się o rzeczy urojone, wreszcie zatęsknił do „Bajki“.

— Muszę ten obraz skończyć! — zdecydował i postanowił wracać do Warszawy. W tym czasie sława Żmurki doszła do zenitu.

Od pierwszych obrazów malowanych pod wpływem Makarta („Salambò“, „Jus primae noctis“ etc), aż do ostatnich bled cych rezultatem rozkochania się w starych mistrzach weneckich, przedmiotem jego malarstwa była —

kobieta, i tak było do ostatka.

Pomimo fałszywości twórczości, każdy prawie obraz był dla niego przedmiotem udręki.

Dziś, zadowolony, uradowany opuszczał pracownię, myśląc o namalowanym obrazie, jutro wracał z brwią namarszczoną, i zaczynał przemalowywać jakiś szczegół, od tego szedł dalej i zmieniał wszystko. Zadowolenie mijalo, radosny nastrój ustępował zgryzocie. Tak było z innymi, tak było z „Bajką“.

Kilkakrotnie przemalowywał skończony już obraz, nie kontent z jakiegoś draperyi, to znów ruch był nieodpowiedni, a gdy i to było osiągnięte, uznawał, że ton jest niewłaściwy i niszczył dzieło całkowicie.

Ale wracał uparcie do „Bajki“ i cierpiał poprostu, zmagając się z wymarzoną wizją, której wcielenie chciał mieć w obrazie. Męczył model, unosił, zapominając, że to był tylko model... rozpaczal. Jego „Hetera“, (zakupiona do zbiorów Tow. Zachęty) była malowana z obojętnego modelu, którego fantazja artysty przerodziła w dzieło niezwykle.

Tutaj było inaczej.



FR. ŻMURKO — KUSZENIE

Tutaj, nastąpiło załamanie się porządku twórczości: artysta w modelu pragnął widzieć wizję swej wyobraźni, chciał, aby był „Bajką“, a to było przecież niemożliwe...

„Primavera“ Boticellego nie chodziła nigdy po łąkach tej ziemi, „Monna Liza“ Leonarda da Vinci była w życiu tylko czcigodną żoną swojego „messer“ małżonka.

Artysta mówił rzeczywistości:

— Bądź „Bajką“! — Zaś rzeczywistość żyła się na takie zamachy awatarowe, czy jak tam, i pozostawała sobą.

To było źródło ostatniej udreki zgasłego mistrza, udreki, która skróciła jego życie.

Dalekie od trosk, zwykłych bytowania innych artystów, pełne powodzeń artystycznych i miłosnych, bajkowe życie artysty zakończyło się — „Bajką“.

W pełni męskiego wieku, w rozkwicie sławy, zeszedł Żmurko ze świata.

„Ukochani przez bogów umierają młodo“.

A on był do ostatka młodym, dalekim od zmierzchu sił twórczych i życiowych, zawsze ognisty, pełen pragnień i planów na przyszłość, do ostatka energiczny i silny.

Dwa żywoty płynące obok siebie, dwa bujne potoki, zbliżające się, to oddalające, lecz nigdy nie spłynięte w jeden, przestały razem jaśnieć na horyzoncie sztuki.

Błyskawiczna egzystencja niepospolitego artysty pomknęła złączyć się z cieniami ukochanych mistrzów, tak niespodzianie

i nagle, jak niespodzianym i nagłym był jej rozkwit i polot.

Zmąciła się dusza pozostałej, jak rzeka zatamowana przez zwaloną skałę, zwichrzyła się i zawirowała, lecz wolą niezłomną wsparta, przewyciężyła dławiec rozpaczy i mężnie poszła w samotność.

W zacisznym apartamencie przy ulicy Smolnej mieści się pracownia twórcy „Gwiazdy Betlejemskiej“.

Wszystko zostało nietknięte, tak jak było dawniej.

Oto podjum dla modela, oto stolik z farbami, obraz niedokończony, rysunki, garsć pędzli leży przy palecie. Nikogo...

Czasem z głębi mieszkania, korzystając z drzwi uchylonych, wpadnie pies ulubiony, obiegnie pędem pracownię, stanie zdziwiony, obejrzy się raz jeszcze, poszuka i łeb opuściwszy, na zwykłe legowisko wraca.

Czasem intruz do dzwonka się pokwapi.

— Może pani baronowa tu mieszkać nie będzie? Może by wynająć?

Ale trzeba widzieć apartamenty pary artystycznej, aby zrozumieć, że pani „mieszkać“ tu musi, tutaj, w skomponowanym przez siebie, literalnie skomponowanym zaciszu.

Trzeba widzieć ten smak urządzenia, nie tapicerski, na zamówienie: tu portjera, tam dywan, owdzie mebelek, konstruowane jednocześnie dla setki mieszkań: to trzeba widzieć.



FR. ŻMURKO — PRÓŻNOŚĆ

Kto chce, niech próbuje, może mu się uchylą zamknięte podwoje... ale nie! to na próżno! nikogo nie przyjmą. Mają już ludzi dość!

Czasem przesunie się miniaturowa figurka panny Natalii, wiernej towarzyski „pani baronowej“, biegnąc z wieścią o awanturze...

Gdyż w owem zaciszu dzieją się awantury, prawdziwe awantury, które bywały dawniej. dzieją się i dzisiaj. Halaśliwe, donośne, dochodzące do krwi rozlewu, pełne jęków rozpacz i upokorzonej słuszności.

To walki „dworzan“...

Wczoraj odbyła się walka o pantofel pani: który go ma podać? Zaciekle, hardy, awanturczy Krokodyl rzucił się na Chłopaka i kły mu w karku zatopił. Lecz flegmatyczny Chłopak szybko uwolnił się z niebezpiecznego uścisku i do krwi uszy Krokodyla pokąsał. Rozległy się jęki bolesne pokonanego, Chłopak pantoflem zawładnął, rzucono się do pobitego, opatrunki, pieczyoty...

Spowinięta, plejzerowana lala spoczęła na miękkim posłaniu, niepocieszone oko wygląda z pod bandaża, błyskając smętnym wyrazem sponiewieranej ambicji...

A pozostali „dworzanie“, jest ich bowiem sporo, dobijają się do drzwi, zapytując:

— Co się stało, wpuścić nas tam!

„Dworzanie“ — psie stadko pary artystycznej! Przyjaciele, niewolnicy i teroryści wjeżdżających osobach!

Pani domu, żona artysty. Wszystko ona. Sprawy domowe. Pan maluje. Inaczej pomyśleć przecież nie można!

— Moja droga... ty już tam lepiej... sama...

— Moja droga... Wiesz? trzebaby owo tamto...

Albo:

— Mój drogi... Zalatwione już tamto owo...



FR. ŻMURKO — GŁÓWKA

— Czy być może? To było: jakieś tamto, owo?

Naturalnie, że było, tylko pan o tem nie wiedział, nie wtrącając się do niczego.

Podczas rozruchów trzeba było przenieść się z nad Wisły na Smolną.

— Mój drogi, przeprowadzamy się.

— Dokąd?

— Pojdz, znalazłam, obejrzymy!

Poszł, obejrzel, pan słucha, pani mówi:

— Tu będzie tak, a tam tak! obicie takie, o! tu będzie taka perspektywa.

— Jak ty to dobrze widzisz! Możebyśmy już poszli?

Wychodzą, pani wydaje rozporządzenia robotnikom i wraca do domu, a pan wychodzi na miasto i mówi znajomym:

— Tyle kłopotów! Jak tu malować!

— Moja droga, ty myślisz, że to tak łatwo powiedzieć: — maluj! — Tyle kłopotów!

— Jakich?

— No! z przeprowadzką!

I wychodził kłopotać się [do pracowni, a pani jechała na nowe mieszkanie dyrgować urzędaniem...



FR. ŻMURKO — TANIEC ŚWIĘTY

— Cóż takiego?

— Przeprowadzka! Urządzenie! Okropność!

I martwił się kłopotem żony, pracowicie biorąc udział w jej krzątaniu—zmartwieciem...

— Mój drogi, uspokój się,—mówi pani,—maluj!

Pan kładzie łyżkę na stole i wybucha:

A przecież „pani“, to nie była zwykła pani domu, to przecież była i jest artystka!

Jak i kiedy miała czas pracować dla sztuki, bywać na próbach, uczyć się ról, konfigrować z kostymerami, komponować szaty, — gdyż każdy kostjum robi się podług jej rysunku, — grać wreszcie?

Pani Lilde zagałęza czas na wszystko.

Od pierwszego engagement za 50 guldenów miesięcznie, szła z mocnem postanowieniem zdobycia pierwszorzędnego stanowiska w teatrze.

I zdobyła.

A nie tylko w teatrze, lecz i w życiu.

Jakiś szczególny dar, niezwykła *manière d'être*, zdobyła jej wyjątkowe stanowisko w środowisku artystycznym, oraz dalej w kraju i hen, zagranicą.

Interesowała się twórczością dramatyczną

zawsze. Ona pierwsza wprowadziła autorów włoskich na scenę warszawską: Roberta Bracco, Marco Praga...

Robert Bracco przyjechał do Warszawy na premierę swojej sztuki: „Niewierna“. Po przedstawieniu chwalił jej grę, zachwycał się...

— Panie, przecież pańskie sztuki grały znakomite artystki... — odrzekła Lüdowa...

A Robert Bracco odrzekł:

— *Le altre artiste sono state delle donne, e lei siete una signora!*

Una signora! Oto określenie!

Jest nią na scenie i w życiu.

Jakiś czar dostojności wieje od tej renesansowej postaci, wyraża się w jej stanowczości, mocy charakteru, urodzie...

A przytem jaka świeżość wrażliwości!

przekreślić, ale ja nie mogę przecież wrócić na scenę i powiedzieć: proszę państwa, zaraz... ja to inaczej zrobię...

Tak mówiła nieraz ta wszechstronnie utalentowana artystka, która grała role od staruszki w „Świecie nudów“ Paillerona do „Lilli Venedy“ Słowackiego, od Klitemnestry w „Elektrze“ do „Gniazda rodzinnego“... A zawsze znakomicie!



FR. ŻMURKO — SALOME

Gdy grają koledzy sztukę, w której ona nie występuje, siada w krzesłach, patrzy na scenę i podziwia.

Ona, wielka artystka, świadoma środków aktorskich, niema na oczach zasłony: tylko ją! Entuzjastka sztuki zachwyca się każdym dobrem odezwaniam aktora, ruchem, gestem...

— Jak on to świetnie zrobił!

Nieraz oklaskiwana, wywoływana, wracała do domu, zalewając się łzami...

Tam, w tem miejscu, należało powiedzieć, zrobić inaczej...

— Malarz może przemalować, literat

A wielkie role w „Janie Gabryelu Borkmanie“, „Półświatku“, ukochana rola w „Gnieździe Rodzinnem“ Sudermana. „Hedda Gabler“, „Opowieść zimowa“, a w sztukach Kozłowskiego, wskrzesiciela naszej przeszłości: „Dyane“, „Reducie“, renesansowym jego „Turnieju“, w sztukach szyllerowskich, A Szekspir? Nie było sztuki na scenie warszawskiej, w której występując nie oślśniła by, nie porwała... A świetna rola w „Idealnej Żonie“ Marco Praga? Chociaż jej emploi to role komedjowo-salonowe, grała tragiczną „Lillę“ z powodzeniem, grała Ibsena!

„Koncert“ Bahra, „Cwiartka Papieru“, „Kołęty z Kamienia“, „Odrodzenie“, „Mąż i Żona“ Fredry. Jest zdaniem ogólnem krytyki, że tak jak ona nikt już w tej sztuce nie zagra!

„Stryj Sam“, „Cudzoziemka“, „Świętoszek“, „Przyjaciele“, „Jak się wam podoba“, „Miłość czuwa“, „Zgon Miłości“ Roberta Bracco, — to wyliczenie samo już wykazuje bogatą skalę jej talentu, różno-

— Postać to wszystko, słowa, to dodatek... — mówi ta głęboka artystka...

I teraz, z całym zapalem przygotowuje rolę Maryi Ludwicy w „Orleńcu“ Rostanda...

Wartuje albumy z kostyumami epoki, studjuje uczesanie, ozdoby, czyta pamiętniki, charakteryzujące obyczajowość epoki...

Już niema o kogo się troskać, kim się opiekować, cała energia teraz oddawana jest sztuce...



FR. ŻMURKO — JUS PRIMAE NOCTIS...

rodność i wszechstronność natchnień artystycznych!

Gdy jest na próbie czytanej, nie słucha: ona patrzy. „Signora“ patrzy, bo *widzi* postaci sztuki, widzi je w ruchu, w życiu, w najsubtelniejszym geście...

Widzi, jak są ubrane, widzi kolor ich szat do tego stopnia, że mając grać w „Intrydze i Miłości“ ujrzała siebie w czerwonej szacie pewnego rzadkiego odcienia i w takiej tylko grać chciała...

Ale tego odcienia znaleźć nie można było w Warszawie, dopiero po długich poszukiwaniach znaleziono w jakimś antykwaryacie kawałek materyi, podług której przygotowano kolor w fabryce i przysłano do Warszawy.

„Signora“ mogła wystąpić w „Intrydze i Miłości“...

Dla artysty zdobyć sławę, to jest szczęście; — co tam smutki i smuteczki, sława przede wszystkim. Ona ukoł, pocieszy, ona jest tym przednim lekarzem, który sładzi gorycze, ona jest tem szkiełkiem różowem, przez które kiry widziane nie są tak... kirowe; co tam grób, — zasypać go zdobytymi laurami!

...Medal złoty na wystawie powszechnej w Paryżu, za swą „Gwiazdę Betleemską“, która obiegnęła całą Europę i „zdobi“ obecnie galerję p. S. Rofwanda; medal złoty w Filadelfii za „Pieśń Wieczorną“, medal nadzwyczajnie pięknej robo-

ty medaljerskiej, do noszenia na wstędze koloru cadmium...

Za „Kleopatę“ w Monachium też medal złoty, w Brukselli medal za ogólną działalność artystyczną. Holandya, kolebka arcy mistrzów, tak cenila Żmurkę, że gdy raz przybył do Amsterdamu i poszedł do muzeum dzieł sztuki i zapisał się w księdze zwiedzających, kustosz, dyrektor, całe biuro wybiegło na powitanie mistrza, uczczono go zwrotem pieniędzy za bilety wejścia... Zważ czytelniku, że to stało się w Holandyi, matce artystów... Gdyby artykuły, poświęcone Żmurce przez krytyków hollenderskich, były przetłumaczone na język polski, stałyby się miłą niespodzianką dla polaków... Tyle tam znawstwa naszej sławnej przeszłości, na tle której jest rozważany talent artysty, tyle tam sympatyj dla „tak wielkiego a rycerskiego narodu, który

wydał tylu znakomitych uczonych, a obecnie dał panteonowi sztuki europejskiej mistrza-malarza – Fr. Żmurkę, którego dzieła mieliśmy szczęście oglądać... it. d. i. t. d. artykuł tak długi, jak – polska niedola... A było ich sętki!

Czy chcesz wiedzieć, Sz. Czytelniku, ile Żmurce przyniosła gotówki tournée „Gwiazdy Betelemskiej“? *Via* Berlin, Düsseldorf, Bremę, Wiedeń, Monachium i t. d.? Otóż okrągłutkie 30,000 rubli, w antrepryzie Schultego, największego kunsthändlera berlińskiego, stałego odtąd nabywcy dzieł Żmurki...

W Petersburgu i w Moskwie sam autor urządził wystawę swego „Demona“ oraz „Pod wpływem haszyszu“ i sukces osiągnął potrójny: artystyczny, materyalny i – osobisty, gdyż petersburżanki i moskiewki biegły oglądać – pięknego, demonicznego artystę, wywierającego wpływ niezwykły na tłusciutkie serduška wrażliwych Maszutek i Petraszek... Ale wierny żonie niewzruszenie... owszem, owszem... wzruszenie, gdyż pewien okazały obiekt egzotyczny spowodował właśnie wzruszenie demonicznego serca, znam nawet tę historję, ale ponieważ „signora“ tej historji nie zna, a niewątpliwie ten artykuł przeczytać będzie, więc... daj czytelniku, ale muszę przemilczeć tę pikantną historijkę... Tak, tak! Wrażliwe jest serce artysty! Ba nawet: artysty serce jest wrażliwe! Piło więc z czary wrażeń miłosnych przez całe życie, piło to serce, naturalnie wraz z resztą jestestwa, bo inaczej nie

można, nie należy, nie wypada... Europa środkowa jest literalnie zarzucona reprodukcjami oryginalnych obrazów Żmurki, który wyrąbał się na czoło malarzy kobiecego ciała, niezwykłą formą ujęcia, odrębnym, złocistym kolorytem i zbro-



FR. ŻMURKO — PORTRET OJCA ARTYSTY

dniczą wprost zmysłowością. Jeśli jego kobieta mówi „Pragnę“! to ona pragnie uścisków, pieszczot i tam dalej, do zawrotu głowy, do pokąsania warg, do bielma ocz.

To nie jest słodka, wzruszająca kobieta Chaplina, to Messalina, która wracała z lupanarów „fatigata sed non satiata“...

Ale też jego modele! Rozplomienione żądzą, rozkochane w mistrzu, pozujące mu z całą namiętnością, szaleńcem, drgające huraganem krwi podczas pozowania, odsłaniające w miłosnym zapamiętaniu całą głębię udręki i rozkoszy zmysłów.

Pożary buchały z tych ciał marmurowych, ciskających swój przepych pod nogi artysty, miotanego rozpaczą, że tylko nikły logarytm tych burz purpurowych może wplomić w swe dzieło.

A że tam potem czyjeś cudne usta wykrzywią się bólem trucizny, że huk wystrzału wstrząśnie śmiertelnie łonem zrozpaczonej odrażonej.

To cóż!

Lwicy pozującej już niema, ale „Lwica“ na obrazie żyje i wiecznie żyć będzie!

...Ale tak malować to samobójstwo i trzeba sztukę kochać niezmiernie, aby co dzień kielznać szalę swoje i cudze i lód obserwacji wtłaczać w mózg gorejący.

A „Signora“ tworzyła także...

Ale jej mode-

le musiały być wyklinane z pisanych kartek roli, chłodne i milczące stawały przed okiem artystki, aby zapulsować krwią, zapłonąć, przemówić, powstać i trwać życiem, wskrzeszonym potężnym rozkazem talentu! Tamte obrazy, żyją wiecznie.

Tutaj galwanizowane muszą być ciągle napiętą wolą artystki, gdyż padną, zbledną, rozwieją się w oddal, w nieobecność, w nic...

I codziennie zaczyna się walka twórcza: wcielone wczoraj, żywe, plastyczne kreacje dziś muszą być znów wywołane przez Cagliostro — aktorkę; tu! we mnie! tu! do mego serca! do mózgu! do krwi! do nerwów! Szata wasza, gesty, spojrzenia! do mnie! we mnie, do mego wnętrza, na chwilę, na dziś!

Artystka wchodzi na scenę, i dzieje się dzieś, przed latami, przed wiekami, stworzona wiza wskrzesza się w kształt żyjącego, usta żywe otwiera i jest!

Cud się isci! Z mózgu twórcy w mózg artystki...

Jej ręce to nie jej... jej oczy to nie jej oczy, jej myśli, to tamta, owa „Klitemnestra“, „Lilla Veneta“; on, twórca tworzy ją, ar-



P. LÜDE-ZMURKOWA

tystkę,—ona—tworzy jego! On tak chciał, lecz zaledwie cząstka została w niedoskonałym sposobie tworzenia; ale biegnie między karty książki chwytna intuicja aktorki i odbudowuje posąg z *między wyrazów*, i tylko ten jest wielkim artystą — aktorem który *tak* może...

Taką jest Lüdowa, pełna fantazyi w dyalogu, majestatu w rolach patetycznych, prawy i siły w dramacie, poezyi w poema-

obok kanapy album i ołówki, na wieszaku ręcznik codzień zmieniany, codziennie świeże kwiaty, jak lubił...

Kult zmarłego artysty płonie ustawicznie w sercu „Signory”...

Jej twórczość sceniczna, jej zapal zdwojony, to wyraz pietyzmu, to uwielbienie tego, co odszedł...

Aby mu dorównać, aby być godną, aby obcowanie duchowe trwało zgodną tęczą...



„INTRYGIA i MIŁOŚĆ” (LÜDOWA)

cie, Lüdowa, ta istna akademia sztuki aktorskiej na swoich wyżynach!

...Zmurko zerwał się z kanapy, na której spoczywał po obiedzie, sięgnął po album i zaczął szkicować.

Szybkimi rzutami sangwiny notował senną wizję.

Tworzył we śnie.

Tak się zjawiała „Hetera”, tak „Laudemus feminam”, tak inne obrazy...

To też miał zawsze album i ołówki pod ręką, położone dłonią opiekuńczą...

I teraz jest to samo.

W jego pokoju wszystko tak jak było,

Dwa żywoty płynące obok siebie, dwa bujne potoki, to zbliżające się, to oddalające, lecz nigdy nie spłynięte w jeden, przestały razem jaśnieć na horyzoncie sztuki...

Ale pozbawiona życiowych zamaceń i zgrzytów, mistyczna więź z duchem odeszłym płonie niezgaszonym zniczem w sercu artystki...

On jest tutaj... Wszystko z nim, o nim, dla niego...

On by tak chciał, to by mu się podobało, nie... z tego byłby niekontent... Więc trzeba inaczej... Teraz dobrze...

Godzina dziewiąta rano. Mistrz już jest na stanowisku i na modela czeka. Po chwili dzwonek dyskretny, drzwi się otwierają i model wchodzi wprost do buduaru obok pracowni, gdzie cudny kształt ciała

batystowo-koronkowe...) spływających z ciała dziewczyny, ta biel opadająca z róż i alabastrów... Nie! ten moment jest niebezpieczny dla równowagi artysty, zaś gdy model-posąg przed nim stanie, nagi od



LUDOWA W »TABORYTACH«

z szypułki ubioru się wylania. Mistrz szczerze kotarę za przybyłą zasuwa, gdyż nie może patrzeć na rozbieranie się modela... To stopniowe opadanie szat, zdejmowanie spódniczek, fala batystów i koronek, (modele Żmurki były zawsze

piersi do stóp, wtedy spokojnie malować zaczyna, gdyż posągi żądzy nie budzą, bowiem nagość to jest kropka na i... Ty wiesz czytelniczko, co jest twoim ryzstunkiem bojowym... ty wiesz, że twoja suknia, to nie jest suknia, twoje dessous, to nie dessous, twoje... Dostyć, ty dobrze wiesz, ty dobrze wiesz, żeś raj tajemnic, wzdłuż i wszerz... które wtedy są najrozkoszniejsze, kiedy są odkrywane stopniowo... Zaś gdy tajemnica odkryta, gdy cud zabłyśnie ziszczony, wtedy poeta bierze się do... pisania poematu, malarz do malowania i nawet nie można mu powiedzieć:—bête,— bo jakże? toż on wielbi w tej chwili twoje wdzięki, czarowna, rozkoszuje się nimi na swój sposób!

I tak jest dobrze, bo gdyby było inaczej, żaden obraz nie byłby namalowany, żadna nagość nie promieniałaby z ram obrazu!

Żmurko lubił tylko brunetki, ale lubił również tylko blondynki... Jego „Niewinność“ toż to typ „blondyzmu“ sama jasność, sam len... Kiedy malował „laudemus feminam“:

— Tylko blondyna może mieć majestat,— powtarzał i jej wręczył berło panowania; zaś tworząc „Taniec Święty“ unosił się nad lubieżnym czarem brunetki:

— Mam dość blondynek! Bez temperamentu, bez poczucia ruchu! Wie pan? już

niegdysie nigdy nie będę malował tych nudnych, nieznośnie nudnych jasnowłosych!

I pomimo to, namalował „Niewinność“.

Stało się raz, że hr. M—ski, magnat litewski, posiadacz dóbr rozległych, zamków i pałaców, oraz z królewskim przepychem urządzonego jachtu „Polonia“, na którym odbywał zbytkowne wywczasy, zapragnął mieć w swojej galerii obrazów dzieło Żmurki.

Zjawił się w pracowni artysty sekretarz hrabiego, zawiadamiający o wizycie i jej celu, omówiono dzień i godzinę, gdyż hr. M—ski zastrzegł sobie godzinę konferencyi, i w czasie umówionym przybył, otoczony dworem przybocznym: z sekretarzem, rękodajnym, na którym się wspierał, wysiadając z karety i wstępując na schody, skarbnikiem, dźwigającym sakiewki ze złotem, (gdyż hrabia znany był z tego, że płacił tylko złotem, i bez dziesięciu sakiewek jedwabnych, ze stu imperyalami w każdej, nie wyruszał z domu), lekarzem, badającym od czasu do czasu, puls pana i czterema hajdukami, z których jeden został przy karecie, jeden za drzwiami, a dwóch weszło i stanęło nieruchomo przy drzwiach.

Hrabia zamówił obraz „Siedem zalet głównych“ zastrzegając sobie obecność przy malowaniu, udział w kompozycji, oraz wybór modeli; umówił się o cenę, sekretarz spisał umowę, kazał skarbnikowi wręczyć artyście trzy sakiewki, podał puls do pomacania lekarzowi i zapowiedział swoją bytność na dzień następny.

— Przywiozę jutro modele, obejrzymy... powiedział i otoczony satelitami, wyszedł.

Nazajutrz rozpoczął się przegląd modeli.

Przed artystą, hrabią, oraz lekarzem, przysunęło się dwadzieścia ciał: to różowe jak zorze, to złotawe jak nozdrza grzechotników, to zciszone, jak kość słoniowa, to błękitnawe jak alabaster, to przezrocze jak marmur kararyjski, jak obłok wiosenny

powiewne, jak lilie, jak sen o szczęściu uroczne...

— „Grzesznika“ wybierze pan sam, zaś proszę, aby w postaci „Czasu“ sportretował pan siebie...

Wybrano z udziałem lekarza siedem najpiękniejszych, zaś odrzuconym rozkazał feodał *sui generis* wypłacić po dziesięć imperyalów na otarcie łez.



LUDOWA W „TURNIJU“

I zaczęło się malowanie.

Codziennie odbywał się przyjazd pompacyjny, codziennie przybywało siedem modelek po królewsku opłacanych, codziennie lekarz badał ich stan zdrowia i biuletyn odpowiedni spisywał.

Każdyszczegół kompozycji, układ modela, draperyi, koloru, poddawano gruntownej dyskusyi, „łakomstwo“ poddano forsownemu tuczeniu, gdyż nie odpowiadało przypuszczalnej wadze tej brzydkiej przywary...

Rozpoczęły się sprzeczki. Najpierw przy szkicach do obrazu. Hrabia przeciągał szkicowanie w nieskończoność... Artysta zżymał się.

- Za każdy szkic płacę oddzielnie.
- Za dużo szkiców...—odpowiadał artysta.
- Nie za dużo, skoro ja tak chcę...
- A ja nie chcę!
- A ja żądam!
- To mi wszystko jedno!
- Pan lamie umowę!
- Tego niema w umowie!
- Panie sekretarzu, pokaż umowę!

W umowie, istotnie, była mowa o szkicach do uznania zamawiającego...

- Zrywam umowę! — mówi artysta...
- Zapłaci mi pan sto tysięcy rubli odszkodowania!
- Nie zapłacę, bo nikt na świecie nie przyzna panu słuszności!
- Zobaczymy!
- Żegnam pana! — woła artysta i wybiega z pracowni; hrabia wychodzi również, lecz nazajutrz z rana przysyła sekretarza z zawiadomieniem, że przybędzie...
- Tak wielki artysta jak pan, nie powinien zważać na drobnostki! — mówił na powitanie.

— Ale pan mnie męczy!

— Ja pana admiruję!

I olbrzymia postać magnata chyliła się ku siedzącemu przed stalugą artyście, i oblicze dziwaka opromieniał uśmiech dobroci.

Wtedy Żmurko chwycił za paletę i irtując się ustawicznie, malował dalej...

W ten sposób powstało „Siedem zalet głównych“, siedem przepięknych aktów kobiecych, obraz siedmiu piękności raczej, gdyż grzechu tam nie było, ani jednego grzechu! Gdyż nawet „grzesznik“ był sympatycznym starcem, zaś „Czas“ był podobizną Żmurki, co wystarczyło, aby był pięknym...

Był czas, że Żmurko zapragnął namalować swój słynny obraz „Jus primae noctis“... W kółku bliższych znajomych rozbiegła się wieść, że mistrz poszukuje aktu, a właściwie, życzy sobie, aby go wyszukano. Tedy wieść pobiegła, coraz dalej i dalej, aż...

Pewnego ranka do pracowni artysty przysłała dama w masce...

Będzie pozować, ale w masce: Żmurko przystał, o ile akt... naturalnie...

Akt był wymarzony.

Różowe kolana, ramiona i lono opalizujące gamą niezmiernie subtelnej karnacyi...

Dama była francuzką.

Do obrazu, podług umowy, pozowała w masce, bajecznie czując ruch i lęk dziewczyny, mającej paść ofiarą rozkosznego prawa feodalów...

Malowanie odbywało się w milczeniu, lecz promienie spojrzeń krzyżowały się ustawicznie: ona patrzyła na piękną głowę artysty, on — sięgał wzrokiem pod maskę, denerwowany niezwykłością sytuacji...

Promienie owe stawały się coraz krótsze, z dnia na dzień coraz krótsze i gorętsze, aż nareszcie, pewnego momentu, miejsce artysty przed stalugą było puste, gdyż promienie ócz skróciły się do kilku, paru, wreszcie jednego decymetra, aby w końcu utonąć w sobie na szal i zapamiętanie...

Kaskady pocałunków, płomienne uściski upojne westchnienia i szept namiętny, urywany: — *pas si loin...*

Gdy obraz został skończony, romantyczna istota zniknęła z oczu artyście, do głowy pozował kto inny, lecz ciało, oszalamiające pięknnością, unieśmiertelniło imię artysty...

Żmurko nie starał dowiedzieć się, kto ona i słodki mu był urok tajemnicy; zresztą zapomniał o niej wkrótce...

...W pracowni, stoi na staludze obraz niedokończony, ostatnie dzieło artysty: „Bajka“...

Uśmiecha się tajemniczo, bajkowo...

Przy dyskretnym świetle lampy, ocienionej abażurem, siedzi „signora“ i na ten obraz patrzy... „Bajka“ ożywia się, usta drgają, oczy jakby patrzą z pod powiek przymkniętych...

„Signora“ wyciąga ręce...

— Powiedz „Bajko“! przy kim zostało ostatnie jego tchnienie?

Ale „Bajka“ milczy...

Mirostlaw Gajewski-Ostojewski.



CHIRURGII

Przeszczepianie Członków i Organów

Wiemy, że dzięki metodzie t. zw. aseptycznej, stosowanej od dłuższego czasu w chirurgii i dzięki środkom znieczulającym, można z powodzeniem przedsięwziąć operacje tak ciężkie, o jakich kilkadziesiąt lat temu nawet nie marzono.

Wprawdzie jeszcze w Indjach starożytnych puszczano się na otwieranie jamy brzusznej i klatki piersiowej, ale to dowód, że kapłani tego tajemniczego kraju znali już w zasadzie metodę aseptyczną.

Postęp jednak jest wielki, olbrzymi powiedzmy, i chirurgiczny nóż sięga dziś tam, dokąd dawniej nie śmiał się zagłębić, dotyka organów, które dawniej były dlań niedostępne.

Co dziś może chirurgia w ogóle, o tem możnaby cały tom napisać. My nie dotkniemy tego przedmiotu w ogólnych nawet zarysach, bo chcemy się ograniczyć do pewnego działu chirurgii, działu niezmiernie interesującego, mianowicie przeszczepiania członków i organów wziętych z jednego organizmu na inny.

Co to jest przeszczepienie, o tem powiedzieć należy słów parę dla wyjaśnienia.

Otóż przypuśćmy, że ktoś skutkiem nieszczęśliwego wypadku albo choroby stracił nos. Czy musi on zrezygnować z posiadania tego organu? Bynajmniej. Chirurg ma kilka sposobów wynagrodzenia mu tej straty, przynajmniej w pewnym stopniu. Nie może on wprawdzie na miejsce odciętego nosa przyszyć inny nos, wzięty nieboszczykowi, ale potrafi odciąć np. kosą nos przyszyć jego prawdziwemu właścicielowi,

i jeżeli tylko zabieg był dobrze i w porę wykonany, to nos przyrośnie, choćby nawet przez kilka godzin był oddzielony od twarzy. Ale to nie wielka stosunkowo sztuka oddać właścicielowi utracony w bóyce nos; większa sztuka na miejsce zepsutego zrobić nowy. Dokonywa się to przez przeszczepienie skóry z ręki tegoż człowieka na twarz. Skóra z ramienia przyrasta do twarzy w potrzebnem miejscu i dostarcza materiału, z którego lekarz buduje nos na miejsce utraconego. Nazywa się to rinoplastyką.

Można dalej przeszczepić kawałek skóry wzięty z jednego miejsca na drugie, gdzie jest on niezbędny i wten sposób pokryć np. obnażoną czaszkę; nazywa się przeszczepieniem, czyli transplantacją skóry.

Ale przenieść tkankę nawet z jednego organizmu na drugi, to jak na dziś kwestya nie nastęrczająca wielkich trudności. Pytanie jednak, czy nie dałoby się przeszczepić z jednego człowieka na drugiego całych członków albo nawet organów ważnych, których utrata grozi choremu śmiercią np. nerki, lub całych członków, np. nogi, ręki?

Ach, to już leży w krainie fantazyi! powiesz szanowny czytelniku.

Można na taki temat haftować, ale rzeczywistość zadaje kłam bujaniu po obłokach. Kto słyszał o tem, żeby przenieść z jednego człowieka na drugiego, rękę albo nerkę, czy wątrobę?

A jednak, a jednak... szanowny czytelniku... Powiedziałem, że nowożytna chirurgia stwarza niemal że cuda!

NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM

Zresztą pomysł przeszczepiania z jednego organizmu na drugi członków nie jest bynajmniej nowy. We Florencji przechowuje się obraz tej treści: Święci stoją przy łożu chorego, który leży rozciągnięty na grzbiecie. Jego prawą nogę, białą, zastąpiono brunatną nogą maura. Do obrazu tego jest przywiązana następująca legenda, pochodząca podobno od Jakuba Voragine: Zakrystyan kościoła zbudowanego przez papieża Feliksa w Rzymie, pod wezwaniem św. Damiana, miał nogę zniszczoną przez raka. We śnie zakrystyan widzi świętych. Jeden ze świętych odzywa się w ten sposób: „Gdzie znajdziemy świeży członek na miejsce tego, który mamy odciąć?“ Inny święty odpowiada: „Pochowano dziś maura na cmentarzu św. Piotra. Weźmy od niego jedną z nóg i dajmy ją naszymu słudze“. Tak też według legendy postąpili dwaj święci. Dali choremu nogę maura a do trumny tego ostatniego zanieśli nogę zakrystyana.

Zakrystyan, widząc się zdrowym po przebudzeniu, opowiedział wszystkim o cudzie, jakiego dostąpił. Pobieżono do grobu maura i przekonano się, że istotnie brakuje nieboszczykowi jednej nogi a na jej miejscu znajdowała się noga chorego.

Legendę tę powtarza nam sławny chirurg francuski Carrel, któremu przypada wielka zasługa umożliwienia podobnego rodzaju operacji, dzięki obmyślanej przezeń metodzie zszywania naczyń krwionośnych, metody łatwej i pewnej.

NOWA METODA ZSZYWANIA NACZYŃ KRWIONOŚNYCH

Należy tu jednak zaznaczyć, że przed Carrelem wielu chirurgów praktykowało pomyślnie zszywanie naczyń, bądź po-

dłużne, bądź poprzeczne (Durante, Israel, Ricard, Lejars, Tuffier, Burci i Murphy) albo też przy pomocy specjalnych aparatów (Abbée, Glück, Delbet, Jaboulay, Payr). Ale francuzowi, Aleksemu Carrelowi z Lyonu, obecnie jednemu z dyrektorów *Rockefeller Institute for medical Researches* w Nowym Jorku, przypada zasługa wynalezienia w 1902 roku nowej metody zszywania bezpośredniego przy posiłkowaniu się punktami oparcia (*suture directe dite a points d'appui*), która ma niezaprzeczoną wyższość nad wszystkimi innymi. Ten właśnie wielki postęp w chirurgii naczyń krwionośnych pozwolił odważyć się chirurgom na nieprzystępne do niedawna przenoszenie całych organów i członków z jednego osobnika na drugi, o czym właśnie mamy zamiar mówić bardziej szczegółowo.

Na czym polega doskonała metoda Carrel? warto się z tem zaznajomić choćby pobieżnie.

Załączony rysunek pozwoli nam łatwiej zrozumieć postępowanie Carrela.

Obnażywszy końce naczyń, które zamierzamy połączyć w jedno, czyli zeszyć, ściskamy każdy koniec szczypczykami sprężynowymi dla zatamowania upływu krwi. Następnie przy pomocy zakrzywionych, czy prostych igieł, oraz nawleczonych w nie lnianych, czy jedwabnych nitki, przebijamy stykające się z sobą ścianki naczyń w trzech, równo odległych jeden od drugiego punktach. Naciągając zlekka nitki, przeobrażamy okrągły obwód naczyń na regularny trójkąt, i dokończamy zeszywania powierzchnym szwem. Kiedy już zeszyliśmy, usuwamy szczypczyki, przywracamy obieg krwi i zamykamy ranę w zwykły sposób. Rzecz prosta, że należy tutaj przestrzegać z najwyższą pedanterią aseptyki i niedopuszczać do naruszenia wewnętrznych ścianek naczyń, inaczej wewnątrz niego krew zakrzepła by, utworzyłby się t. zw. za-

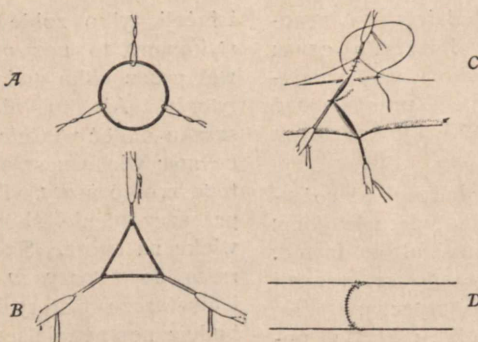


Fig. 1. Sposób zszywania naczyń krwionośnych systemem prof. A. Carrela. A i B przeobrażenie przecięcia naczyń A w trójkąt, B przy pomocy 3 nici naprężonych; C zeszywanie naczyń; D szew gotowy

czym, czyli zeszyć, ściskamy każdy koniec szczypczykami sprężynowymi dla zatamowania upływu krwi. Następnie przy pomocy zakrzywionych, czy prostych igieł, oraz nawleczonych w nie lnianych, czy jedwabnych nitki, przebijamy stykające się z sobą ścianki naczyń w trzech, równo odległych jeden od drugiego punktach. Naciągając zlekka nitki, przeobrażamy okrągły obwód naczyń na regularny trójkąt, i dokończamy zeszywania powierzchnym szwem. Kiedy już zeszyliśmy, usuwamy szczypczyki, przywracamy obieg krwi i zamykamy ranę w zwykły sposób. Rzecz prosta, że należy tutaj przestrzegać z najwyższą pedanterią aseptyki i niedopuszczać do naruszenia wewnętrznych ścianek naczyń, inaczej wewnątrz niego krew zakrzepła by, utworzyłby się t. zw. za-

tor i zabieg okazałyby się bezskutecznym. Otóż dla zapobieżeniu wytworzeniu się takiego skrzepu w miejscu zeszywania naczyń, sterylizujemy, czyli wyjalawiamy igły i nici w wazelinie gorącej, które to ciało posiada własności antikoagulatoryjne (przeciwnskrzepowe).

Wynalezioną przez Carrela metodę przyjęli tacy znakomici chirurdzy, jak Garre z Bonn, Stich, Makkas, Murphy z Bostonu, Gauthrie z Saint Louis, Frouin, Cottard z Paryża i in. Obecnie zatem zeszywanie naczyń krwionośnych stało się dla fizjologa czy dla chirurga zadaniem ułatwionem i nie naraża na niepowodzenia.

Na pierwszy rzut oka, zwłaszcza dla człowieka nie wtajemniczonego w przedmiot, owo odkrycie nowej metody zeszywania naczyń nie posiada wielkiej doniosłości. Ale wierz mi, szanowny czytelniku, jest to sprawa niezmiernie ważna; dzięki Carrelowi otworzyła się nowa niedostępna doniedawna dla chirurga dziedzina, na której poczynają się zjawiać fakty wprost zdumiewające, jak się to zaraz przekonamy.

PRZESZCZEPIANIE TKANEK I NACZYŃ KRWIONOŚNYCH

Znalazłszy się w posiadaniu takiej udoskonalonej metody, chirurg może łączyć nie tylko arterję z arterją, ale arterję z żyłą (weną). Carrel i Gauthrie potrafili np. zespolić u zwierząt arterję donoszącą krew do mózgu z żyłą gardła; po upływie 7 miesięcy zwierzęta nie doznawały żadnych zaburzeń. U psów łączyli oni wenę nerkową prawą z arterją nerkową lewą. Krew żylna prawej nerki płynęła do arterji nerkowej lewej, a wracała do jednej z dwu żył idących od prawego przedsionka sercowego, przeszedłszy lewą nerkę i wenę nerkową lewą. Tuffier demonstrował psa, operowanego przed 4-ma tygodniami, u którego były złączone wylotami arterya udowa z weną udową (koniec peryferyczny) a także dwoma drugimi zakończeniami; arterya udowa (zakończenie peryferyczne) z weną udową (część środkowa). Dowiedziono zatem, że zespalanie, czyli anastomoza, pomiędzy żyłami i arterjami jest zupełnie możliwą rzeczą.

Ale zdarza się często potrzeba wstawienia odcinka żyły na miejsce arterji

w taki albo inny sposób uszkodzonej, czy zniszczonej. Nie jest to już zwyczajna anastomoza, lecz przeszczepienie w całem znaczeniu tego wyrazu.

A taki zabieg stanowi pierwszy niezbędny etap w doniosłej sprawie przeszczepiania narządów.

Zacznijmy od najprostszego rodzaju przeszczepiania, mianowicie od przenoszenia tkanki z jednego osobnika na drugi.

Jak już zaznaczyliśmy na początku naszego artykułu, przeszczepiania tkanek dokonywali chirurdzy nie tylko z człowieka na człowieka i ze zwierzęcia na zwierzę tego samego gatunku, lecz nawet odważano się przenieść tkankę ze zwierzęcia na człowieka.

Na tem polu robiono jednak nieznaczne postępy z tego powodu, że tkanka przeszczepiona sztucznie chociaż przyjmowała się napozór, to jednak organizm starał się jej pozbyć, otaczał ją najprzód tkanką łączną jak każde obce ciało, następnie eliminował wolniej czy szybciej. Należy to przypisać okoliczności, że tkanka odżywała się nieprawidłowo, skutkiem tego, że naczynia krwionośne nie były należycie ze sobą połączone.

Przenoszenie narządów z jednego osobnika na drugiego mogło dopiero wówczas wstąpić na drogę pewną i dać poważne wyniki, kiedy wynaleziono metodę łączenia większych naczyń ze sobą. Organ żyje i pełni swoje funkcje dzięki temu, że naczynia donoszą mu i usuwają z niego krew; jeżeli więc można połączyć naczynia, to nic już nie stoi na przeszkodzie, żeby razem z naczyniami przeszczepiać zawisłe od nich narządy. Dawne przeszczepianie drogą prostego nakładania (juxtaposition) ustępuje miejsca przeszczepianiu *en masse*.

RÓŻNE RODZAJE PRZESZCZEPIANIA

Transplantacje bywają różnej natury:

Jeżeli ktoś potrzebuje sobie przeszczepić z ramienia czy z czoła swoją własną skórę dla uformowania, dajmy na to nosa, nazywamy to szczepieniem *autoplastycznym*. Można też wziąć jaką część organizmu i przenieść ją na inny organizm tego samego gatunku; jest to transplantacja *homoplastyczna*.

Wreszcie zdarza się, że odejmujemy jakiś organ zwierzęciu gatunku *a*, ażeby go przeszczepić na osobnika należącego do gatunku *b*. W tym ostatnim wypadku dokonujemy szczepienia *heteroplastycznego*.

P RZENOSZENIE ORGANÓW

Pierwszym krokiem na tej drodze, która może zaprowadzić nas dalej, niż to sobie dziś najśmielsza fantazy wyobraża, były transplantacje arteryi na arterję i żył na żyły, jako wstęp do niezmiernie zuchwałych przedsięwzięć, takich jak przenoszenie z jednego osobnika na drugi członków i organów, np. nerek, gruczołów mlecznych i t. d.

W r. 1908 Carrel wyjął psu obie nerki i umieścił je w rozstworze Lockego, który do pewnego stopnia i na pewien czas potrafi zastąpić krew w organizmie. Roztwór ten zawiera sole i organ w nim zagrożony zachowuje dłuższą swoją żywotność.

Po kilkunastu minutach wziął on jedną z nerek i wstawił ją na miejsce wyjętej, dokonawszy uprzednio połączenia naczyń, zasilających ten organ krwią żylną i arteryjną; cyrkulację krwi wznowiono w 50 minut po wyjęciu nerki. Ażeby jednak nie przedłużać nadmiernie operacji, drugą nerkę odrzucono. (fig. 2).

Pies pozostał więc z jedną nerką, która musiała pracować za obie. Zdarza się często, że człowiek po usunięciu jednej nerki żyje z pozostałą i czuje się bardzo dobrze.

I pies, o którym mowa, znajdował się jakiś czas po zagojeniu ran w doskonałym zdrowiu; mocz jego nie zawierał białka.

Po sześciu tygodniach jednak stwierdzono obecność ropy i zwierzę padło 2 w miesiące po operacji na rozszerzające się zakażenie.

Carrel i Gauthrie dokonali też niejednokrotnie przenoszenia nerek, wyjętych kótowi na innego kota, któremu uprzednio wycięto jego własne nerki.

Oba te organy usunięto en bloc z naczyniami krwionośnymi, z odnośnym odcinkiem aorty, żyły głównej, dolnej i całym moczowym przewodem, jak to widzimy na rysunku.

Wszystko to przeszczepiono na innego kota, któremu przedtem wycięto nerki (fig. 3)

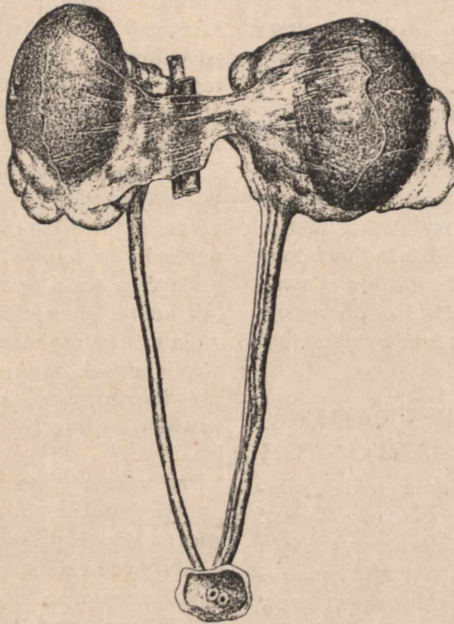


Fig. 2. Dwie nerki odjęte z odcinkami aorty, żyły głównej dolnej, arteryami i kawałkiem pęcherza

Cyrkulację krwi przywrócono, zeszywając cyrkularnie odcinki aorty i wymiennej żyły, które to odcinki zastąpiły usunięte przy operacji kawałki tychże naczyń. Moczowody przeszczepiono w całości z ujściem do pęcherza, jak to dokładniej objaśnia fig. 2. W pęcherzu kota, któremu sprawiono nowe nerki, zrobiono w tym celu otwór odpowiedniej średnicy.

Jest to, jak łatwo zrozumie nawet człowiek nie mający zgoła pojęcia o chirurgii i fizyologii, bardzo ciężka operacja; idzie tu bowiem o organy ważne, bez których zwierzę obejść się nie może w żaden sposób; operacje

udały się w tem znaczeniu, że koty, których poświęcono 14 dla dobra nauki, wytrzymały takowe; ale zabiegi te musiały zwichnąć równowagę organizmu, bo zwierzęta pozdychały po 8 do 15 dniach.

Jeden padł po 17 dniach i sekcya wykazała zupełne zwapnienie wszystkich arteryi, drugi żył przez 30 dni, jeden 35 dni podczas których przeszczepione nerki wydzielały mocz prawie normalny, przezroczysty, lecz zawierający około 0,25% białka.

W lutym 1908 r. Carrel wycina nerkę suce, myje, i umieszcza w rozstworze Lockego przez kilka minut, w temperaturze pracowni. Następnie wyjmuje organ z roztoru i przeszczepia go swej czworonoż-

nej pacjentce, zeszywając naczynia krwionośne.

Zwierzę szybko przychodzi do siebie po tej operacji. W piętnaście dni potem drugą nerkę wycinają tejże suce, przyczem nie zaszły żadne komplikacje.

W kwietniu 1909 r. suka wydaje na świat normalnie 11 szceniąt.

Jest to niemały tryumf dla profesora, bo istotnie niewielka zachodzi różnica pomiędzy wstawieniem prawowitej nerki chwilowo zabranej właścicielowi, a wstawieniem innej, obcej.

PRZESZCZEPIANIE NÓG

Mówiliśmy dotąd o przeszczepianiu nerek, teraz zaś opowiemy o doświadczeniach z przeniesieniem członków z jednego osobnika na drugi.

W 1908 r. Delbet przedstawił Tow. Chirurgów w Paryżu tylną nogę psa, która napozór nie miała w sobie nic osobliwego; a jednak, jak się pokazało zaraz, była to noga przeszczepiona z innego osobnika. Mianowicie udo należało do jednego psa a noga do drugiego.

Ma się rozumieć, że tego rodzaju operacja jest bardzo skomplikowana. Należało pozszywać naczynia krwionośne, mięśnie połączyć nerwy, ażeby się zrosły, wreszcie skórę. Chirurg musiał tutaj wykonać cały szereg zabiegów drobnych, ale efekt ostateczny był wspaniały.

SZCZEPIONKI HETEROPLASTYCZNE

Jak wiadomo—polegają na tem, że organ, skórę, czy arterję przenosimy na osobnika innego gatunku. Jeżeli zwyczajne, trans-

plantacye udają się jako tako, to heteroplastyczne nastroczają wielkie trudności.

Hoepfner i wielu innych chirurgów donieśli na tej drodze niepowodzenia; ale Carrelowi udało się w d. 18 list. 1907 r. przeszczepić odcinek z arterji, prowadzącej krew do mózgu (tętnicy głowowej) z psa na aortę brzuszną starej kotki.

W 17 miesięcy po operacji kotka znajdowała się w jaknajlepszym stanie zdrowia.

Carrel zauważył jednak, że przy trans-

plantacyach z jednego gatunku na drugi zachodzą znaczne modyfikacje w strukturze przeszczepianej części; znikają włókna elastyczne, potem fibry mięśniowe naczyni.

Widząc jak doniosłem dla w praktycznej chirurgii byłoby udatne przeniesienie organów zwierzęcych z zdrowych na ludzi, którzy potrzebują odnowienia pewnych części swego ustroju—lekarze nie wahali się długo i rozpoczęli próby tego rodzaju.

Rozpoczęto naturalnie od transplantacji z człowieka na człowieka.

Delbet w 1907 r. starcowi 74 letniemu, cierpiącemu na aneuryzm arterji udowej, wstawił kawałek zdrowej arterji wziętej ze świeżo amputowanej innemu choremu kończyny. Na nieszczęście arterye starszka znajdowały się już w wysoko posuniętym stanie zwapnienia, stwardniałe, i nie mogły utrzymać szwów.

W 1906 r. Jaboulay, z Lyonu, dokonał zuchwałej transplantacji; mianowicie dwóm kobietom, dotkniętym nieuleczalną chorobą nerek, — przeszczepił nerki — wieprzowe.

Jedna z chorych, która oddawała zaledwie 500 gm. na dobę, przesyconego białkiem moczu, po operacji oddawać zaraz poczęła 1500. gm.

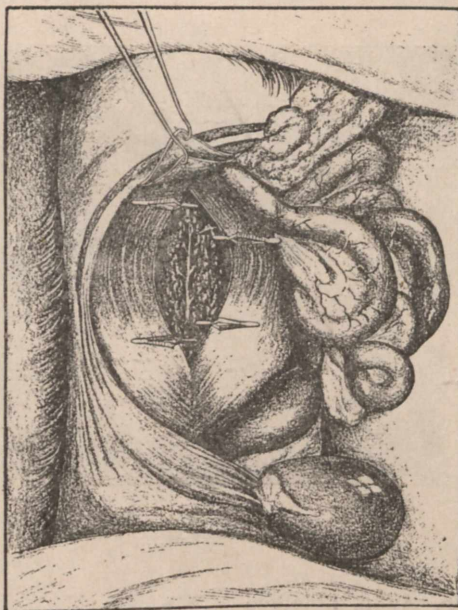


Fig. 3. Gospodarz przygotowany do przyjęcia nerek

Na nieszczęście naczynia były pozszywane starą, nieudoskonaloną metodą i po jakimś czasie zasklepiły się, skutkiem czego, naturalnie,—chore poumieraly. Czy by żyły z wieprzowemi nerkami przy dobrze zrobionem złączeniu naczyń, tego przesądzać nie podobna.

Mówiliśmy dotąd o przeszczepieniach żył na żyły i arteryi na arterye. Każdy pojmuje znaczenie tego rodzaju transplantacyi. Dzięki im dalobysięleczyć t. z. aneuryzmaty, czyli chorobliwe rozszerzenia tętnic, przez wycięcie rozszerzonej części i zastąpienie jej przez wenę saphenę, wziętą z tego samego osobnika, którego zawsze mamy do dyspozycyi. Ale przedsiębrane w tym kierunku usiłowania (Glück, Hoefhner) spęły na niczem. Dopiero Carrelowi udało się cel ten osiągnąć.

W d. 7 czerwca 1907 r. transplantował on wenę szyjną na tętnicę głową psa i krążenie krwi po operacyi odbywało się zupełnie normalnie. W d. 1 lutego 1909 r. pies zginął w bójkę z towarzyszymi. Zbadano naczynie. Światło przeniesionej żyły było cokolwiek rozszerzone, ścianki zgrubiały, ale wena, jak się zdaje, zupełnie się przystosowała do swych nowych funkcji i szew stał się nierozpoznawalnym (fig. 5).

U człowieka Lexer próbował tego samego pomiędzy dwoma końcami arteryi pachowej i krążenie krwi nie było upośledzonym.

Zastąpienie jednego kawałka naczynia krwionośnego przez inny nie jest jedynym tryumfem w transplantacyi naczyń.

Jeżeli jakie ważne naczynie doznało uszkodzenia na pewnej długości, albo też jeżeli w jego ścianie powstał otwór, to można ten ostatni załatać tkanką natury zbliżonej, co Carrel podejmował z powodzeniem (fig. 6).

Również dla wynagrodzenia straty poniesionej przez ściankę naczynia, przeszczepiamy zwyczajną łatkę (patch) wziętą z sąsiedniej weny, arteryi albo też otrzewnej. Nazywamy to *metodą patchingowania*.

Jeżeli więc razem z odnośnemi naczyniami przeniesiemy jakiś organ z jednego osobnika na inny tegoż gatunku, to ów narząd żyje w nowym gospodarzu i pełni swoje funkcje poprawnie.

Carré, Stich i Makkas dokonywali podobnych transplantacyi narządów *en bloc*, np. nerek i różnych gruczołów wyżej opisaną metodą.

Przeszczepianę naczynia zachowują swoje własności, krew krąży w nich bez przeszkody i zrastanie się postępuje szybko. Wszelkie ślady szwów znikają po upływie 15 dni.

Łatwo możesz zdać sobie sprawę, szanowny czytelniku, jak olbrzymi postęp dokonywa się na tem polu.

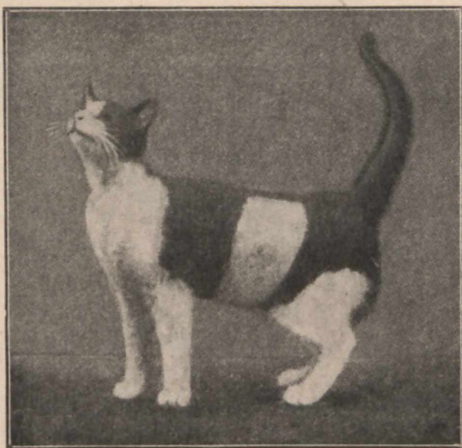


Fig. 4. Kót operowany przed 8, dniami

P RZESZCZEPIANIE KOŚCI

Nie można jednak powiedzieć żeby i przeszczepiania przez proste nakładania nie miały się udawać.

Lexer, Kausch, Codman i wielu innych potrafili zastąpić kawałek kości udowej, lub gołeniowej, zjedzonej przez mięsaka, odpowiednim kawałkiem zdrowej, wziętej z tego samego osobnika, albo lepiej ze świeżo amputowanej kończyny. Po operacyi podawano wyleczonych w ten sposób badaniu przy pomocy promieni Röntgena i przekonywano się, że przeszczepione kości przyjęły się doskonale, jak to widać na załączonych reprodukcjach zdjęć rentgenowskich.

Na pewnym dziecku udało się nawet Lexerowi dokonywać przeszczepienia *całego stawu kolanowego*.

SKĄD BRAĆ CZŁONKI I ORGANY DO PRZESZCZEPIANIA

Chirurgia doszła zatem tak daleko, że możliwe jest dziś przenoszenie z jednego osobnika na drugi nie tylko kawałków skóry, naczyń krwionośnych ale nawet całych ważnych organów i członków.

Otwiera się może przed chorą, okaleczoną ludzkością nowa kraina, doniedawna utopijna, dziś całkiem realna, gdzie można wynagradzać straty, poniesione przez organizm skutkiem choroby, albo nie szczęśliwego wypadku.

Nerki odmawiają ci pracy, gruźlica zjadła ci kość, obcięto ci ucho, albo nawet rękę. Nie rozpaczaj — szepcze ci pełna nadziei chirurgia — kto wie, czy niebawem nie będziesz mógł na miejsce chorego organu lub członka zdobyć nowy, zdrowy.

Takie nęcące perspektywy otwiera przed nami nauka.

Ale zaraz stajemy w obec trudnej do rozstrzygnięcia kwestyi: skąd brać organy lub członki dla przeniesienia ich na osobniki, potrzebujące częściowego odnowienia swego organizmu?

We Francji i u nas korzystają obecnie ze świeżo amputowanych członków, bo prawo zabrania tam do tykać trupów, choćby najokropniej okaleczonych, wcześniej, jak we 24 godzin po śmierci.

Ale żeby zużytkować odcięty członek nieboszczyka tylko co zmarłego, na to potrzeba, ażeby operacja odbywała się w odpowiedniej chwili, kiedy akurat nadarza się taka sposobność; a to się rzadko trafia w praktyce.

Jest zatem bardzo ważną kwestyą umieć

zakonserwować przeznaczone do przeszczepiania części organizmu do chwili, kiedy się one dadzą spożytkować.

NARZĄDY I CZŁONKI ZAPASOWE

Już w 1908 r. prof. dr. Delbet wyraził nadzieję, że niebawem w klinikach chirurgicznych, obok szafki z instrumentami, będzie stała inna szafka, z różnemi częściami organizmu ludzkiego — przeznaczonemi dla zastąpienia niezdatnych do życia.

Podobnie jak dziś cyklista, albo właściciel jakiej maszyny, zastępuje złamaną, albo zużytą część nową, tak samo w przyszłości, kto wie, może niedalekiej, ludzie będą mogli zużyte, chore, odmawiające usług narządy swego ciała zastępować innymi, znajdującymi się w dobrym stanie.

Puśćmy na chwilę wodze fantazji i rzućmy okiem w przeszłość.

Do szpitala przychodzą dwaj pacyenci.

— Czego panowie sobie życzą? — pyta ich naczelny lekarz.

— Pragnąłbym sprawić sobie nowy żołądek! — powiada jeden; mój stanowczo do niczego!

— Ależ i owszem. Mamy na składzie kilka bardzo pięknych żołądków, proszę pana; można obejrzeć. Oto przepyszny żołądek

pewnego młodzieńca, który przed paru dniami zginął w katastrofie kolejowej; sukcesorowie nieboszczyka żądają zań 20.000 rb.

— Bardzo drogo! — wzdycha pacjent z zepsutym żołądkiem.

— Ale żołądek jakich rzadko! Nieboszczyk trawił znakomicie i nic mu nigdy nie zaszkodziło; organ wyborowy.



Fig. 5. Transplantacja odcinka żyły szyjnej psa na arterię głowową tegoż osobnika. (Krzyżyk wskazuje miejsce, w którym był dokonany szew)

— No, trudno! Niech już będzie 18,000, bo mi bardzo zależy na dobrym żołądku! Lubię zjeść, przyznam się! Jeśli można, poddam się zaraz jutro przeszczepieniu.

— A panu czem można służyć? — zwraca się chirurg do drugiego gościa.

— Nerki, nerki moje zupełnie odmawiają pracy. Trochę za dużo się pijało, teraz bieda.

— Pociesz się pan! Właśnie znajdujemy się w posiadaniu kilku par zdrowiuteńkich nerek lotników, którzy się pozabijali wczoraj podczas popisów.

— Bardzo się cieszę! A ceny?

— Oh, przystępne.

Proszę, może pan sam wybrać!

Chirurg prowadzi pacyenta do sali, gdzie wzdłuż ścian stoją witriny z przechowywanymi się w niskiej temperaturze narządami.

— Co za wybór! — zachwyca się chory. — Nogi, ręce, żebra, wątroby, śledziony, gruczoły! Można się tu odrestaurować gruntownie.

— Och, tak! — potwierdza lekarz. — Mam kolegę, który żyje już 150 lat dzięki temu, że zastępuje od czasu do czasu stare organy młodymi. Właśnie przed tygodniem sprawił sobie lewe płuco.

Jestto, jak zaznaczyliśmy, śmiała fantazja. — Ale możesz się zaraz przekonać — sz. czytelniku, że to nie bajka z tysiąca i jednej nocy, tylko wizja przyszłości i to niedalekiej.

Przecież i dziś tysiące ludzi ginie codziennie w rozmaitych katastrofach, których i za lat 100 nieda się uniknąć. Dla czegożby nie korzystać z tych nieszczęść, celem przyniesienia ulgi cierpiącej ludzkości? dlaczego by nie brać organów i członków ofiar dla przeniesienia ich na innych ludzi, których organizm ma jakieś grożące życiu nieprawidłowości?

Dojdziemy do tego napewno, że transplantacja organów będzie się praktyko-

wała codziennie na licznych osobnikach. Chirurgia znalazła już metody przechowywania organów i tkanek zapasowych.

Kość ludzka, wzięta z żywego osobnika i starannie wyjałowiana, może zatem stanowić doskonały materiał dla zapewnienia braku u innego osobnika. Czyż to nie kolosalne, zdumiewające wyniki?

Dotąd chirurgia była, że się tak wyrazimy, niszczycielką; odejmowała, nogi, ręce, organy wewnętrzne, dotknięte chorobą, nie dając nic.

Odtąd jednak stanie się ona podwójnym dobroczyńcą i nie tylko bowiem będzie leczyla, ale będzie konserwowała, a nawet częściowo odnawiała organizm.

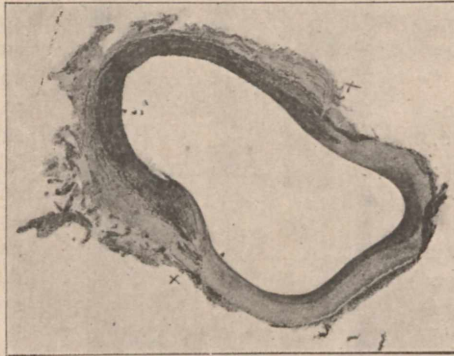


Fig. 6. Zastąpienie aorty kawałkiem otrzewnej (szew jest wskazany krzyżykiem)

SZTUCZNA SHODOWŁA KOMÓREK

Ażeby komórki mogły się rozwijać, i żyć, trzeba je odżywiać, i uwalniać od produktów, wytwarzających się przy normalnych funkcjach, produktów, które są dla komórek truciznami. Krew, krążąca ciągle pomiędzy komórkami, w tkan-

kach, spełnia to podwójne zadanie; ale czem zastąpić życiodawczy płyn.

Dr. Aleksy Carrel dał nam rozwiązanie tego trudnego zadania.

Kładzie on kawałek tkanki, którą pragnie przechować przez czas dłuższy, na szkiełku wyjałowionem, i nalewa na nią kropelkę świeżej surowicy krwi. Plazma ścina się dookoła komórek, i staje się dla nich środkiem ożywczym. Szkiełko kładzie się jako przykrywka na szklanem naczynku, w którym znajduje się trochę wody dla podtrzymania wilgoci. Mikroby nie mogą się dostać pod szkło, i rzucić się na tkankę, zniszczyć ją, zużyć na swoje potrzeby, co się w zwykłym języku nazywa rozkładem.

Operując w podobny sposób z komórkami tkanki łącznej, (która tak się dlatego nazywa, że łączy różne tkanki i organy między sobą), z komórkami nerwowymi, albo komórkami rakowatych narośli, dr. Aleksy

Carrel zauważył, że szybko się one rozmnażają.

Skoro rozmnażanie się ustawało, był to dowód, że produkty wydzielane przez nie nagromadziły się w nadmiernej ilości i zahamowały rozwój. Komórki zostają niejako zatrute przez swe własne wydzieliny. Wtedy Carrel przenosi je ostrożnie na inne szkiełko, i płucze w roztworze Ringera, który zawiera:

Wody 1000 gramów.

Soli kuchennej—9 gramów.

Chlorku potasowego 0,42.

Chlorku wapnia 0,15.

Wszystko to jest utrzymywane w temperaturze topniejącego lodu.

W tej temperaturze komórki nie umierają, ale działalność ich ulega zahamowaniu; zaprzestają one zatem wydelać produkty życiowe, dla

siebie szkodliwe; te zaś, które się wytworzyły uprzednio, rozpuszczają się w roztworze Ringera. Tak wymyte komórki Carrel umieszcza znowu w surowicy, gdzie zaczynają się dalej rozrastać.

Dzięki takiej metodzie Carrel zdołał narazie przechowywać w najzupelniejszej żywotności przez 48 godzin komórki oddzielone od macierzystego organizmu. Jeżeli nie dało się bardziej jeszcze przedłużyć życia komórek, to jedynie dla tego, że trudno jest niezmiernie, uniknąć wtargnięcia wrogich mikrobow, pomimo wszelkich środków ostrożności, i zaczyna się rozkład, czyli gnicie.

Od czasu, kiedy prof. Pozzi, który był ciekawym świadkiem tych doświadczeń w Ameryce, przedstawił zdumiewające prace swego kolegi Akademii Nauk w Paryżu. Al. Carrel ulepszył znakomicie swoją metodę, i otrzymał jeszcze bardziej zdumiewające wyniki.

Udało mu się prawie zupełnie zapobiedz inwazyi mikrobow. Płucze on komórki co

trzeci dzień przez parę minut w roztworze Ringera, i osiągnąłto, że już pięć miesięcy jego tkanki żyją, i obecnie nie można przewidzieć, kiedy nastąpi ich śmierć. Niebierze on już ani komórki nerwowej, ani tkanki łącznej, której życie objawia się jedynie przez rozrost, ale wziął się do elementar *excellence* żywego, tkanki, która sąwają żywo t-

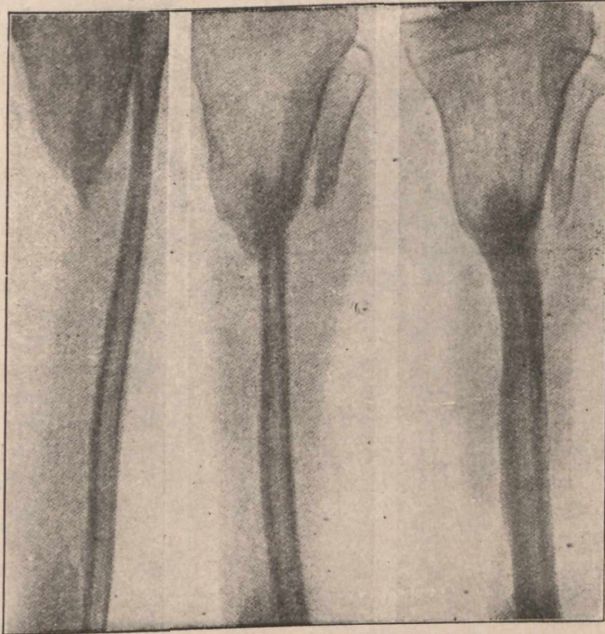


Fig. 7. Radiografie transplantacji kości. (Zastąpienie kości gołeniowej piszczelą, Codman). A przed transplantacją; B w rok później; C w 3 lata później.

ność okazuje rytmicznymi i łatwo dostrzeganymi ruchami, mianowicie tkanki sercowej. Wiadomo oddawna, że serce ryby, albo żółwia, trzymane w odpowiednio niskiej temperaturze, wilgoci i zabezpieczone od mikrobow, może bić przez dwa, albo nawet trzy dni.

Serca te były całkowite, i zdawało się, że tylko pod tym warunkiem mogą one wykonywać swoje ruchy.

ZDUMIEWAJĄCE WYNIKI

P. Al. Carrel robił doświadczenia z kawałkami serca zarodka kurzego, siedmio-

dniowego w powyżej podanych warunkach. Kawalki serca, które już przestały bić, Carrel powoływał znowu do życia przez płukanie w roztworze Ringera. Dwa kawalki serca tego samego kurczenia, umieszczone w tej samej plazmie, ale w różnych ilościach tejże, zachowywały się odmiennie: większy bił rzadziej, niż mniejszy, 90 razy zamiast 120 razy na minutę. Po czterech dniach, kiedy plazma się wyczerpała, i produkty trujące wystąpiły w większych ilościach, ilość uderzeń spadła na 40 i na 80. Jednak po wypłukaniu i pograżeniu w nowej plazmie, ilość uderzeń podniosła się do 120 i 160 na min. Po 8 godzinach kawalki serca tak dalece urosły, że się zespoliły w jedną całość i odtąd w całej masie pulsacyjne odbywały się równocześnie.

Każdy z wóci uwagę na to, że doświadczenia, o których mowa, rzucają całkiem nowe światło na mało dotąd znaną przyczynę bicia serca, które wydaje się nam mało zależnym od układu nerwowego. Ten ważny organ składa się z tkanki mięśniowej i z tkanki łącznej. Ta ostatnia szybko się rozmnażała i niebawem wytwarzała koronę dokoła części mięśniowych, utrudniając ich ruchy. Te dwa gatunki tkanki zachowują się więc całkiem odmiennie w hodowli.

Udoskonalenia w metodzie Carrel'a pozwoliły mu rozpocząć inne studia, które zostały uwieńczone świetnymi wynikami.

Udało mu się np. odosobnić komórki, wchodzące w skład nerek, i zmusić je do życia niezależnego, jak np. ameby, albo wycoczki, i do szybkiego rozmnażania się; to znaczy, że komórki, przyzwyczajone od niepamiętnych czasów do życia społeczne-

go, zniewolił on do prowadzenia życia osobniczego, tak jak niezliczone rodzaje pierwotniaków.

Nie jest wykluczonem, że uda się kiedyś zmusić te komórki znów do życia w pewnych grupach, które tworzą tkanki.

Otwiera się zatem zupełnie nowa droga dla biologów. Kto może dziś przewidzieć, jakie doniosłe odkrycia będą porobione dzięki takiej analizie ciał żywych?

Jeżeliby się udało hodować oddzielnie od organizmu, w odpowiednich ośrodkach odżywiających komórki, tworzące różne tkanki naszego ciała, np. komórki wątroby, naskórka, nerek i t. d., a przede wszystkim komórki nerwowe, których odrostki, dzieląc się do nieskończoności, łączą pomiędzy sobą wszystkie części naszego organizmu; gdyby się udało zbadać, w jakich warunkach najlepiej rozwijają się komórki w naszym organizmie, czego potrzebują dla swojego wzrostu, jakie substancje najbardziej sprzyjają ich wzrostowi, i odwrotnie, jakie im szkodzą, albo je całkiem zabijają; gdybyśmy to wie-



B

Fig. 8. B, dyżekcja części usuniętej podczas operacji (według Kauscha)



A

Fig. 8. A, radiografia nogi chorej po pierwszej operacji (według Kauscha)

dzieli, jakież ułatwienie dla lecznictwa. Znając te wszystkie warunki, możnaby nawet oddziaływać na zarodki równie dobrze, jak na dorosłe albo na rozwijające się dopiero osobniki. Zamiast działać po omacku, jak do tego nas zmusza niedostateczna obecnie znajomość fizjologii i praw rozwoju organizmów, moglibyśmy postępować celowo, regulować, że się tak wyrazimy, higienę, nadawać organizmowi maximum siły i odporności na złe wpływy, czuwać nad funkcjami organów i w razie potrzeby zastępować je innymi. Analizy, robione od czasu do czasu, pozwoliłyby nam rozpoznać w porę grożące

organizmowi niebezpieczeństwo, zapobiegać niejako tworzeniu się szczelin, przez które życie ucieka i zwalniać, albo zupełnie niedopuszczać do zużywania się elementów anatomicznych.

Niewiadomo, jak dalece możnaby dzięki takim potężnym środkom przedłużyć życie ludzkie. Oto perspektywy, otwierające się przed naszym wzrokiem.

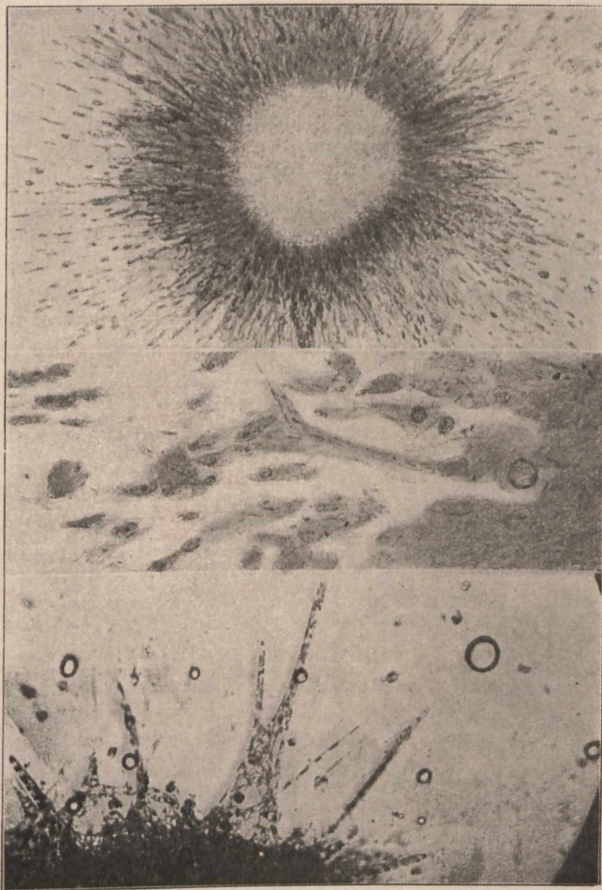
CZY POSIĄDZIE- MY KIEDYŚ TA- JEMNICĘ ŻYCIA?

Elementy organizmu, przeznaczone dla dzieła rozmnażania się, są także żyjącymi komórkami, które, że się tak wyrazimy, rozwijają się na marginesie organizmu, nie są ściśle z całością związane, nie wchodzi w skład tej zadziwiającej budowli, za jaką można do pewnego stopnia uważać każdy organizm, nie pracują one dla podtrzymania życia osobniczego, ale nagromadzają w sobie siłę ewolucyjną, która ma działać w przyszłości; te elementy — ciałka nasienne męskie i jajowe komórki żeńskie — w niczem nie ujawniają szkodliwych zmian, jakim mogą podlegać. Ale i dla nich istnieją pewne przychylniejsze warunki, które byłoby dobrze poznać w interesie rasy i przyszłych pokoleń.

Już dziś widzimy możliwość oddziaływania na nie w ten sposób, żeby otrzymać dowolnie osobniki tej albo innej płci. Mają one tę własność, że się często wcześniej oddzielają od organizmów, w których się wytworzyły i żyć odtąd całkiem niezależnym życiem (np. ikra rybia, jaja ptasie).

Można więc badać, jakim podlegają one modyfikacyom, jeżeli je umieszczać w rozmaitych środowiskach i w różnych warunkach fizycznych. Te badania sprawiły nam już niejedną niespodziankę. Doszło do

tęgo, że umieszczając niezapłodnione jaja pewnych stworzeń, np. jeżowca morskiego, gwiazdy morskiej w roztworach soli, zmuszamy je do rozwoju; zaczynamy nadto rozumieć proces zapłodnienia, sprowadzając go do znanych zjawisk chemicznych

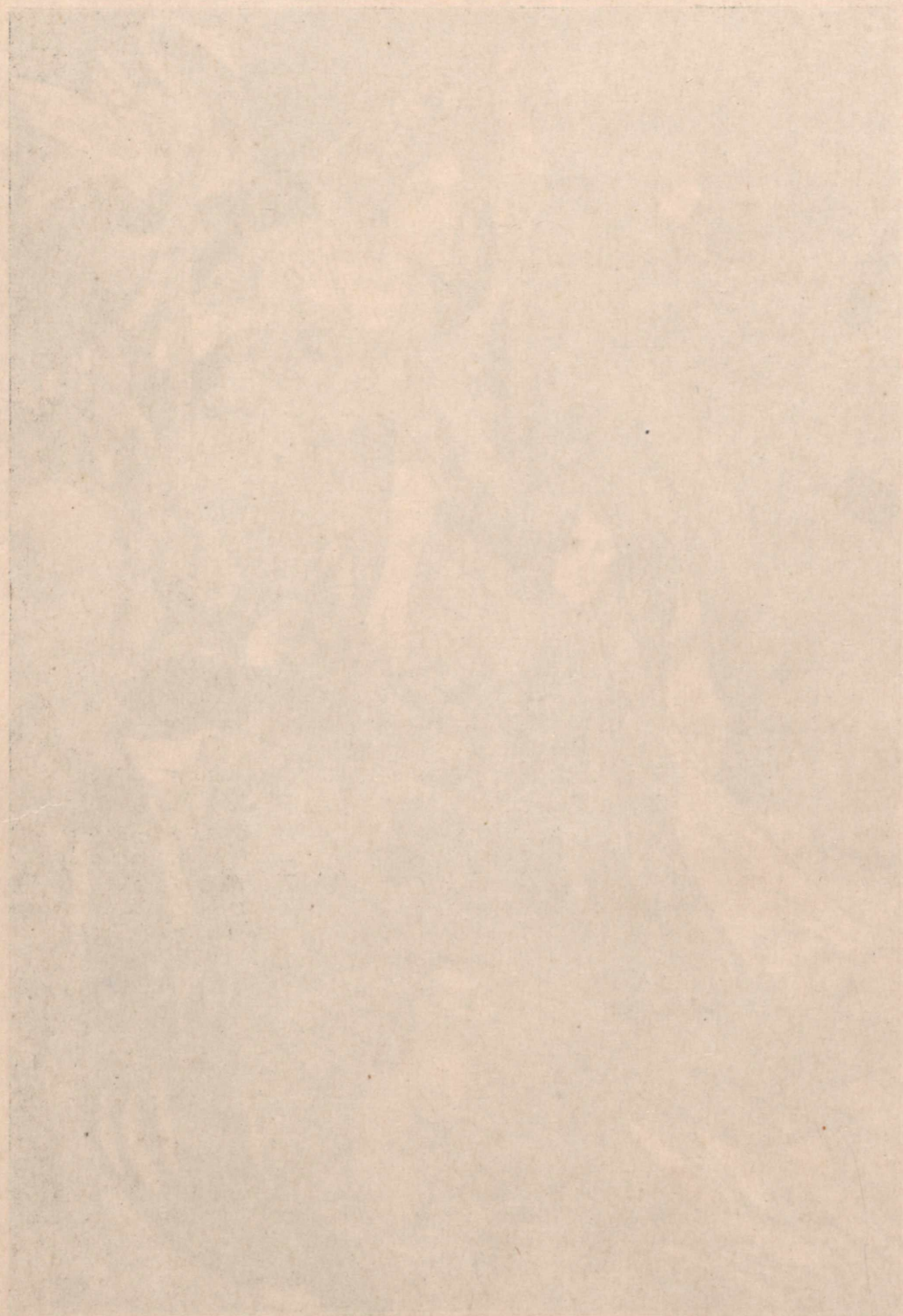


SZTUCZNA HODOWLA KOMÓREK

Fig. 9. Powiększone kawałki sztucznie hodowanej tkanki, oddzielonej od zwierzęcia, z którego pochodzi. U góry kultura tkanki łącznej 50 dniowa; masa plazmy otacza nową tkankę. W środku: część obwodowa tejże hodowli b. powiększona. U dołu: hodowla hypophysis z psa dorosłego.

i fizycznych i uchyliłiśmy cokolwiek zasłonę, okrywającą dotąd proces rozwojowy zarodka; słowem przenikamy powoli do dziedzina, dokąd nie wpadał niedawno najślabszy promyk wiedzy.

Jestto jednak wstęp dopiero do wielkiego dzieła, po ukończeniu którego staniemy



W SKARBCE

Królowa Moda, siedząc na wielkim, złoconym tronie, pochyliła się łaskawie ku zgromadzonemu, i wygłosiła powoli:

— Zebraliśmy się tu na narady i rozmowę o modzie — o modzie na rok tysiąc dziewięćset trzynasty.

W zgromadzeniu zatrzepotał przytłumiony szelest. Dwa Pawie roztoczyły tężowe ogony, a Srebrny Lis błysnął księżycowymi odblaskami. Moda stuknęła obcasami najwykwintniejszych trzewików, jakie można sobie wyobrazić i głęboka cisza zapanowała natychmiast.

U stóp mody rozkładały się, stały, tuliły najnowsze ozdoby, tkaniny i zwierzęta. Wszystko, co *było* nowsze — i co — według wszelkiego prawdopodobieństwa *będzie* noszone.

Dusza jedwabnego „Szyffonu“ gawędziła pobłaźliwie z „Gotowym kostjumem“. Delikatnie biały Gronostaj roztrząsał ze smętną Szenszylłą widoki przyszłego połączenia na mufkach i płaszczach do teatru, a samotny Struś przeliczał pilnie swoje pióra. Wszystko, czego serce kobiety może zapragnąć, a pieniąż mężczyzny opłacić, zbiegło się do stóp Mody i oczekiwało — jej wyroku. Przez pociąg do szyderstwa, wrodzony Modzie, zaproszono tu nawet cień Ewy, a Nowoczesna Kobieta, odziana w jak najskąpsze szaty, cisnęła się do podnóżka złotego tronu, rozglądając się pilnie w szczególach bielizny.

Co pewien czas z drażniącą punktualnością wybuchał słaby krzyk i cichł zaraz, za każdym razem twarz Mody, pokryta różem, przybierała coraz twardszy wyraz, zwierzęta wzdrygały się, a Nowoczesna Kobieta bladła pod grubą warstwą perłowego pudru.

— To krzyk Czapli do Kitek — zawołała rozgniewana Moda. Czy niemożna ich uciszyć? Dałam im stanowisko górujące nad

wszystkim. Królują na każdym strojnym kapeluszu, na każdym wieczorowym przybraniu głowy. Cena ich dorównywa niemal cenie rubinów. Rozsypałam je po wszystkich miastach Europy, rozesałam ich drżące pióropusze do Londynu i Nowego Jorku. Czego więcej mogą jeszcze żądać?

Znowu odezwał się bolesny okrzyk — ale tym razem z dodatkiem słów żalownych:

— O Królowo Królowych! O Modo Mód! Giniemy okrutną śmiercią w promieniach słonecznych. Krew nasza płynie strumieniem w blaskach księżycowych. Nasze puste gniazda osierococone z piskłat! Nie chcemy służyć do stroju. Chcemy tylko... żyć!

— Żądacie rzeczy niemożliwej — oznajmiła Moda głosem zimnym, jak dźwięk złotego cekina. Przeznaczyłam wam cudowne zadania. Mam już w myśli obraz kapelusza ze srebrnych koronek, dla którego setki was muszą śmierć ponieść. Nie krzyczcie! Czyż gniazdko z jedwabnego Szyffonu nie jest miększe od gniazda w rzeźnym sitowiu? Śmierć taka jak wasza jest chwalebne odznaczeniem.

— Poczescie się! dodała Nowożytna Kobieta, wprowadzę was do najświetniejszych domów, gdzie karmić was będą sonetami z fijołków. Będziecie mieszkały w szafach z różanego drzewa; Franciszka, panna służąca, okurzać was będzie delikatnie złocistą miotłką!...

Żalobne krzyki Kitek ucichły w oddali a naprzód wysunął się Struś z miną starego, doświadczonego tancerza.

— A dla mnie? — co przeznaczacie dla mnie? Moje pióra są, jak afrykańskie wodospady, jak piana rozburzonych fal rzeki.

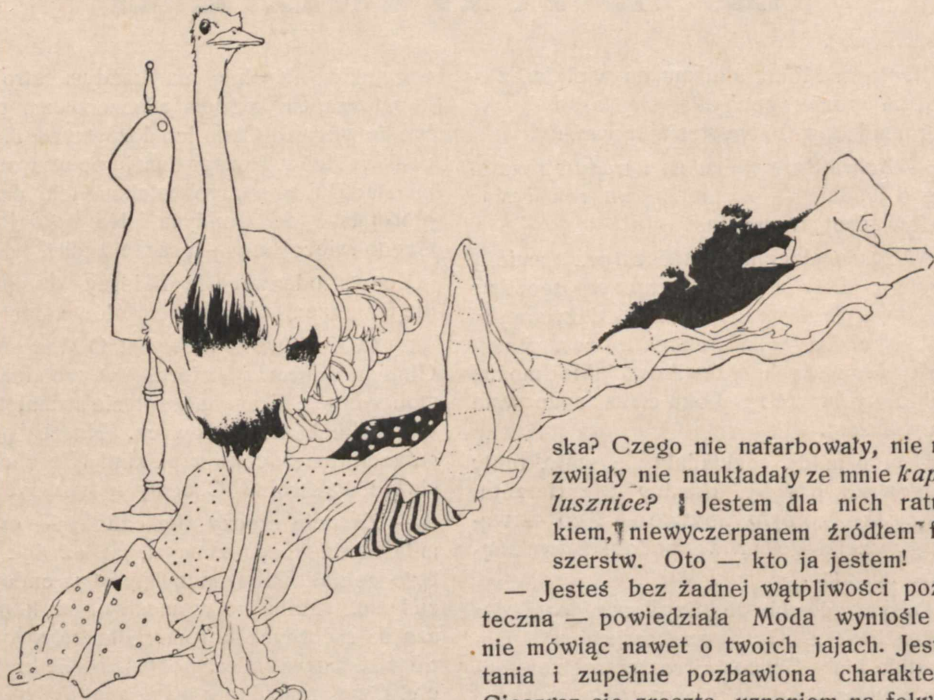
— O, mnie nie pytaj o nic! — oburzyła się Nowoczesna Kobieta. Moda wyrokuje o wszystkim. Ja idę za jej rozkazami. W tym roku spospolitowałeś się nieodwołalnie. W każdym razie, ty jeden nie mo-

żesz już wystarczyć na kapeluszu. Jesteś zanadto naturalny. Dajcie mi purpurowe kanarki, albo zielone nietoperze! Coś niezwykłego, dla ożywienia ruchu!

Zużytkuje i ciebie—szepnęła Moda, a Struś zakolysał długą szyję z zadowoleniem,—ale powiem szczerze, że mnie już nie zajmu-

dzaną brylantami. Widuję ją na półmiskach przy obiedzie, ale zresztą nie znam jej, nie wiem o niej nic — nic zupełnie!

— Doprawdy?! — wybuchnęła rozżalona Biała Kura. Doprawdy?! A kto ci dostarcza „Kitek“ i sztucznych sów? Czegoż to mnie nie zawdzięczasz obecnie, sztuko modniar-



ska? Czego nie nafarbowały, nie nazwijały nie naukladały ze mnie *kapelusznice*? Jestem dla nich ratunkiem, niewyczerpanym źródłem fałszerstw. Oto — kto ja jestem!

— Jesteś bez żadnej wątpliwości pożyteczna — powiedziała Moda wyniosłe — nie mówiąc nawet o twoich jajach. Jesteś tania i zupełnie pozbawiona charakteru. Cieszysz się zresztą uznaniem na folwarcznym podwórzu — i to ci powinno wystarczyć.

Odezwał się znowu krzyk Kitek.

— Czy nie można ich poskromić? — wybuchnęła gniewem Nowoczesna Kobieta. Choćby nawet postradały swoje dzieci, nie jest to jeszcze powód do rozpacz. Żyjemy w czasach postępu. Każda istota musi zdobyć się na rezygnację. Zdaje się, że ty pierwsza dałaś nam tego przykład, Ewo?

Zaszeleściły liście i lamparcia skóra okrywająca Ewę.

— Rajskie ptaki, to jedna z najdawniejszych rodzin w Raju — wyrzekła głosem słodkim, jak syrop spływający z łyżeczki — ale ich świergot może się uprzykrzyć.

— A my teraz na głowach je nosimy — odrzekła moda. To jest sprawiedliwe. Wiadomo, że zasłużyły na to, co je spotyka. I Ewa to potwierdza.

jesz. O skubuję twoje pióra jak płatki stokrotek, a ty ciągle żyjesz. A tylko to co umiera, znajduje łaskę u Nowoczesnej Kobiety.

— Moda stanowi prawa — odezwała się Nowoczesna Kobieta. Ja zaś jestem im posłuszna, bo się obawiam kary.

— Kłamstwo! — syknęła Moda, grzechocząc złotym woreczkiem. Kto mnie śmie oskarżać o okrucieństwo?

— Ja! — przemówiła biała Kura, występując z tłumu. Męki i krzywdy zadawane mi przez ciebie, nie dadzą się policzyć.

— Kto ty jesteś? zapytała Nowoczesna Kobieta, podnosząc do oczu lornetkę wysa-

Małe zwierzątko, białe i czarne, z puszystym ogonem, wybiegło z pośpiechem z tłumu. Moda pociągnęła workiem.

— Skunks! czego chcesz? Zeszłego roku używałam cię — używałam... No! mów, jak się tobą posługiwałam?

— W sposób przechodzący moje najśmielsze marzenia — odrzekł Skunks przez zębny. Występowałam jako frendzla na sukniach i trenach, a Wielkanoc wprowadziła mnie do państwa kapeluszy. Jakież są dla mnie widoki na ten rok, dostojna pani? Służyłem ci dobrze, daję się nosić wspaniale...

— Co raz już było, rzadko się powraca — wyrzekła Moda tonem wyroczni.

— Bajki! — zaszumiał Szyfon, roztaczając swoje sto i jeden odcieni. Ja będę przyjacielem, księżnej i pomywaczki, do ostatniej chwili a przybyłem tu na naradę o Modzie na rok tysiąc dziewięćset trzynasty nie poto, by leżąc zawinięty spokojnie wysłuchiwać skarg zwierząt trapiących przez moje!

Szmaragdowy dżadem zaiskrzył się z gorczycą.

— Dość już było mowy o futrach, teatralnych strojach, i tym podobnych drobiazgach. Kiedy przejdziemy do „Skarbcu“?

— Do „Skarbcu“? powtórzył nowy odcień Brokateli świeżo wynaleziony, który nic nie rozumiał z rozmowy. Co to jest?

Moda rzuciła na bohaterkę zabójcze spojrzenie wzgardliwie.

— Ty, blado zabarwiona istoto! Co ty sobie wyobrażasz? że je wystawiam, moje tajemnice, przy świetle gwiazd — albo w półmroku szuflad? Żałuję prawie, że cię powołałam do życia, marne stworzenie!

Brokatela zbladła do samych brzegów.

— Skarbiec to świetność nad świetnościami! — westchnęła Nowoczesna Kobieta. Znajdziemy tam za marłą

chwałę Kleopatry, tragiczne szaty Julietty. Po Maryi Antoninie pozostały pantofelki i spódniczki, a ja — ja widziałam tam gorsety, które należały chyba do żony Noego!

— Każda prawdziwa kobieta — przemówiła, powstając, Moda — kochała mnie, i nienawidziła, szła za mną i uciekała ode mnie, pozostawiając jednak zawsze coś po sobie. Wachlarz — atlasową suknię — pończochy ze złotej przędzy — haftowane treny dworskich sukien. Wszystko to spoczywa pod kluczem „w Skarbcu“. Tam teraz idę i z tych materiałów wysnuję Modę — Modę na rok obecny i przyszły.

I wszyscy i wszystko poszło za nią — nawet Kitki...

* * *

Moda czekała na wejście ostatniego „zatrzaśku“ do sukni, poczem zamknęła drzwi z hałasem. Miała do tego słuszne powody. Paquin — Worth — Virot, Hayward-

Louis — mogły się wślizgnąć niepostrzeżenie i wykraść cenne tajemnice. Zamknąwszy drzwi, Moda zasiadła na tronie zrobionym ze zwierciadeł, i napiła się z czary namysłu.

Rozmowa szła żywo, brzęcząc jak pszczoły w ulu. Biały Lis obejrzał swą starannie manikowaną łapkę i szczerknął krótko i wzgardliwie:



Cobądź nastąpi, mnie nic nie grozi; są mody, które trwają bez zmiany. Taką modą ja jestem...

— O, cicho! — szepnęła Nowoczesna Kobieta. Nadchodzi Piękna Helena, — ta z Troi — a ona zna się na układzie draperyi...

Cień Heleny zamigotał w opłotkach światła.

— Niestety! — jęknęła żalownie. Szkoła piękna, wdzięku, swobody członków... Przedstawiam Modzie przed cudne draperye, jeżeli je zechce przyjąć, ale potrzeba mi nowej tkaniny — czegoś niezwykłego i wyborowego...

Kleopatra z omdlewającą miną, 'odziana w szatę ze złotogłowia, wyłoniła się ze mgły. Jej klejnoty były zamaryłymi szczątkami zamaryłych oddawna stuleci. Wyrzekła z cicha:

— Tysiąc lat temu księżyc złożył pod mem oknem tę tkaninę — tkaninę utkaną z marzeń... Oddaję ją tobie, Modo — bo czciłam cię zawsze i w Egipcie...

Roztrząsnęła coś delikatniejszego od puchu ostów, coś bledszego od pereł...

— Kto mi przyniesie futro? — spytała Moda.

Ruch się zrobił między zwierzętami!

— Nie! Nie! Nie żadne z was! — Świat już jest znudzony gronostojami i sobolami. Potrzeba mi coś nowego.

Mała małpeczka spuściła się z góry, zgodnym, giętkim ruchem.

— Ja jestem niezwykajnem zwierzęciem, a futerko mam śliczne — pochwaliła się.

— Ach! Ależ ty nie znasz świata! — załkały Kitki. Pomyśl o innych! Moda — to dla ciebie śmierć w gąszczach leśnych,

śmierć na wierzchołkach palmy — śmierć na każdym kroku!

— Ale choć postradam życie, będę zawsze nowa i modna — powiedziała Małpa. Będę spoczywała na łożu z atlasów i koronek, będę nosiła na szyi obrózkę z drogich kamieni, łańcuch szafirów będzie mnie spinał...

— Próżność! — uśmiechnęła się Nowoczesna Kobieta.

Próżność stwarza Moda.

— Gdybyż szło tylko o próżność i o śmierć, westchnęły drżące Kitki, ale życie trwa i potem. Człowiek zabija ciało, lecz nie zabija w nas pamięci. Żyjemy w dalszym ciągu na kapeluszach, nawet po zgonie...

— Jako etole — szepnęła Biała Lis.

— Jako płaszcz teatralne — dodał Gronostaj.

— Jako mufki — syknął Sobol, wywijając kosztownym ogonem.

— Oskarżajcie o to wszystko Modę! — zawołała Nowoczesna Kobieta, wyciągając rękę. Ona to nakazuje morderstwa, cierpienia i męki.

— A kto to wszystko nosi? — zagadnęła Moda, wychylając się ze swego lustrzanego tronu. Kto za to wszystko płaci?

— Mam dość siły do buntu! — zawołała Nowoczesna Kobieta, tonem sufrażystki. — Wyrzeknę się piór i futer!

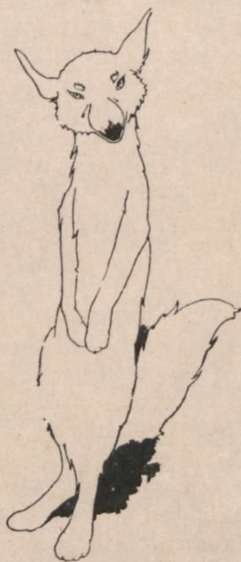
— Ach — westchnęła Ewa. Ja się bez nich doskonale obchodziłam.

Moda zadrżała lekko i skierowała oczy na Nowoczesną Kobieta.

— Kobiety już nieraz buntowały się! — syknęła.

— Czy poniosły za to śmierć? — spytała Ewa, poprawiając czepeczek z ziarenek.

— Gorzej! — Wyglądały, jak straszdyła — objaśniła Moda.



— Nie! Ja nie będę straszylem! oburzyła się Nowoczesna Kobieta. Będę głosiła piękno prostoty, urok haftów, swobodę draperyi...

Śmiech radosny, dźwięczny, jak głos srebrnych dzwoneczków, przeleciał po Kitkach. Otoczyły ją — naokoło, pytając:

— I nie będziesz nas już nosiła?

— Nie! — odrzekła stanowczo Nowoczesna Kobieta.

Czarny Lis wyciągnął obciętą łapkę.

— Potrzask mnie okaleczył — objaśnił. Pozwalam ci całować moją łapkę, bo jesteś dobra!

Nowoczesna Kobieta zwróciła się do zwierząt i zapytała:

— Dlaczego — dlaczego jesteście tutaj? Nie powinniście pomagać Modzie, bo to przynosi wam śmierć—śmierć i męczarnie bez końca. Przecież to straszne być chwytanym w potrzaski, ginąć od kuli lub żelaza! Dlaczego nie uciekacie od niej? Czego się nie lękacie?



— Zapomnienia lękamy się... wyjść z mody — odrzekła morska Foka, wzdychając z głębin dwudziestu sążni.

Nawet zwierzęta! — szepnęła Nowoczesna Kobieta, opuszczając brylantami sadzoną lornetkę...

— No i cóż teraz? — zagadnęła Moda. Co myślisz uczynić?

— Powrócę do ciebie za rok—oznajmiła Nowoczesna Kobieta zuchwale.

— Dlaczego? Dlaczego za rok?

— Dlatego, by ci pokazać, że można być strojną bez morderstw, okrucieństw i przelanej krwi!

I skinąwszy okrytą klejnotami ręką, wyszła ze Skarbcu.

* * *

Nowoczesna Kobieta powróciła na Świat, do swojej gotowalni i rzekła do panny służącej:

— Żyłam całe lata, jak okrutne zwierzę. Gdybym brała udział w strzelaniu gołębi, nie zadałabym więcej cierpień!...! Powyjmuj moje futra!

Rozległ się szelest rozwijanych papierów i silne wonie „środków przeciw molom“ wzbily się w niebo.

— Moje sobole — pisała siedząc przy biurku Nowoczesna Kobieta, ofiaruję „Przytulкови dla kotów“, choć nie wiem, na co się zdadzą. Chyba na łatanie futerek kocich, powydzieranych podczas walki. Gronostaje — Maryo!... — dostaną się mojej siostrze, bo osoba z taką, jak ona cerą, nigdy ich nie włoży...



— A żakiet fokowy? — zapytała Marya, wyjmując futro, lśniące, jak atlas na świetle. Komu pani przeznaczza żakiet fokowy?

O! Możesz go sobie zabrać. Gdy mu się doda nowe rękawy, lewy przód i nowe plecy, będzie jak nowy. A teraz kapelusze. Jakie ptaki są na nich?

— Sowa—zaczęła wyliczać Marya, otwierając szafę z różanego drzewa — Żóraw, Czerwonak, Jaskółka, Czapla, Zimorodek, Koliber, Rajski Ptak, Niebieski Kos, Czapla — i pięć ze strusiami piórami.

— Morderczyni ze mnie!—jęknęła Nowoczesna Kobieta.

Nie będę mogła patrzeć teraz nawet na jaja... Sprzedaj je, Maryo — sprzedaj, co do jednego! Zostaw tylko te z kwiatami. A teraz suknie — te co ubrane są futrem. Nie uspokoję się, dopóki się ich nie pozbędę z domu... Sam odór kamfory budzi we mnie obrzydzenie...

— Popielata morowa z Szenszyllami...

Głos Maryi wymawiał tkliwie kosztowne rzeczy.

— Ponsowa z Szyffonu ubrana czarnymi Lisami—*viel-or* obłożona futrem Skunksa—suknia z białej Brokateli z Gronostajami — i...

— Ach! dość! — krzyknęła Nowoczesna Kobieta — czy chcecie mnie doprowadzić do szaleństwa?

Zasłużyłam na więzieniu! Daj mi teraz suknię z wykrojem holenderskim: kołnierzyk długi, jak powróż na szyi... I niech dziś, do szóstej, nie pozostanie w domu ani jeden strzępek futra... Jadę do krawca, bo inaczej oszalałabym chyba...

Nowoczesna Kobieta wsiadła do samochodu i pojechała do krawca.

— Proszę mi nie robić więcej sukien ubieranych futrem! — wołała już na



progu magazynu, ani żadnych kapeluszy z piórami, skrzydłami, kitkami, ptakami! Świat Mody zamienił się w salę tortur. Zrywam z tem wszystkim! Możecie mi dawać całe wory haftów ręcznych, stopy koronek, szyffonu, atlasu, batystów, wstążek, mory, krey, złotogłowiu, tussoru, fularów, aksamitu, brokateli, — ale raz na zawsze zapowiadam: żadnych futer! żadnych piór!

Zarządziwszy odpowiednie zmiany, wsiadła do samochodu i pomknęła cichutko do domu.

— Przeklinam Modę — i powiedziała — i umie być strojną, kobieta, która potrafi obejść się bez kapeluszy i przybrań pochodzących z rzeźni!

* * *

— I cóż? — szepnęła Nowoczesna Kobieta, sięgając po puszek z pudrem. Nadszedł

już dzień naznaczony przed rokiem, dzień przyjęcia u Mody w Skarbcu...

Cały rok minął! Zaczęła oglądać twarz, szukając pilnie, czy nie ukazały się zmarszczki. I znalazła dwie.

— Szkoda! Nie mogę ich przykryć kawałkiem haftu lub koronki! Ale to są ślady zaszczytnej walki, toczonej z Modą przez cały rok!

Kobieta Nowoczesna ubrała się w suknię białą, haftowaną w passiflory, w kapeluszy zdobny w batystowe kwiaty i woalkę koronkową.

— Przez cały rok ani jednego pióra, ani strzępku futer! Kosztowna prostota stroju — tem miłsza, że nie sprawiła nikomu cierpienia. Teraz mogę już przekonać Modę, że cierpienie i śmierć nie powinny plamić stroju.

Wysunęła się ze świata ukrytymi schodami i zastukała do purpurowych podwojów Skarbcu ametystową kołatką. Nie miała na rękę rękawiczek, na nóżkach zaś białe aksamitne pantofelki. Podwoje rozwarły się powoli i w głębi sali ukazała się Moda śmieszna w porównaniu z dniem wczorajszym — zdumiewająca zapowiedziami na dzień ju-

trzejszy. Żaloszna skarga Kitek przyplęnęła w oddali, jak ukradkowe powitanie

— Patrz! — odpowiedziała Nowoczesna Kobieta. Patrz na mnie, na moją piękność, nie przyozdobioną zwłokami zamordowanych istot. Zdjęłam pióra, odrzuciłam futra. Wszystko, co mam na sobie, nie sprawiło nikomu ani chwili cierpienia!

I podniosła z dumą oczy na tron zwierciadlany.

Moda zaczęła się śmiać osobliwym śmiechem, a w Skarbcu rozlegały się dziwne szmery i odgłosy — ni to powitań, ni pożegnania. Szeleściły materye, dotykając atlasem, dzwięczały klejnoty, iskrząc się

w świetle, zanim zapadły w nieruchomość: stukały obcasy, szumiały pióra, szemrały futra...

Nowoczesna Kobieta obejrzała się po Skarbcu. Ewa odwróciła swe słodkie oczy w inną stronę. Kitki odfrunęły! Czarny Lis warknął. Wszystko odsuwało się od niej, nawet od cienia, jaki miała jej postać... Moda przysłądzała się temu i śmiała się.

— Czemże zawiniłam? — zapytała Nowoczesna Kobieta; czyniłam przecież wytrwale dobro? Ptaki ginęły dla ozdoby mych kapeluszy — i zwierzęta, by mnie bronić od zimna. A jednak teraz odwracają się odemnie?... Modo! Mam prawo zapytać... co to znaczy?

Moda, celująca w zmianach, zmieniała w oku mgnienia cały Skarbiec. Zwierzęta rozbiegły się, ptaki uleciały, a zwierciadlany tron roztopił się, jak lód. Pozostała tylko Moda, sroga w swym olśniewającym blasku, uśmiechnięta twardym, jak dyament uśmiechem.

A z cieni, zalegających Skarbiec, zaczęły wysuwać się postacie kobiet i dziewcząt. Wybladłe dziewczątka z pokłutemi do krwi palcami, płakało nad haftowaną szlarką. Gdy z płaczem miało Nowoczesną Kobieta, kwiaty passiflory zabarwiły się krwią. Przecisnęła się zgarbiona nad maszyną do szycia „maszynistka“, obracająca zawzięcie pedały, których turkot rozlegał się donośnie, jak głos kastanietów. I ona płakała — ocierając pilnie lzy, by nie splamiły roboty. Sklepowe panny w czarnych sukniach, blade trupią błądzą, przesuwwały się, spoglądając w oczy Nowoczesnej Kobiety. A za nimi nadciągały inne. Te, których plecy zgarbiły się od pracy. — Te, które straciły wzrok przy hafcie i szyciu. — Te, które wiodły, pracując w suterrenach i na poddaszach... Każda z nich niosła jakąś część stroju Nowoczesnej Kobiety, jakiś haft — lub koronkę. Biała krepa, haftowana w srebrne kłosa, leżała na rękach hafciarki, jak umarłe dziecko. Bielizna pokryta mnóstwem ściągów, mijając Nowoczesną Kobieta, smagała ją po twarzy...

A wszystko to sunęło w zalosnem półświecie...

Nowoczesna Kobieta zwróciła się do Mody, wybuchając oburzeniem:

— To wszystko twoje dzieło! To wszystko dzieje się na twój rozkaz! Sądzę, że chroniąc od cierpień zwierzęta, nie sprawiłam nikomu cierpienia. Czemu nie powiedziałeś mi tego? Zkądże ja mogłam wiedzieć?

Białe kwiaty passiflory ożyły na jej sukni — zwijały się płatki, gięły się lodygi...

— Kto mnie stworzył? — spytała Moda,

— Kto nami rządzi? — spytała Nowoczesna Kobieta.

I nagle spojrziała w górę. Widma mgły, a w szarej mgłę zarysował się tylko cień Ewy.

— Modo! — szepnęła cichutko Nowoczesna Kobieta, kto ty jesteś?

Ostatnie jej wyrazy zagasły, jak zdmuchnięta świeca.

— Kto ja jestem? — powtórzyła Moda. O, to jest, śmiało pytanie, które ma prawo do śmiałości i odważnej odpowiedzi! Jestem mądra, a jednak głupia. Jestem pożyteczna, a jednak szkodliwa. Jestem bezwstydną, a jednak skromną. Jestem fałszywa, a jednak szczerą. Okrutną, a jednak...

— Ale musi być jakiś sposób na to — przerwała Nowoczesna Kobieta, chwytając ją za rękę — jakaś Moda, która może się rozwijać i panować bez cierpień, bez męczarni?

Moda uśmiechnęła się. Świat ciągle oczekuje jej najnowszego pomysłu — Nowoczesna Kobieta jej głosu... A tymczasem zabrała głos — Ewa.

— Wszystko to zaczęło się w Raju — przemówiła łagodnie — kiedy nam dano skóry zwierząt do skrycia naszej nagości...

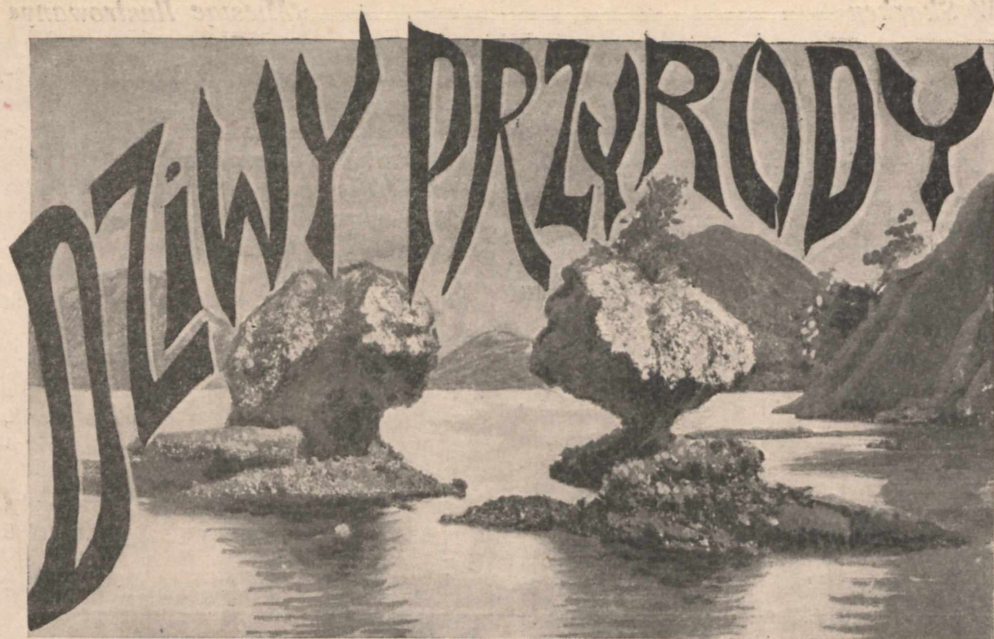
— Ale to trzeba powstrzymać! Trzeba temu położyć koniec! wołała Nowoczesna Kobieta.

— Ach! westchnęła Ewa.

— Ach! — szepnęła Moda.

— Nowoczesna Kobieta obejrzała się naokoło...

Była sama w Skarbcu...



Ogólny rzut oka na otaczający nas świat wywołuje wrażenie czegoś stałego, niezmiennego. Krajobrazy oglądane zdają się istnieć od wieków i żadnych zmian, prócz tych, jakie kultura i dzieła rąk ludzkich zaprowadzają, na razie w nich nie spostrzegamy. Poszarpane szczyty tatrzańskie, lub alpejskie, wybrzeża morskie i koryta rzek ukazują się nam takimi, o jakich podania i opowieści z przed wielu, wielu lat mówią, a zdarzające się czasowo kataklizmy w przyrodzie, choć nas przerażają swoją potęgą, są niczem w porównaniu z ogromem maszywów skalnych i rozciągłością wybrzeży.

A jednak odbierane wrażenia wzrokowe są złudnym tylko pozorem i niedostatecznym obserwowaniem; bo jakże znikomem jest życie ludzkie wobec powolności trwających ciągle procesów geologicznych!

Wszystko co nas otacza znajduje się w ciągłym ruchu, ulega ciągłym przeobrażeniom; nawet w środowiskach zupełnie zda się martwych, wszędzie działają siły mechaniczne, fizyczne, lub chemiczne, zmieniając skorupę globu naszego powolnie, ale z godną podziwu wytrzymałością; wszędzie odbywa się ruch zaledwie dający się spostrzec, lecz ciągle; a mówią nam o tem ściśle badania otaczającego nas świata, dochodzenie przyczyn i obserwacja skut-

ków. To ostatnie najbardziej nam jest dostępne, najsilniej utrwała się w pamięci i względnie najmniej przedstawia trudności. Z obserwacji zaś dopiero wylonilo się badanie przyczyn i powstała nauka o macierzystym globie naszym—geologia.

Działające siły dwojakiemu są rodzaju: zewnętrzne, bezpośrednio dostępne naszej obserwacji, oraz wewnętrzne, tajemnicze, w łonie ziemi skryte, a znane nam jedynie z przejawów natury wulkanicznej.

Zbyt często jednak rozgniewany Pluton podziemnym ogniem karze ród ludzki; nie zakłócajmy więc jego spokoju wśród przepaścistych głębi Hadesu i pójdźmy badać te przyczyny, które utworzyły malownicze zakątki dolin i cudne, ciche krajobrazy, majestatyczne, lecz nie groźne...

Kto jest tym śmiałym rzeźbiarzem i architektem, co okna w niedostępnych skałach wykuwa? czyja to dłoń stawia fantastyczne gmachy o niezliczonych kolumnadach i rzeźbi czarodziejskie postacie?

C HWIEJĄCY SIĘ KAMIEŃ, NATURALNY MOST I PO- TWORNA SKAŁA

Kunsztowną i pełną różnorodności jest odwieczna praca na globie naszym. Odstłoniemy trochę zasłonę, powędrujemy w świat

szeroki, a gdy poznamy owych rzeźbiarzy tajemniczych, bardziej świadomym okiem spojrzymy na ich dzieła budzące w nas podziw i uwielbienie.

W łańcuchu górskim ciągnącym się na południe od rzeki La Plata, znanym pod nazwą gór „Tandil“ znajdujemy chwiejący się kamień, największy z pomiędzy jemu



Chwiejący się kamień w Tandil (Argentyna)

podobnych. Ciężar jego wynosi 700 tonn; jest to masa granitowa czterometrowej wysokości i mająca 5 metrów w średnicy u podstawy; spoczywa ona na spiczastym załomie skalnym i łatwo pod naporem dłoni w ruch wahadłowy wprowadzoną być może. A jednak pomimo, że olbrzymim tym głazem można gnieść orzechy bez uszkodzenia jądra, potrzeba by było tysiąca koni, by go ruszyć z posad i w przepaść strącić.

Najważniejsze prace inżynierów nie przedstawiają większego bezpieczeństwa i pewności, aniżeli śmiałe dzieła przyrody. Jednym z owych dzieł jest „most Inkasów“ w Ameryce Południowej. Wykuty w skale przez potok Mendoza urąga wiekom, i śmiałym, 48-o metrowym łukiem łączy skaliste wybrzeża. Nazwę swą zawdzięcza zapewne istniejącej jeszcze przed przybyciem europejczyków drodze indyjskiej, łączącej Mendozę i Sant Jago a przechodzącej po tym naturalnym moście.

W Indyach, na górze Abou i wokoło wspaniałego jeziora, ręką ludzką utworzo-

nego, rozsiadły się wille jednej z najbardziej uczęszczanych stacji klimatycznych. A przed cichem jeziorem gotuje się do skoku potworna „ropucha“, o której legenda głosi, że ją jakiś olbrzym rzucił tu przed wiekami. Jest to odtam skalny strącony ze szczytu i wyciosany przez przyrodę.

Z ZAPOZNANI TWÓRCY WIELKICH DZIEŁ

Kilka słów rzec należy teraz o tych skromnych pracownikach, co owe cuda tworzą...

Bo jeśli danem nam jest zachwycać się dziwami martwej napozór przyrody, to godzi się również oddać część uwielbienia dla tych przyczyn błahych napozór, które cudne krajobrazy wywołują...

Pracownicy ci — to woda i powietrze, ożywione i ruchem ciągłym obdarzone przez życiodajne ciepło słoneczne, oraz



Most Inkasów

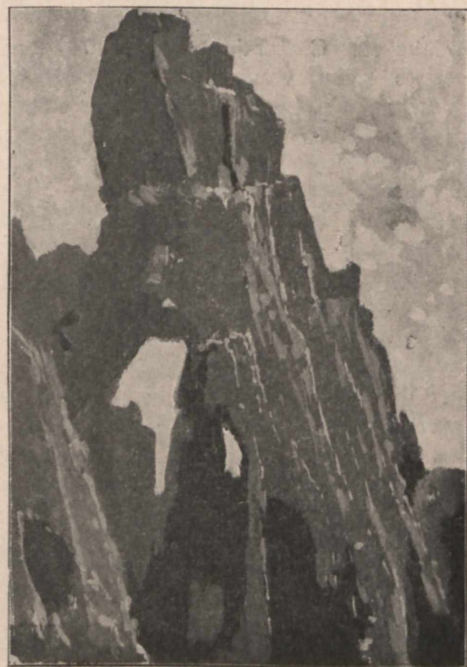
sila ciężkości, staczająca odtamy skalne ze szczytów górskich i zarywająca podmyte wybrzeża.



Ropucha kamienna na górze Abou w Indyach



Kolumna Pompejańska w Wielkim Kanionie



Naturalny łuk na Capri

Powolne kruszenie i rozkładanie się skał skutkiem działania chemicznego wody i powietrza, czyli t. zw. wietrzenia, oraz działalność mechaniczna deszczu, lodowców, morza i wiatrów, oto praca trwająca w ciągu stuleci, jednostajna, cierpliwa i w swoich skutkach potężna.



Most narodowy w Wirginii

Zmiany temperatury i co za tem idzie, rozszerzanie się skał, ogrzewanych za dnia i kurczenie się z nastaniem chłodnej nocy i przede wszystkim woda, zamarzająca a przedewszystkiem woda, zamarzająca w szczelinach i rozsadzająca skały z powodu powiększenia swej objętości, wszystko to powoduje rozpadanie się skał, nawet bardzo zwięzłych. Im więcej zaś skała się kruszy, tembardziej potęguje się oddziaływanie chemiczne wody deszczowej, oraz wpływ powietrza.

Skąły, wietrzejąc, zachowują się rozmaicie: jedne rozpadają się na wielkie bryły, inne znów na powierzchni zwolna podlegają rozkruszeniu, co zależy od ich zwięzłości, składu mineralogicznego, budowy i t. d.

Nic więc dziwnego, że i charakter krajobrazów każdej okolicy pozostaje w związku z własnościami skał i formami ich wietrzenia.

Fantastyczne, nby ręką jakiegoś olbrzyma wykute, dziwy skalne mówią szczerze o swem pochodzeniu, gdy się badaniom mineraloga i geologa poddadzą.

Deszcz, spadając kroplami, kruszy mechanicznie skały na ich powierzchni, a splukując warstwy zwietrzałe, powoduje obnażanie się coraz starszych pokładów.

Ta denudacja deszczowa najenergiczniejsza jest na zboczach wszelkich wzniesień. Potężniejszą od niej jest jednak działalność wód bieżących czyli t. zw. erozyja wodna, gdyż siła prądu i unoszony żwir pogłębiają nieustannie dno koryta, a wodospady przyspieszają jeszcze niszczące działanie rzek.

Doliny erozyjne odznaczają się niezwykłą malowniczością; przykładem ich służyć może znana ze swej piękności uroczona dolina Ojcowska, która powstała skutkiem wrzynania się coraz głębiej w pokłady wapienne wód Prądnika. W

Stanach Zjednoczonych rzeka Colorado wyłobila sobie, wśród sprzyjających temu warunków, wązkie koryto, czyli t. zw. kanion, a i nasze rzeki podolskie płyną głębokimi jarami, które powstały w podobny sposób.

Częstokroć doliny takie natura zdobi kunsztownemi swemi dziełami, jako to mostami, basztami, niekiedy całą grupą skał, ruiny starożytnego zamku przypominającemi.

Most Narodowy w stanie Wirginii, w Ameryce Północnej, rzucony jest u końca głębokiego wąwozu, w którym szumi wartki potok górski. Nazwę swą zawdzięcza podpisowi Jerzego Waszyngtona, twórcy Związku Amerykańskiego i oto blaha napozór fantazja przyrody stała się pamiątką narodową i pożytecznym środkiem komunikacyjnym.

Niezawsze jednak praca sił przyrody jest taką twórczą napozór; często jest wyłącznie burzącą, nieubłagane niszczyielską. La Sierra Ventana w Andach z wykutym przez wiatry i deszcze oknem u szczytu o swej minionej sławie opowiada. Według badań alpinisty Hautchala, prowadzonych w 1892 roku, góry te, utworzone z najstarszych pokładów geologicznych, były ongi jednym z najwyższych szczytów globu ziemskiego. Obecnie, wzniesione zaledwie na 470 metrów nad poziom morza, wskazują na niszczącą działalność czynników meteorologicznych.

Na podobnej do opisanego kamienia w Tandilu skale, kołyszącej się za lada podmuchem wiatru i szyszczącej na pozór z praw równowagi, wznosi się w Hindostanie pogoda Ky-aik-ti-yo. Skala ta jednak, by stać się chwiejną, słuchać musiała praw przyrody; niszczące wpływy deszczu, wiatr i słońce uniosły wszelkie części miękkie, pozostawiając te jedynie które największy opór stawiały. Od wieków już jednak tryumfuje ona bezkarnie nad siłami przyrody. Pewien pobożny wyznawca Buddy powziął zamiar wybudowania pagody na tej chwiejnej podstawie i wkrótce stało się owo miejsce celem pielgrzymek. Tradycja głosi, że pod skalą ukryte są włosy boga Buddy, jako relikwie. Wszyscy więc pielgrzymi przynoszą w ofierze własne włosy i składają je na progu pagody.

Na całym świecie znajdujemy dowody

nieustającej pracy zapoznanych i lekceważonych artystów. W Australii w stanie Victoria rozciąga się granitowy łańcuch górski, stawiający opór działaniom przyrody, i choć w około wszystko kruszy się i rozpada, głady granitowe zda się iż twać będą wiecznie.... A jednak?... Lekko rysujące się tu i owdzie szczeliny pozwalają przypuszczać, że i na głady koniec przyjść musi.



Luk naturalny i zatoka Matsuszima

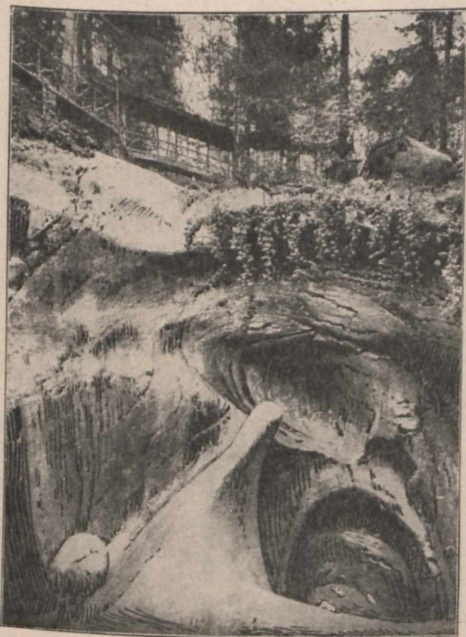
OCEAN ARTYSTA

Podczas gdy rzeki i wody rzeźbiły zwolna powierzchnię lądów, równocześnie u brzegów pracuje morze, niszcząc potężne skały. Fala morska to kapryśny, pełen fantazyi artysta, i na skalistych wybrzeżach tworzy

szczególnej postaci odosobnione skały i bramy olbrzymie, a z unoszonego, startego na zwir i piasek materiału ściele pod nogi ludzkie rozległe plaże.

Zatoka Matsushima, rozciągająca się na 60 kilometrów pomiędzy Shioyuwa i Kin-kwazan usłana jest wysepkami skalnymi, na których rosną często sosny japońskie tak charakterystyczne dla krainy wschodzącego słońca. Wysepki te, z kruchych skal pochodzenia wulkanicznego zbudowane, ciągle są niszczone przez morze i z roku na rok znaczna ich ilość ginie, ale nowe powstają ciągle wskutek deskrukcyjnej działalności fal morskich u brzegu. Morze wykuwa początkowo łuki na wybrzeżu skalistym a gdy sklepienie runie, pozostaje mała wysepka dopóki i ją zagłada nie spotka.

Kunsztownym rzeźbiarzem jest fala morska i dumnie wnosi pienistą,



Kottły: Ogród-lodowców w Lucernie



Bliźnięta skalne. Na tylnym planie góra Pikes-Peak, 4200 m. wysok.

białą grzywą. Ale przed jej wtargnięciem dwa sfinksy strzegą miejsca do zatoki Wangaroo, na Nowej Zelandyi. Nie są to jednak owe legendarne stworzenia w fantazyi ludzkiej zrodzone—to tylko skutek powolnej pracy fal. Podobało się Neptunowi rzeźbić w nadbrzeżnych skałach i jego cierpliwe dluto wykuło nieświadomie na poły ludzkie postacie...

P RACA RZEK LODOWYCH

Podobnie jak wody płynące, działają na skorupę ziemską i lodowce, czyli rzeki lodowe, schodzące ze śnieżnych turni na doliny. W Luzernie, w 1872 roku, odkryto ślady dawnego lodowca, wyżłobione w skalistym podłożu, pokryte cienką, obecnie usuniętą, warstwą gleby rodzajnej. Widzimy tam owe „Kottły“ lodowcowe wywiercone w masywie skalnym przez granitowe głazy.

Mnóstwo kamieni pochodzących z kruszenia skał przez lodowce dostaje się pod lód



Most naturalny w Acoma



Kolonnada w Arizonie robi wrażenie wieśniaczek bretońskich w beretach



Okno w Sierra Ventana

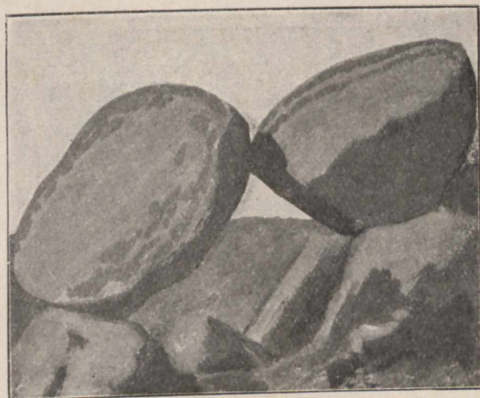
ulega roztarciu, szlifując jednocześnie koryto. Z tego materiału powstają pokłady lodowcowe, pozostające po ustąpieniu lodowca, jak to miało miejsce naprzykład w epoce dyluwialnej, gdy lodowce sięgały aż po Karpaty. Dzisiaj znajdujemy te pokłady w całej Polsce, szczególnie jako charakterystyczne glazy erratyczne, lub wprost tak zwane kamienie polne.

ARCYDZIEŁA WICHRÓW

O jednym jeszcze rzeźbiarzu powieść należy; nie pracuje on wcale powolnie, jak jego poprzednicy, ale zato działanie jego znacznie słabsze; — jest to wiatr. Lotne piaski, tworząc ruchome wydmy, są oczywistym przykładem działania wiatrów; osady lössowe z nadzwyczaj drobnego mialu utworzone, również są pochodzenia eolicznego. Wiatr, unosząc pył mineralny ze sobą, szlifuje rozmaicie skały, podobnie jak woda

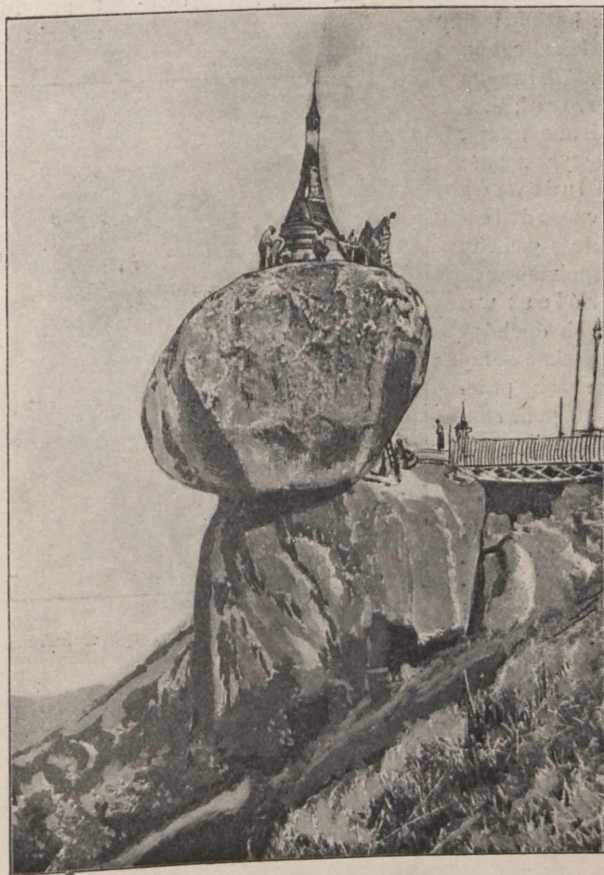
plynąca, i owa erozja powietrzna jest jedną z ulubionych rozrywek przyrody.

Nad rzeką Zieloną, w Stanie Wyoming skały utworzone z warstw niejednakowej



»Pocalunek« granitowych kłóców w Buffalo

twardości przedstawiają podatny materiał dla sił niszczących, a rezultaty zdumiewają niekiedy swą fantastycznością. Bo czegoż



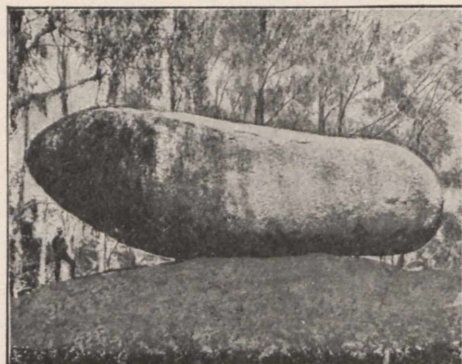
Pagoda na chwiejącej się skale w Kyaik-Ti-Yo,

to nie napotykamy pośród tych form dziwacznych jesti „Czajnik starej panny“ i „Maczuga boga Tyor“ według podań skandynewskich do wypędzania wrogów służąca i wiele, wiele innych.



Rzeźbione skały nad rzeką Zieloną (Ameryka)

Jest więc rzeczą oczywistą, że praca tych zapoznanych rzeźbiarzy, a naszych codziennych towarzyszy, że owa erozya wo-



Blok gigantyczny w Buffalo—Torpila

O 120 kilometrów od Denveru w Colorado, leży słynny „Ogród bogów“. Na przestrzeni dwudziestu hektarów wznoszą się skały z czerwonego i białego wapienia i gdy wieczorne snują się cienie a słońce krwawe blaski rzucać poczyną, zaczarowaną krainę mamy przed sobą.

Niezliczona ilość dziwnych postaci, kamienne figury, bestye z baśni ludowych i czarodziej-skie gmachy zapelniająowokrólestwo złych duchów, i mimowolny dreszcz przenika, póki rozsądeknie weźmie góry właściwi twórcy na myśl nam nie przyjdą... wiecznie ci sami... deszcz i wiatr, słoneczny żar i mróz...



Gigantyczny grzyb w lodowcu Biafo

dna i powietrzna, odgrywa pierwszorzędną rolę, jako czynnik wytwarzający zewnętrzną rzeźbę skorupy ziemskiej.

I oprócz zwykłych dolin i wybrzeży tworzy ona często cuda, wobec których staje się z podziwem i mimowolnym zapytaniem na ustach: czy to możliwe...

Bo widocznie дума, czy też zarozumiałość nie pozwalała nam przypuszczać, by owa „ślepa“ przyroda, rozporządzająca tak nikłymi na pozór i pospolitymi środkami, jak deszcz lód, lub wiatr, mogła tworzyć dzieła tak potężne, że wobec nich największe arcydzieła rąk ludzkich błędną w nicość się przemieniają...

IND.

CZY JÓZIA?

Było nas zaledwie kilka osób w wielkiej i, przyznać trzeba, już naprawdę po europejsku świetnej sali reastauracyjnej nowego hotelu w Krakowie. Bo rzeczywiście nawet ci, którzy się tu zatrzymują dla owej europejskiej świetności urządzeń hotelowych, na kolację jednak po staremu radzi śpieszą do „Hawełki“, gdzie trochę ciasno, nie nazbyt wytwornie ale... przepiękna jest siła nawyknień tradycyjnych.

Mój malarz, który zresztą zawsze ma poglądy zdecydowanego choleryka, daje folę pesymistycznym swoim o społeczeństwie, uwagom.

— Wystarczy—mówi z przekąsem—nakryć im stół czystą serwetą, zapalić jaśniej światła elektryczne, broń Boże, jeszcze wprowadzić do dekoracji trochę subtelniejszego, zachodniego smaku, bez wycinanek i kogutków, a pies z kulawą nogą nie zajrzy do podobnego lokalu. Im do życia organicznie potrzeba tego swojskiego smrodku garkuchni, przyjacielsko spodufalanej służby i ordynarnych malowanek na ścianach. To ich żywioł.

Owo *im, ich* wymawiał z akcentem niewypowiedzianej pogardy i niechęci. Miał może malarz z *nimi* jakieś swoje osobiste rachunki. Może poskąpiono mu kiedy, co jest prawdopodobne, uznania brzęczącego, bo na brak uznania moralnego chyba uskarżać się nie potrzebował. Ale kto zmierzy granice ambicji artystycznych?

W każdym razie niemile raziła mię zawziętość towarzysza.

— Przesadzasz.

W odpowiedzi wskazał dłonią po sali.

— Pusto — rzucił zgryźliwie. Pusto, jak wymiotti. Oni wolą gdzieś tam w brudnych dziurach ucierać buzię bibułą, jak to za dawnych, dobrych czasów czynili nasi ojcowie i dziadowie w handelku na rogu. Nie, niech dyabli porwą nasz konserwatyzm i przywiązanie do tradycji!

— Ale dla czego cię to znowu tak nadzwyczajnie rozczuła?

— Nie lubię pustej knajpy — nudno i ponuro!

Istotnie, pomimo niezwykłej jasności oświetlenia, pomimo nieskazitelnej białości obrusów, lśniących jasno na szeregach stołów z bogatą zastawą ze srebra i kryształu, w którym łałały się tęczowymi ogniami promienie mnóstwa lamp elektrycznych, panował tu nastrój niezbyt wesoły. W atmosferze wisiła jakaś przykra, nudna, senna, nieodpowiednia do miejsca i okoliczności cisza. Cicho, bez szelestu, niby cienie, przesuwała się służba po puszystym dywanie; cicho, szeptem gwarzyli ze sobą czterej Niemcy, którzy obsiedli stół w jednym rogu salonu. W innym rogu jakiś samotny pasażer, z miną desperata, pocieszał się w absolutnej skrytości ducha butelką szampana. Od czasu do czasu zadźwięczało szkło kieliszka, stuknął nóż o porcelanę talerza.

— Hm, mruknął malarz, bardzo by to była miła taka solenna cisza w tumie katedry goetyckiej, ale...

Nie dokończył.

Od wejścia doleciał ostry szelest jedwabiu.

Nagle niby prąd elektryczny przebiegł po wszystkich kątach obszernej sali.—Jak na komendę podnieśli głowy Niemcy, drgnął gwałtownie zatopiony w szampańskiej zadumie desperat, poruszyła się ławą wyfraczona, a skupiona dotąd beczynn timer koło bufetu służba.

Uczułem w sobie i ja jakby przebieganie tego prądu, wytworzonego poruszeniem materii jedwabnej. W tej chwili ów niepokojący szelest przesunął się lekko tuż za moimi plecami, a jednocześnie wionęła na nas delikatna, nieuchwytna woń perfum oraz kobiecości.

Malarzowi zaświeciły oczy radośnie.

Nie jest to już do licha, jak sądzę, przywiązanie do tradycji, ale dziki, naturalny głos instynktu. Wesołej zapłonęły lampy elektryczne i cudniej, tęczowej promienie ich zaczęły grać w pryzmatach, zastawionych na stole kryształów. Zaśmiała się radością wielką, świetną, lśniącą sala restauracyjna, odkąd w jej ciszę wpadł poszum szat niewieścich.

Odwrociłem głowę i widziałem jej postać strojną i wykwiwną. Okryta była w obszerny, jedwabny płaszcz podróżny, zapewne maskujący w znacznej mierze kształty jej figury; ale przecież nie każda z pań, nawet światowych, płaszcz podobny nosić potrafi równie majestatycznie. Rzeczywiście było coś niezwykle pańskiego w jej postawie. Szedł za nią mężczyzna wyniosły, już niemłody, siwy prawie zupełnie, i nieco przygarbiony. Jenó chód lekki i elastyczny, prawie młodzieńczy zda się, przeczył ogólnemu wyglądowi, i mógł nasunąć przypuszczenie, że mamy przed sobą mężczyznę w sile wieku, dotkniętego, jak niekiedy bywa, przedwczesną siwizną. Było to jednak tylko, zdaje się, wynikiem wysokiej tresury, która ludziom pewnej sfery towarzyskiej długo bardzo pozwala zachować sprawność i elegancję ruchów. Wyniosły pan należał niewątpliwie do najlepszej sfery towarzyskiej.

Stanęli na środku sali, upatrując miejsca, gdzieby najwygodniej mogli usiąść i kiedy się zwrócił wreszcie w naszą stronę, ujrzałem jego twarz starannie wygoloną. Stara była rzeczywiście, pomięta, poorana brózdami, ale prawie piękna przez wyraz niezwyklej dostojności i powagi.

Zajęli stolik obok nas, nieco z tyłu, tak, że aby ich widzieć musiałbym się odwracać, co niebyło ani zbyt wygodne, ani bardzo, ze względów przyzwoitości, wskazane. Niemniej nie mogłem nad sobą zapanować; korniło mnie, ażeby ujrzeć oblicze wytwornej pani. W imaginacji odtworzyłem je sobie, jako zjawisko niepospolite pod względem klasycznej doskonałości rysów. Tak przynajmniej wypadłoby dla utrzymania harmonijnej całości z ową królewską postawą.

Kiedym wreszcie, szukając godziwego pretekstu, zawołał służącego i w rozmowie z nim spojrzął za siebie, pani ta właśnie podnosiła dość gęstą woalkę, która dotąd szczerze jej twarz zasłaniała.

W pierwszej chwili byłem najpewniejszy, że spotkałem osobę bardzo znajomą. Już miałem wstać i złożyć zdaleka ukłon, kiedy powstrzymała mnie myśl, że jest to może jeden ze znanych efektów pewnej niekoordynacji władz intelektualnych. Rzeczywiście mam dość silnie rozwiniętą pamięć wzrokową, kojarzenie zaś wrażeń w świadomości odbywa się, wyznam, w sposób dość opie-

szaly. Z tego powodu kłaniam się często ludziom, których znam tylko z widzenia, odwrotnie nie kłaniam się najlepszym znajomym, bo przy nagłym spotkaniu nie zdążyłem w świadomości przeprowadzić procesu skontrolowania, czy przechowany w pamięci obraz danego oblicza nie jest jedynie wyłącznie nabytkiem pamięci wzrokowej. Zanim tedy stwierdzę właściwy mój stosunek do spotkanej osoby... najczęściej bywa za późno.

Uderzony teraz dziwnie silnem przypomnieniem rysów tej osoby, istotnie nie pospolicie pięknej, zacząłem w niedołężnym umyśle niesłychanie zmusną kontrolę owych władz poznawczych. Starałem się odtworzyć okoliczności towarzyszące wrażeniom z tego zakresu, szukałem wskazań najbardziej odległych, najbardziej nieoczekiwanych. Przywołałem przed oczy wyobraźni całe ulice warszawskie, napełnione tłumem najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek tam spotykałem, kobiet.

Daremnie. Nie widziałem jej nigdy na ulicach, ani w teatrze, ani na balu publicznym, ani nigdzie w Warszawie. Szukałem dalej po znanych mi miastach prowincjonalnych, dworach wiejskich, letniskach, uzdrowiskach. Napróżno. Z kolei zacząłem szaloną wędrówkę po Europie...

Malarz nie przeszkadzał mi w tych poszukiwaniach. Siedział nieruchomo, zapatrzony snadź w piękną panią, którą ze swego miejsca mógł widzieć wybornie.

Przerwałem wreszcie zbyt już długie milczenie.

— Przysięgnę, zacząłem, że znam kobietę, która siedzi tam za mną z owym starym jegomościem.

— Hm, podchlebiam sobie, mruknął z jakimś dwuznacznym uśmiechem.

— Jaki?

— No, znasz ją.

— Ja?

— Z całą pewnością.

Nachylił się nad talerzem, i dłużył po nim widelcem, niby z wielką uwagą.

— Nie pamiętasz Józia? spytał, nie podnosząc głowy.

— Józia?

— No, Józia... od Barońskich... cztery, pięć lat temu?...

Teraz uprzytomniłem sobie wszystko. Zna-

lazłem nareszcie przyczynę złudzeń. Państwo Barońscy, u których dość często bywaliśmy na raucie, mieli kiedyś pokojówkę uderzająco podobną do naszej interesującej nieznanym. Zachowałem w wyobraźni obraz jej rysów i nagle... Ha, ha. — Rozumiem, wszystko rozumiem! Dziewczyna rzeczywiście była nad miarę piękna, to też skończyła, jak... było do przewidzenia. Pomnę jak kiedyś zacna pani Honorata z oburzeniem opowiadała nam o eskapadach pięknej Józii. Podobno filutka przebierała się w najstrojniejsze szaty swej pani i zadawała szyku po nocnych knajpkach.

Pochylił jeszcze niżej głowę nad talerzem.

— Podobno—rzekł—podobno... ale poco krzyczysz tak głośno?..

Zniżyłem głos.

— Masz rację, ciągnąłem dalej, śliczna była ta Józia. Pełna wdzięku i dziwnej, jak na pokojówkę, dystynkcji; doprawdy też nasza dama ma coś... oczywiście *toute proportion gardée*... ma coś z jej typu w ogólnym rysunku głowy.

— Nie tylko ma coś z jej typu, ale to jest ta sama Józia we własnej osobie.

— No, daj pokój...

— Upewniam cię.

Pomimo woli odwróciłem się, ażeby sprawdzić możliwość owej tożsamości. Ponieważ jednak z miejsca, na którym siedziałem, było to w najwyższym stopniu nieporęczne, przeniósłem się prosto na inne krzesło.

Podano nam właśnie czarną kawę.

Widziałem ją.. i, wyznając, w miarę najbardziej obserwacji twierdzenie malarza wydawało mi się coraz mniej prawdopodobne. Była już bez płaszcza—w jasnej bluzce, pod którą rysowały się ponętnie wytworne kształty jej biustu. Siedziała swobodnie, ale z tą jakąś wrodzoną grandessą, którą daje kultura pokoleń. Śledziłem uważnie każdy ruch jej białych rąk, o cienkich, wydłużonych palcach. Wypieszczone były starannie i zwinne niewymownie. Z niesłychaną gracyą trzymała w nich nóż i widelce.

W bardzo podobny sposób manipulował nożem i widelcem jej towarzysz. Niewątpliwie są to ludzie jednej sfery — dobrze dobrana para, jeżeli nie pod względem wieku, co niestety wywnioskować wcale nie trudno, to pod względem rasy, stanu i obyczaju. Zresztą niewykluczone jest, że stary gentel-

man może być rodzonym ojcem pięknej damy.

Malarz brutalnie parsknął śmiechem.

— Pozwól powinszować sobie przenikliwości.

Broniłem swego stanowiska.

Rzeczywiście w sposobie zachowania się starego jegomości względem młodej kobiety było raczej coś z troskliwej ojcowskiej pieczołowitości, niż z czułości kochanka, lub nawet męża.

— Phi, cedził przez zęby mój towarzysz, skoro Adonis liczy sobie dobrze już pod siódmy krzyżyk, cóż mu właściwie pozostaje. prócz zapewnienia ładnej dziewczynie statecznej pomocy i czulej, ojcowskiej pieczołowitości. Utrzymuje to zresztą jeszcze jaką taką równowagę społeczną na tym najpodlejszym ze światów.

— Już to słyszałem... Ale nie przekonasz mię, ażeby osoba takich manier, takiej dystynkcji...

— ...Mogła być dawną pokojówką państwa Barońskich?

— Tak. Zablagowałeś się, kochanie. Nie nabywa się tego z dnia na dzień...

Owszem—nabywa się to, jak zresztą wszystko, za pieniądze.

— Mylisz się. Znam dorobkiewiczów, którzy daliby wiele za trochę dobrych manier.

— Nieprawda. Nic nie znasz, nie znasz życia i basta. Dorobkiewiczze za dobre maniere bynajmniej płacić nie skorzy, bo po pierwsze—wogóle nie uznają ich potrzeby, powtóre—zgoła nie odczuwają ich braku. Dorobkiewiczze ze swoim chamstwem są śmieszni, nieestetyczni dla nas — nie dla siebie. Przeciwnie, to my dla nich jesteśmy śmieszni i godni politowania z naszym chudopacholskim, pretensjonalnym estetyzmem. Oni są z siebie zadowoleni, dumni, bo są bogaci i już. Po za to ambicye ich nie sięgają. Tem się tłumaczy, że nie wydają ani grosza na naszą tak zwaną kulturę estetyczną, czy inną; też w drugim jeszcze pokoleniu, choć zdobyli miliony, nie umieją trzymać po ludzku widelca w łapie, jedząc cmokczą, jak wieprze w karmniku, a surdut od najpierszorzędniejszego krawca pasuje im właśnie, jak psu chomać. Co innego kobiety — kobiety piękne, których ostatecznym celem i ambicyą osiągnięcie właśnie najwyższych szczytów wdzięku. To jest ich ziem-

skiem zadaniem ich posłannictwem, ich kulem. Czyż podobna sobie wyobrazić prawdziwie piękną kobietę bez należytej wykwintnej oprawy? Ale też z drugiej strony najwykwintniejsza, najkosztowniejsza, najbardziej luksusowa oprawa może sharmozować się najcudowniejszą z piękną kobietą, już przez to samo, że ta jest piękna, niezależnie zupełnie od sfery, z jakiej pochodzi. Mała pokojóweczka Józia już przez samą swą przedziwną urodę posiadała w potencji wszystkie warunki na damę wielkoświatową, czy półświatkową. Z, chwilą, kiedy włożyła pierwszą bluzkę jedwabną, uczuła się w niej odrazu tak swojsko i naturalnie, jak obecnie, kiedy podróżuje sleepingami, lub własnymi samochodami, kiedy staje w najpierwszorzędniejszych hotelach, jeździ do najmodniejszych plaży europejskich i ubiera się u Paquin'a w Paryżu. To się najsłuszniej należało jej urodzie. Nie dziwiłbym się, gdybym kiedyś w towarzyszącym jej gentlemanie poznał nie jakiegoś już, jak obecnie, polskiego magnata, ale następcę tronu któregoś z najpotężniejszych mocarstw. To nie ma granic od chwili, kiedy ją dobry geniusz ze swędów kuchennych u państwa Barońskich wywiódł na wolne przestworza właściwego dla jej urody pola.

Świat cały stoi przed nią otworem.

— Hm, dobry geniusz?

— Masz wątpliwości? Nie różnisz się jak widzę, filistrze, w poglądach z panią Honoratą.

— Bo ja wiem...

— No, to patrz sam i sądz.

Tamci skończyli kolację. Wyniosły pan z nadzwyczajną uprzejmością podawał damie jej płaszcz jedwabny. Przyjęła go z pańską godnością; okrągłym, miękkim ruchem przesunęła ramię w szeroki otwór rękawa.

Przechodzili tuż przed nami. Ona wspinała, pewna siebie, spokojna, niewzruszona zgoła naszym widokiem, ani naszymi nad miarę natarczymi spojrzeniami.

Nie zna nas,

— Nie, do kroćset, to nie może być dawna Józia.

Towarzysz mój chichotał podniecony.

— Wiesz, to przedziwna metamorfoza... to bajkowa metamorfoza... hm, przyznam ci się otwarcie—to mój tryumf. Ja to byłem dobrym geniuszem... Dla mnie to przebrała się kiedyś w nowy, spacerowy kostium pani Honoraty.

i robiliśmy furorę w „Udziałowej“. Wyglądała precudnie—wiedziałem, że zajdzie daleko.

Na liście hotelowej zapisali się: Janusz H... Inżynier z Petersburga z żoną.

Malarz aż krzyknął z podziwu.

— Patrzenie państwo! Ależ to znauy nabab syberyjski. Człowiek niesłychanie bogaty. Posiada jakieś przeogromne kopalnie na Uralu. No, no, mogę sobie powinszować.

Mam pewne powody niezawsze i niezupełnie wierzyć w ścisłość informacji tego człowieka; bowiem, jak to mówią, przekoloryzował często z nałogu czy z powołania. Nie wziąłem też może za czyste złoto prawdy tego wszystkiego, co mi nagadał przy kolacji i potem, przecież nie mogłem nie myśleć bez ustanku o pięknej damie, tak fantastycznie podobnej do Józii od państwa Barońskich. Po za tem rzeczywiście cisnęło mi się do mózgu mnóstwo przesłanek, z których...

Zapraǳiałem zobaczyć ją bodaj raz jeszcze, zobaczyć za wszelką cenę..

Było w tem pragnieniu może coś więcej, niż zwykła ciekawość, niż amatorska żyłka rozwiązanja zawitej zagadki.

Tak, wyznaję, pragnąłem wznowić w sobie wzruszenie, wywołane szelestem jej szat i zapachem jej perfum. Pragnąłem wznowienia w sobie zachwyty, jakiego doznałem na widok jej nieskończonej harmonijnej i estetycznej postaci.

Rano zbiegłem do portyera.

Nie ma już ich. Wyjechali wczesnym rankiem.

— Dokąd?

— Nie wiadomo.

— Czy nie można by sprawdzić, dokąd odchodzą pociągi o tej porze?

— Proszę łaski pana dobrodzieja — ci państwo odjechali samochodem.

Skończyło się. Może i lepiej. Zagadka Józii mogła by mię zanadto niepokoić i odrywać od pracy, dla której tu przyjechałem.

P. Jaroszyński



Z cyklu: Widzenia Złote.

RYBACY.

...Była wieczorna pora — słyhać lot aniołów...
Na ławach, z twarzą w dłoniach ukrytą, po pracy
Siedzą dnia roboczego bezdomni rybacy
I marzą, czy im jutro da obfity połów?..

Sieci ich puste były — głowy im, jak olów,
Ciężą od troski... Zali wynędzniali tacy
Jutro znowu na morze popłyną, jak ptacy?...
W rybaczej kurnej chacie zasiądą u stołów?..

Marzą sznury chat białych i pól ornych skiby...
Słodką postać Chrystusa na morzu ogromnem,
Rozdającą zgłodniałej rzeszy chleb i ryby...

I westchną—i wraz szlochem wybuchną bezdomnym
Ciche rybaków dusze, chłonąc zmrok padolów!...

...Była wieczorna pora — słyhać lot aniołów...

O R A C Z.

...Dzień szare pióra w słońcu rozzłoconem znacza
I kładzie się tęczami kaplicznych witraży...
Za pługiem widać postać skuloną oracza,
Co o złocistych płonach krwawej orki marzy.

I orze... Za nim białych rój aniołów prawi
Wieść cudowną o bożej nad zagonem straży:
I oto oracz słyzy szumną pieśń kosiarzy...
Wieczór idzie — na niebie płynie klucz żorawi...

Wieczór idzie, błękitu pełen — lemiesz orze...
Zorane czarne skiby krwawią się, jak zorze...

A u wyschłych ramion zaszumią oracza
Szare skrzydła, jak ugor, jak dola prostacza,
Z potu dnia upalnego i trudu wyrosłe!

O pochwalone bądźcie, szumy skrzydeł wzniosłe!

S T A R U S Z K A.

...Szła wolno, szła zgarbiona — stare próchno drzewne...
Oczy wlepiła w ziemię nieruchome, mgławce —
Pół żywa, stopy cicho stawiając niepewne,
Przez kościelną szła mroczną, zasepioną nawę...

Dzwony grały na pacierz... w koło pusto było —
Mrok chusty kładł na chłodne, złocone ołtarze,
Kiedy szła, jak umarła — głuchą parta siłą
Ku leżącej gdzieś w krypcie złotych ulud marze...

I słyhać było łopot skrzydeł nad jej głową
Orlęcych — słyhać było trwożne dzwonów bicie,
By czerwonych trzask gromów w burzę orkanową!...

Szła wolno, szła zgarbiona... Nad nią całe życie:
Tak mi się nieraz przeszłość ukochana marzy
Ta staruszka o zimnej, o zmurszałej twarzy...

Władysław Dulęba



ŹRÓDŁA MORALNOŚCI.

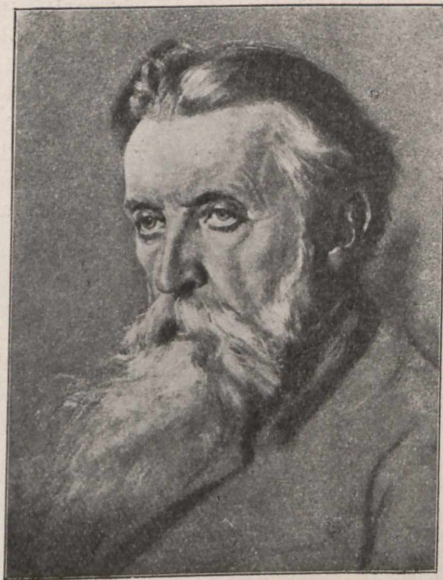
Sędziwy wódz postępu polskiego, Aleksander Świętochowski, z bogacił naukową naszą literaturę dziełem o wartości trwałej i dużej. Mało bowiem wychodzi u nas książek naukowych, słabo rozwinięte jest czytelnictwo, a więc każdy objaw pracy poważnej powinien być witany z uznaniem.

Książka Świętochowskiego omawia kwestyę, która może być dla wszystkich interesującą, bo dotyczy powstawania sądów moralnych, dotyczy powstawania samej moralności. Dla specjalistów zaś posiada też niezwykłą siłę pociągającą, gdyż Świętochowski zagadnienia moralne ujmuje we właściwy sobie tylko sposób. W Anglii, we Francji ma on różnych współwyznawców, ale u nas jest on pod tym względem zupełnie samotnym. Polska literatura filozoficzna zwykła problemy etyczne rozwiązywać na drodze dociekań psychologiczno-ideologicznych. W większości wypadków uczeni polacy nie wyszli poza sferę wpływów „krytyki praktycznego rozumu” Kanta. Nie jest to wcale dziwne, gdyż wogóle większość współczesnych myślicieli trwa pod urokiem filozoficznym, jakie wykreślił pracą swoją Emanuel Kant. Zajmują się więc właściwie uczeni ci

interpretacją genialnych myśli tego filozofa, ale nie mogą się poszczycić, że tworzą własne systemy.

W etyce nie rozróżniano więc poszczególnych dyscyplin. Sprowadzono wszystko do praktycznej zastosowalności jakiegoś naku,

oraz szukano sankcji i rozkaznika. Według Kanta „kategoryczny imperatyw”, coś w rodzaju sumienia, miał być regulatorem czynów ludzkich. To założenie z góry klasyfikowało pewne czyny jako dobre, inne zaś jako złe. Ale przeciw tej interpretacji w ostatnich czasach powstał silny prąd krytyki. Zauważono bowiem, że zależnie od kultury, od stopnia cywilizacji zmieniają się pojęcia o wszystkim, a więc i o Dobrze i o Złe. Z tego spostrzeżenia wysnuto cały szereg wniosków, które spowodowały, że



Aleksander Świętochowski.

pierwotnie całkowitą naukę—etykę, zaczęto specjalizować. Rozdzielono na trzy poszczególne dyscypliny zakres tych problemów, które przedtem obejmowała etyka. Jedną w specjalizacji nazwano etologją, drugą etiologją, trzecią zaś dopiero etyką. Pierwsza miała się zajmować opisywaniem i notowaniem zjawisk moralnych, by tą drogą zdobyć sobie przeświadczenie, w jaki sposób powstawały sądy moralne u różnych ludów, i w różnych kulturach. Druga starała się już

dziś odnaleźć pewien zasadniczy, wspólny rozkaznik, wspólne prawo we wszystkich kulturach i u wszystkich ludów. Trzecia zaś miała wyjaśniać praktyczne, doraźne cele, doraźne wartości i poczucia moralne.

Świętochowski w książce swojej wypowiada się, jako zdeklarowany stronnik etologii. Uważa on ten sposób ujmowania zjawisk moralnych, jako jedyną metodę naukową. Chcąc więc wyłożyć „Źródła moralności“ przenosi czytelnika o kilkadziesiąt wieków wstecz i stara się tysiącem przykładów z dziedziny życia zwyczajowego i prawnego odkryć przed nami tajemnicę pobudek moralnych. Moralność bowiem, jak i przyrodniczy organizm, odbywa drogę swojego rozwoju. Na niższych szczeblach posługuje się pewnymi formami, które przy wyższym rozwoju, jak organy szczątkowe, odpadają.

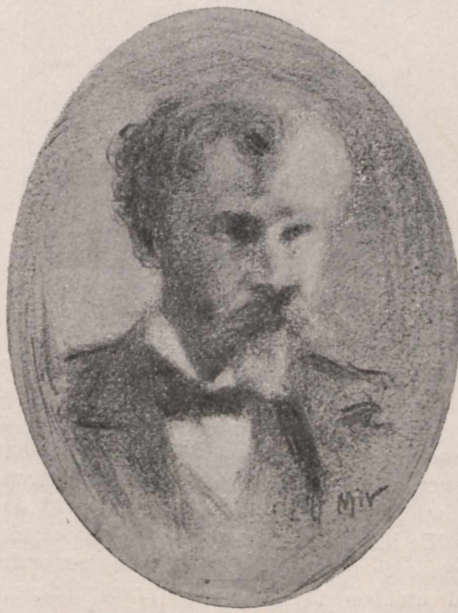
Najniższą kategorię potrzeb każdego człowieka stanowią wymagania biologiczne, które też w zaraniu dziejów wycisnęły swoje piętno na etyce człowieka. Instynkt piciowy, ów fundator rodziny, szczepu, wreszcie państwa, jest pierwszorzędnym prawodawcą w sferze nakazów moralnych. Na tle tego

instynktu powstają pierwsze różniczkowania się pojęć. Kwestya własności wpływa konsekwentnie z tych założeń. Wogóle wszystkie pojęcia moralne wyrastają z tego pnia.

Świętochowski nie dowiódł całkowicie, w jaki sposób powstają wogóle sądy moralne. To go nie obchodziło. Postawił sobie za zadanie wykryć „Źródła moralności“ i odnalazł je, a więc wypełnił zamierzone dzieło. Nie każdy może zgodzi się na takie postawienie kwestyi, ale dla wszystkich książka ta jest bardzo cenną, jako pobudka do samodzielnego przemyślenia zagadnienia. Materiały zebrał Świętochowski skrupulatnie i bardzo różnostronnie. Dał doskonały konспект historii etyki. Już dla tego konseptu warto książkę mieć, bo treściwie i zwięźle na kilkunastu stronicach wyczerpuje dzieje myśli etycznej. Materiały zaś dotyczące pierwszych załączków cywilizacyjnych podane są też obficie. Dużo w nich rzeczy o wartości niepowседневnej. Znac, że Świętochowski czerpał z najlepszych źródeł. (Westermarck!) Kto więc ciekaw, kto pracuje nad z bogaceniem obszarów swojej wiedzy—niech książkę Świętochowskiego odczyta.

MOCNY CZŁOWIEK.

Literaturze polskiej przybyła powieść cenna i warta poznania. Porusza ona kwestye związane bezpośrednio z życiem każdego artysty. Chodzi o skomplikowane zagadnienie prawości ludzkiej duszy, która musi objawiać najskrytsze swoje drgania, jeżeli chce stworzyć rzecz trwałą. Artysta stoi wobec swoich przeżyć, jak wyrafinowany konstruktor, które wie, do czego przydać mu się może ta lub inna uwaga, jakieś spostrzeżenie, jakiś fakt zaobserwowany. Okrada on



St. Przybyszewski,
autor „Mocnego człowieka“.

życie własne, byle z bogacić sztukę. Przybyszewski pyta więc, czy warto dla sztuki poświęcić życie? Czy wogóle warta jest sztuka wszystkich tych poświęceń, które składamy jej w ofierze?

Fabula „Mocnego człowieka“ jest bardzo prosta. Gorski, umierając zostawia swoje rękopisy Bieleckiemu, który przywłaszcza je sobie i uważa się za twórcę dzieł w nich zawartych. Nikt nie wie o tem. Wie tylko kochanka Bieleckiego, której musi się on pozbyć, gdyż życie jej trzyma go w usta-

wicznym lęku, że lada chwila mogą dowiedzieć się wszyscy o jego złodziejstwie. Wiecie więc ją na modre morze południa i topi. Jest panem sytuacji, ale spokoju sumienia nie zazna on nigdy.

Poszczególne sceny malowane są z wiel-

ką siłą ekspresji. Język męski, rozlewny, skrzący się bogactwem metafor. Powieść ta świadczy, że bujny talent Przybyszewskiego nie utracił nic ze swojej dawnej potęgi.

OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE.

Na brak liryków współczesna literatura skarżyć się nie może. Mamy poetów, mamy i prozaików, którzy opowiadają swoje serdeczne przeżycia i tęsknoty. W powodzi jednak pism rzadko trafia się książka, która jest w stanie utulić i serdecznie ukoić, czy pobudzić. A już rzadko spotyka się takie talenty, które umieją skupić, skierować w stronę dośrodkową nasze czucia i myśli. Zdzisław Dębicki ma ten właśnie wyjątkowy przywilej, ma tę wyższość od wielu mu rówieśnych. Ciche pieśni jego rozbudzają głęboko tajone echa w duszy ludzkiej. Mówi on cicho i spokojnie, a szept jego brzmi w sercu, jak symfonia. Bo ani słowa nie powie więcej nad myśl własną! Pogardza on sztuczną ornamentacją słów — jeno niezbędne, jeno konieczne śpiewa tony. Ta wstrzemięźliwość świadczy nadzwyczaj dodatnio o poezji Dębickiego. Rodzi się ona z tych psychologicznych pokładów duszy, które są obecne tylko u ludzi mądrego na świat spojrzenia. Starzec Zosima Dostojewskiego może coś o tej wstrzemięźliwości powiedzieć. Kto wsłuchiwał się w kamienne milczenie, peł-

zające po celach więziennych, kto słyszał szmery kroków ludzi prowadzonych na śmierć, kto czekał, że poprowadzą i jego, by spojrzeć w oczy tajemnicy życia, ten zrozumie ciszę słów i wartość milczenia. Powaga słów cichych urosnie wtedy do znaczenia

Losu. Milczenie skupi w sobie całościową treść. Moment jeden wystarczy, by osiąść spokój i mądry uśmiech, który zdobywa się po latach pracy nad duszą własną. Ten uśmiech mądry, ten spokój cichy i skupiony położył piętno niezatarte na całym zbiorze poezji Dębickiego. Wiersz jego „Milczeniem umiłował niewysłowioną mowę“ stanie się dla wielu dusz skupionych i szanujących słowo: Los wieczorną melodią — akompaniamentem do dum własnych, do czuć serdecznych.

Niech więc przeczy-

tają, przejrzą tomik poezji Dębickiego ci, którzy w wędrówce swojego życia szukają prawdy i piękna. Jest on bowiem tylko dla oka tego rodzaju ludzi dostępny. Inni — niech go ominą z uszanowaniem. Nie wolno bowiem wdzierać się w tajemnice duszy ludzkiej, gdy się jest samemu obdartym z piękna i tęsknoty za dobrem.



Z. Dębicki,

autor ks. „Oglądam się za siebie“.

NOWA FRANCYA LITERACKA.

Mamy tak mało książek, zaznajamiających nas z literaturą europejską, że każdy objaw w tym kierunku jest pożądanym i powinien być stanowczo popierany. Nie mówię tu o książce Lorentowicza. Ona nie potrzebuje żadnego poparcia. Sama mówi za siebie, sama jest w stanie postawić czoło... nieprzyjacielowi, jeżeli się takowy znajdzie.

Z drobiazgową bowiem sumiennością zebrało wszystko, cokolwiek dotyczy omawianego przedmiotu. A jednak pomimo ową naukową ścisłość i rzeczowość — umiano dać całokształt wyraźny i plastyczny. Jest to, rozumie się, zasługa talentu krytycznego Lorentowicza. W plejadzie współczesnej krytyki literackiej jest on najwybitniejszym, najpoważniejszym.

Lorentowicz w książce swojej omawia wszystkich autorów współczesnej literatury francuskiej. Rozpocyna Leonem Blois, zagłębia się w takich współczesnikach, jak Barres, Huysmanes, Mirbeau, Rachilde, daje obraz literackiego czasopiśmiennictwa, przedstawia kapliczki i kościoły różnych kultów artystycznych. Kto książkę Lorentowicza przeczyta — otrzymuje zupełne pełny kompleks informacji oraz orientacji artystycznych, dotyczących współczesnej literatury francuskiej. Książka ta jest jednako cenna, tak dla laika, jak i dla literata.

Zasadniczą jej cechą jest, że się opiera na fundamentach świadomej i przemyślanej metodologii krytycznej. Lorentowicz przychodzi do każdego autora z własnym punktem oparcia. Nie zatraca się więc w jego twór-

czość, umie odnaleźć dystans a więc przez to samo dostrzeże wszystkie indywidualne rysy psychologii, moralności, oraz koncepcji artystycznej. Nie znaczy to jednak, że Lorentowicz narzuca autorowi swój punkt widzenia, że bagatelizuje go, jeżeli się z nim nie zgadza. Umie się on utrzymać na poziomie uszanowania każdej indywidualności, co konsekwentnie wynika z jego założeń metodologicznych. Jako dowód proszę wziąć pracę o „Kulcie Boga wewnętrznego“ i przeciwstawić jej charakterystyki Mirbeau, Huysman's'a lub de Gourmonta.

Obok więc wartości informacyjnej, pedagogicznej, posiada książka Lorentowicza wartość demonstracyjno-psychologiczną dla metody krytycznej, której Lorentowicz jest rzecznikiem. W pracy tej poddano wszechstronnej próbie założenia metodologiczne. Kogo więc interesuje kwestya metod krytyki literackiej, kogo interesują filozoficzne, społeczne, psychologi-

czne kierunki w myśli kryterioznawczej — znajdzie w książce Lorentowicza bogaty materiał. Najlepiej na żywym przykładzie widzi się racjonalność tego lub innego stanowiska teoretycznego.

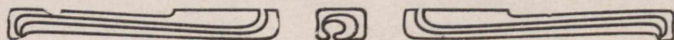
Do książki Lorentowicza dodany jest szczegółowy spis przekładów, oraz spis dzieł autorów, nie mówiąc o tem, że w tekście podano analityczne streszczenie najważniejszych, charakteryzujących prac każdego poszczególnego pisarza ..

Książka Lorentowicza powinna być czytana! Niech więc inteligentny czytelnik zwróci na nią baczną uwagę.

Eustachy Czekalski.



Jan Lorentowicz.
autor „Nowej Francji literackiej“.



KRONIKA MODY.

Początek września jest najwdzięczniejszą chwilą dla „modnej Kroniki“, jest to przejście z ukończonego lata do zapoczątkowanej jesieni pełne wahań i niepewności — z de-



nerwującym oczekiwaniem na to, jak nam w najbliższej przyszłości każe wyglądać wszechwładna „Moda“, jakie nam wygłosi nowiny powstałe w jej rozbudowanej, a nie wyczerpanej fantazyi, w jakie nas ustroi szaty, jak nam pokryje głowy... w jakie nas otuli futra, jednym słowem, co uczyni z naszych postaci, w całokształcie i szczegółach... Jak dotąd — dochodzą nas ze źródeł modnej wszechwiedzy, ze świetlanego Paryża, głuche tylko i niepewne wieści. Wielki modny Areopag tamtejszy, z Twórcami Mody na czele, wcielony w panów: *Redfern'ów*, *Doncel'ów*, *Paquin'ów* i w wielu innych, po niezmiernie pracowitym pomysłowo-twórczym okresie wprowadzonym w czyn za porozumieniem się i przy współdziałaniu całej armii przemysłowców, artystów — rysowników i fachowych rękodzielników, posiadający skarby Sezamowe ukryli je z godną podziwu jedno-myślnością, strzegąc przed oczami profanów... Oczywiście tajemnica trwa krótko — bo w tych dniach właśnie wszystkie „*Grandes Mai-*

sons“ paryskie, urządzają dwa tygodnie trwające Wystawy „*des dernières créations*“, których zwiedzenie nie obowiązuje do kupna, a które od razu wtajemniczą Paryż a wraz z nim cały świat cywilizowany we wszystkie modne, sezonowe kreacje... Jest to chwila, w której widzi się w Paryżu całe wszechświatowe tłumy właścicieli wielkich magazynów nowości, czyniących zakupy modeli, sprzedawanych oczywiście na wagę złota... Taki sezonowy *obroćnik* daje Stolicy świata i Mody milionowe zyski — i zapewnia byt krociom ludzi... Jest to przedsiębiorstwo bez konkurencji, a tem samem tak bajecznie zyskowne.

Jeżeli poważne *tajemnice sezonu* bywają nie raz podsłuchiwane i ujawniane, to cóż dziwnego, że mimo surowych zakazów, zawsze coś się daje uszczknąć z za kulis Mody... Są to dyskretne pół-słówka i pół-wskazówki, rzucające pół światło na ogólny prąd, na ton, na *manierę* jesiennego sezonu. Otóż wiemy na pewno, że owe do śmieszności wązkie kostiumy spacerowe — przestały istnieć — należą już do przeszłości. Ogólny rysunek postaci naszych, *la ligne*, pozostał jeszcze szczupły, smukły ale z uwzględnieniem przyzwyczajenia i wygody. Spódnice nie rzeźbią, nie oblepiają już kształtów, można



w nich ruszać się swobodnie, całość przedstawia się normalniej, pojawiają się układane na bokach fałdy (*crevés*) a jako półsezonową nowość, a raczej wskrzeszenie, nosić będą bardzo spódnice gładkie od góry a gęsto plisowane od kolan, fason, który, wykończony z lekkiego sukna, (*drap de dames*) szewiotu, lub z *drap de soie*, bardzo elegancko wygląda. Na to poszerzenie kostiumów spacerowych, na owo właśnie tak modne plisowanie, wpłynęli głównie fabrykanci tkanin kostiumowych. Przez ostatnich lat parę produkcja tych materiałów bardzo się zmniejszyła, wskutek maleńkiego *metrażu* zużywanego na te konfekcje; to oczywiście przeraziło producentów, którzy w tem, jak we wszystkim, co się tyczy mającej powstać Mody—porozumieli się z paryskimi Mistrzami nożyczek i wpłynęli na powiększenie ilości zużywanych materiałów.

Kapelusze, które w ubiegłym sezonie cieszyły się wielką swobodą, różnaitością fasonów, wymiarów i przybrań, zachowują i nadal swoje konstytucyjne prawa. W Londynie noszone są obecnie kapelusze tak zwane *parapluie* (*parasole*), z nieprzemakalnego filcu, zabezpieczające doskonale od deszczu nie tylko głowę, ale i ramiona. Ku wielkiemu zmartwieniu posiadaczek tak epidemicznie modnych przez lat parę a tak kosztownych piór strusich wiązanych, zwanych *pleureuses* (płaczki) muszę zaznaczyć, że pióra te zeszyły na plan drugi. Niełaskę Mody zawdzięczają swej piękności.. były tak cudne, tak strojne, tak ciągnące oko, że posiadania ich zapragnął szerszy ogół. Nadomiar ich niedoli zostały one adoptowane przez wszystkie artystki kabaretowe, pokrywające nimi nie tylko całą głowę, ale ramiona i plecy.. Obecny wielkopański kapeluszym luksusem są tak zwane *egrety*, oraz *paradyzy*, bajecznych wielkości i bajecznych cen, dochodzących do 150 rubli i wyżej. Ta fantazyja Mody — już się tak prędko nie zdemokratyzuje.. Ozdoby te znajdują się zwykle na kapeluszach zwanych *casques* (kaski) a umieszczane są na środku, nad czołem.

Tyle chwilowo (boć to tylko wieści zakulisowe) o kostiumach spacerowych i kapeluszach.

Co do strojów wieczornych: obiadowych, rautowych a nawet balowych, doszły nas już

następujące podstawowe wieści: Stroje te będą przeważnie — ściśle *stylowe*: na przygodną fantazyję pozostawiono miejsca nie wiele. Styl *Directoire* (Dyrektoryat) i *Empire* (Cesarstwo) tak bardzo uprawiany przez ostatnich lat parę, z pierwowzorami tegoż stylu, to jest *Panią Recamier* i *Cesarzową Józefiną*, chociaż się jeszcze i nadal utrzymał, nie został jednak ostatniem słowem zbliżającego się sezonu.

Ostatnie słowo—to *styl Wschodni, frakcyja perska* — z całym olbrzymim przepychem barwnych, drogocennych tkanin i bajecznych ornamentacyi.

Wiadomo, że bawiący się Paryż uprawia w wysokim stopniu *impresjonizm*, wrażenie a raczej sensację chwili, dźwięcząca jednak przeciągłym echem i wywierająca wpływ znamieny na pewne objawy życia Stolicy Świata. Otóż w ubiegłym lecie dwie przedstawicielki najwyższej francuskiej arystokracji—hrabina de *Chabrilan* i hrabina de *Clermont-Tonnerre*, zorganizowały we wspólnych swych paryzkich rezydencjach tak zwane *Fêtes persanes*, czyli *Uroczystości perskie*. Był to istotnie sen z tysiąca nocy, jakaś czarodziejska ilustrowana bajka, jakieś niebywałe zjawisko i widowisko, któremu równego nie pamiętają starzy paryscy, wielko-światowi bywalcy.

Jeszcze parę nowości z tak ważnego działu futer. Otóż nigdy może futra nie były tak modne, tak szalenie zapotrzebowane, jak na szykujący się sezon zimowy. To też i ceny są odpowiednie. Jest to zaczarowane koło, z którego trudno się będzie wydostać. „Futra są tak bardzo drogie, dla tego, że są tak bardzo modne... a dla tego są tak bardzo drogie“... Jest to logika... kobieca... ale... logika. *Etoile muszq* być olbrzymie, tak, aby obwijały całą nieledwie osobę—mufki *muszq* być kolosalne, zwieszzone do samych stóp — za to *perskie* toczki futrzane mogą być małe, byle z bajeczną *egretą*. Pałta futrzane *muszq* być do ziemi i szerokie, dozwolone są nawet całe kostiumy z nurków, lub fok—a wszystko to duże... i piękne.. Czyż w obec tego można skarżyć się na Modę?.. Najwyżej, można by się uskarżyć na brak... potrzebnej, na to wszystko gotówki—ale Moda jest za wielką Panią, żeby się w takie... szczegóły wdawać mogła.

Marcelle.

NAD GROBEM HAMLETA *).

Ledwo zorza na niebie wieczorem ściemnieje,
Błady stajesz przedemną, w sennej duchów bieli,
I wiem dzisiaj, że nigdy nic już nie rozdzieli
Dusz naszych, z których wola złowieszcza się śmieje.

Nie wiem, czy pachną moje kwiaty, czy Ofelji,
Nocą, gdy szukam siebie... A kiedy już dnieje
Nie wiem, który wiatr kwiaty więdzące rozwieje...
Nic nie wiem... Bo wiem tylko, co inni wiedzieli!

Serce Twoje na widok trucizny, lub szpady
Żądzą zemsty i trwogą przed zemstą stargane,
Bije w sercu mem trwożnem, królewiczu błady...

I każdą czuję woli twojej—w sobie ranę...
I jestem wobec życia bez rady... bez rady...
Bo jak ty je przeklinam, i kocham—na zmianę...

STUBBENKAMMER W NOCY.

Ożyły białe skały... Zda się, widać głowę
Cudnej, wiotkiej Królowny... A tam—Czarownica...
Płyniem... Upiorne do nas skał się śmieją lica,
Dusze nagle zwierzają olbrzymy kredowe.

Stary rybak tłumaczy. Tam widać Królowę,
A tu Orła... Reflektor ze statku przyświeca...
Każdej skale wydarta biała tajemnica,
Skałnych widm słyhać nagle w ciszy dziwną mowę.

Jeszcze chwila,—i wszystko nam będzie wiadome:
Jakie twarze *naprawdę* mają skały strome,
Jak na imię jest gwiazdom, niebu, morzu, ciszy...

Spowiedź dusz wszystkich w koło ciemna Noc usłyszysz,
Bo rzecz każda, jak skały, duszę k'nam wynurzy...
Cóż to?! Ciemność znów?! Cisza?!..

Ląd—koniec podróży...

Z. Rabska.

*) W Marienlyst, w Danii, wskazują miejsce, gdzie rzekomo miał być pochowany Hamlet.

ZAMIESIACA

NOWY CESARZ JAPONII.

Po śmierci Tenno Matushito odziedziczył tron japoński książę Harunomija, który panować będzie pod imieniem Joschi-Hito. Ma on obecnie 34 lata. Jak pokazuje fotografia, którą zamieszczamy, nowy cesarz japoński nie należy do postawnych ludzi. Zdrowiem też podobno nie cieszy się wielkiem. Przewadzić on będzie nadal politykę swojego

ojca. Nic się więc nie zmieniło w Japonii, chyba tylko jedno; dzień galowy urodzin nowego cesarza zacznie być obchodzony zwyczajem japońskim. To jedyna nowość. Młody Cesarz jest bardzo popularny wśród swoich poddanych, temniemniej jest on... bogiem. Erę, którą nowy cesarz rozpoczyna, nazwano daisho, co znaczy: era wielkiej sprawiedliwości.



Joschi Hito nowy cesarz japoński.



Sada-Ko, nowa cesarzowa japońska (28 lat).

POINCARÉ W ROSYI.

Prezes ministrów francuskich odbył w miesiącu przeszłym podróż do Rosyi. Podróż miała wyraźny charakter polityczny. Chodziło o porozumienie się z Rosyą co do przymerza, co do marynarki, co do wojny włosko-tureckiej, jak i wogóle spraw, które obecnie są na porządku dziennym w dyplomacyi europejskiej. Niemcy całemu temu zajęciu nieprzychylnie się przypatrywali. Już przy odjeździe Poincarégo urządzili manifestację, gdyż naumyślnie wysłano flotę wojenną na spotkanie, zmuszono do salutowania, jakgdyby chciano pokazać francuskiemu ministrowi siłę morską Niemiec. Krok ten w kołach dyplomatycznych wywołał niesmak. Poincarégo przyjmowano

w Rosyi z oznakami wysokiej przyjaźni. Rezultat pomyślny zawiózł on do swojej ojczyzny. Prasa niemiecka stara się go

zbagatelizować, lecz podobno wizyta ta będzie miała poważne następstwa. Spokój w Europie utrwalono.



Poincaré w podróży do Rosyi.

ZMIANA TRONU W MAROKKU.

Moulay Hefid, którego Francya obsadziła na tronie a który, jak się później okazało, nie chciał być zupełnie biernym i posłusznym narzędziem w jej ręku, zdecydował się zrzec władzy. Francuzom szło o to, żeby go utrzymać, za jego przyzwoleniem milczącym dokonać ważnego dzieła politycznego— aneksyi stopniowej państwa Marokańskiego.

Ale Mulaj Hefid, pod którego patronatem, jak wieści głoszą, odbywały się rzezie chrześcian w Fezie, nie chciał widocznie opiekunom niebezinteresownym domagać do utrwalenia rządów w swej ojczyźnie; chęć abdykacyi z jego strony była chęcią przysporzenia Francyi kłopotów; wiele dyplomatycznych zabiegów trzeba było, ażeby go od tego odwodzić. W końcu udało się Francyi skłonić Mulaj Hefida do tego, żeby, ustępu-

jąc, wyznaczył swego następcę. W ten sposób da się uniknąć podejrzeń i możliwych rozruchów ze strony marokańczyków. Następcą Mulaj Hafida został brat Mulaj-Jussef.

Ex-sułtan wsiadł w Rabat na okręt i udał się przez Marsylię do Vichy, gdzie ma zamiar podreperować nadwątlone zdrowie.

W przeciągu 18 lat trzeci więc syn Mulaj el Hassona zasiada z kolei na tronie marokańskim.

Po kilku miesiącach był sułtan wrócił do



*Mulaj-Yuseff,
nowy sułtan marokański.*

Tangeru z podróży po Europie i tam zamieszka.

Nowy sułtan mieszkał w Rabat, gdzie handlował jedwabniami materyami. Było to dlań wielką niespodzianką, kiedy go zawezwano do Fezu i zamianowano paszą; następnie miał jako Khalif, zastępować brata; dziś zasiadł na tronie. Jestto podobno człowiek cichy, łagodny, bez wielkich ambicji i francuzi cieszą się, że będzie posłusznym narzędziem w ręku generała Lyautey.



Mulaj-Jussef, brat i następca Mulaj Hafida, na wizycie w rezydencji jeneralnej francuskiej, w Fezie w sierpniu. Po lewej jego ręce generał Lyautey.

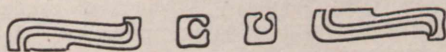
KATASTROFA NA DNIEPRZE...



Uczestnicy wycieczki. Zdjęcie dokonane przed katastrofą.

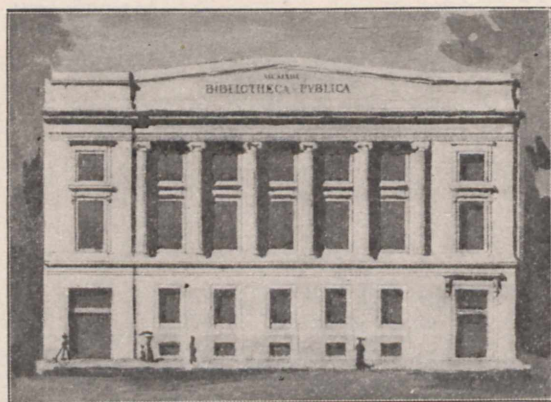
Cudny, słoneczny był dzień. Słońce zdawało się pieścić i tulić. Wybrano się więc na wycieczkę, wybrano się w poważnym i miłym nastroju. Wszyscy byli radzi, że mogą odpocząć, nasycić się słońcem, zielenią łąk i złotem ściernisk. Fotografia, którą załączamy, jest właśnie dokumentem tej radosnej chwili. Zebrało się osób kilkadziesiąt; wieczorem jeden z uczestników zaproponował przejażdżkę łódką motorową, która mając na pokładzie kilkanaście osób, zatoniła skutkiem uderzenia fali. Większa część osób, znajdujących się w łódce, straciła życie,

w walce z żywiołem, między innymi: Arcinowski, St. Zieliński, p. Vetterowa z córką, Chruszczyński i pp. Oraczewscy. Zawiódł przezroczy Dniepr. Niesforne nurty pochłonięły kilkadziesiąt ofiar z pośród kijowskiego, polskiego towarzystwa. Jak grom piorunu rozchodzi się smutna wieść, elektryzuje całe nasze społeczeństwo i nakłada żałobę na rodziny kijowskich mieszkańców. A przecież taki cudny słoneczny był ów dzień. Tak śmiało się błękitne niebo, tak pieściły lekkie fale zwodniczego Dniepru.



BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. KIERBEDZIÓW.

Biblioteka publiczna, mieszcząca się obecnie przy ulicy Rysiej, nie posiada dostatecznych zewnętrznych warunków, by mogła służyć za doskonałą pomocniczo-naukową instytucję. Już fakt ten, że musi się mieścić w wynajętym lokalu, mówi o niewygodach. Otóż p. Kierbedziowa postanowiła za-



Fronton biblioteki Kierbedziów.

radzić tym niedostatkom i zdecydowała się kosztem własnym wystawić gmach dla Biblioteki. Stanie ów budynek przy ulicy Koszykowej. Ilustracja nasza pokazuje fronton gmachu. Wewnątrz i zewnątrz urządzony on będzie w stylu empire.



Straż ochotnicza w Pruszkowie.

STULETNIĄ ROCZNICĄ ZAKŁADÓW KRUPPA.



Alfred Krupp,
urodzony 26 kwietnia 1812 roku
Zm. 14 lipca 1887 r.

Znana na cały świat fabryka armat braci Krupp obchodziła w tym roku stuletnią rocznicę swojego istnienia. Z początku zatrudniała zaledwie kilku ludzi, dziś około 80,000 robotnika pracuje nad śmiercionośnymi smokami, pancernymi do okrętów wojennych, oraz wszelkiego rodzaju wielki-

mi wyrobami ze stali. Sam cesarz Wilhelm był obecny na obchodzie rocznicy, i obdarzył Kruppów orderami.

Dzieje tego zakładu, oraz rodziny Kruppów, należą do rzędu bajek poprostu. Nędzarze, dzięki sile woli i pracowitości stali się milionerami.



Fryderyk Alfred Krupp,
urodzony 17 lutego 1854 r.
Zm. 22 listopada 1902 r.

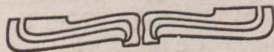
FERDYNAND KURAS, POETA—CHŁOP.

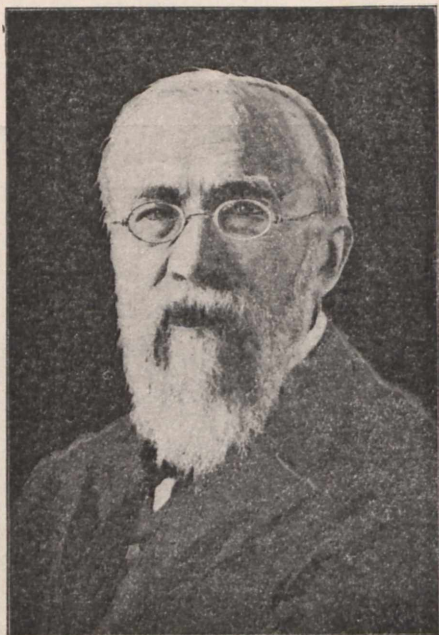


Uczczenie chłopów—poety. Uroczystość wręczania daru narodowego poecie Ferdynandowi Kurasiowi. Przemawia ks. dziekan Rudnicki.

Ubogich parobek wiejski marzył o wizjach szczęścia, przyśpiewywać pragnął całemu światu; długo się biedził, nim zdobył wśród swoich rodaków rozgłos, nim prosta jego piosenka wzruszyła serca i sumienia szerokiego społeczeństwa. Z inicjatywy więc zwolenników talentu poety zdecydowano się ulżyć doli parobka, postanowiono podarować mu kawał gruntu i siedzibę; niech pracuje na swoim, niech śpiewa, jak śpiewał. Protektorat nad tą inicjatywą objął hr. St. Tarnowski. Wszyscy wiedzieli, że protekcja ta musi urzeczywistnić zamiar wielbicieli Kurasia. Aż oto dnia 1 Września r. b.

oddano w posiadanie Kurasiowi zagrodę. Na uroczystości obecni byli hr. Zdzisław Tarnowski, oraz Zbigniew Horodyński—marszałek powiatu. Nadesłano mnóstwo telegramów z wszystkich dzielnic Polski. Uroczystość skończyła się o godz. 4-ej po południu. Na dzień następny zorganizowano wycieczkę do Sandomierza. Wycieczka udała się wspaniale. Prowadził takową p. Kolasieński. Podejmowaną była przez redakcję: „Sandomierzanina“ i „Kroniki dyecezyjnej”. Przebieg uroczystości świadczył o sympatii, jaką cieszy się wśród współobywateli obdarowany rolnik—poeta.





WILHELM WUNDT.

Wszecznica lipska obchodziła w miesiącu bieżącym 80-lecie urodzin jednego z naj-

wiekszych uczonych świata, Wilhelma Wundta. Nazwisko to jest znane inteligentnym kołom polskim; wielu bowiem naszych rodaków studyowało na uniwersytecie lipskim, wielu specjalnie dla Wundta przebywało w tym, a nie innym uniwersytecie. Wundt w semestrze zimowym stale wykładał kurs historii filozofii wieku XIX, a w letnim wstęp do psychologii. Seminarya psychologiczne, które prowadził, skupiały w sobie ludzi wszystkich narodowości. Na wykładach jego zawsze przeciętnie było obecnych po 250 słuchaczy. Książki jego przełożono na wszystkie języki świata. Jest on twórcą psychologii doświadczalnej. Jako filozof i psycholog należy do rzędu rzadkich powag. Na polski język przełożono: Krótkie zasady psychologii J. W. Dawid, Wstęp do filozofii, Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej, Logika (częściowy przekład Z. Herynga p. t. Teorya poznania). Podziw i cześć dla pracowitości budzi jego „Völkerpsychologie“. Każdy, kto pracował pod jego kierunkiem, nauczył się systematyczności, wytrzymania i uczciwości naukowej.

Cześć pracy, cześć zasługom!

SZKOŁA MAŁŻONKOW PRAUSSOW W ZAKOPANEM.

Dla dzieci słabowitych toż to najwyższe dobrodziejstwo! Wśród olbrzymich gór, w atmosferze kuracyjnej, znanej na całą Polskę—a przytem pod umiejętnym kierownictwem doborowych pedagogów—znajduje się szkółka, która obecnie posiada 4-o klasowy program gimnazjalny. Po za tem IV oddziały przygotowawcze dla dzieci od lat 6 — 7.

Wszyscy prawie uczniowie zdali egzamina wstępne w Gimnazjum w Nowym Targu. Dla dzieci z Królestwa specjalny wykład języka rosyjskiego. Uczniowie klas starszych—z programem gimnazjalnym, mogą też na żądanie przechodzić program rosyjskich



gimnazyów. — Załączona rycina przedstawia wycieczkę zoologiczną. Życzyć by sobie należało jak największego napływu dzieci do tego zakładu, bo naprawdę jest wart tego!

NAJWYŻSZY NOWOJORSKI „DRAPACZ NIEBA“.

Z krainy nieograniczonych możliwości przychodzą wieści o nowym cudzie techniki budowlanej, tak potężnie rozwiniętej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Trudno decydować o tem, czy powstanie takiego olbrzyma wywołała konieczność i rzetelna potrzeba; sądzić raczej należy, że weszły w grę tutaj względy konkurencyjne i dążność do stworzenia czegoś największego, najwspanialszego, czegoś, co zaćmić może sławę współzawodników w przemyśle, chęć posiadania rzeczy „the largest of the world“.

Jednak i takie dążenia mają swoją dobrą stronę, przyczyniają się bowiem do coraz większego rozwoju przemysłu i techniki, do udoskonalenia narzędzi i maszyn niezbędnych dla wykonania szalonych na pozór projektów.

Wymagają one również znacznych kapitałów, ale pieniądź w Stanach Zjednoczonych, nawet na najszaleńsze przedsiębiorstwa, zawsze się znajdzie.

Dowodem tego jest, że nowobudujący się gmach Woolworth C-o ma kosztować „bagatelkę“ wynoszącą 8 milionów dolarów (16 mil. rubli), a suma ta nawet na stosunki amerykańskie jest wcale pokąźną. Kolosalna jednak reklama, święcąca nowy tryumf, pokryje w zupełności koszta i cel swój osiągnie, stawiając niewygodnego konkurenta na drugim planie.

Nowy ów drapacz nieba będzie najwyższym domem mieszkalnym na całym świecie; wysokość jego od poziomu ulicy do szczytu wieży wynosić ma 250 metrów (wieża Eiffla—300 metrów). Sama wieża tylko liczy 21 pięter, cały zaś gmach przeszło 50. Jako materiały budowlane użyte są żelazo i beton; o kamiennej konstrukcji mowy nawet być nie może, gdyż obliczenia stosowane do budowy zwykłych domów dają rezultaty iście

fantastyczne i niemożliwe do wykonania grubości ścian. Belki zaś żelazne i stalowe kolumny umocowane zostały w jednolitej płycie

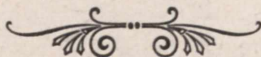


betonowej znacznej grubości, tworzącej pewny fundament, na którym bezpiecznie wesprzeć się może rosnący w górę kolos stalowy. Kamień i cegła służą jedynie do wypełnienia luk i otworów.

Przy budowie uniknięto zupełnie stałych rusztowań, zastępując je klatkowymi windami, wznoszonymi w górę w miarę postępo-

wania budowy, która już dobiega końca, jak to widać z rysunku.

Wszelkie materiały dostarczane są zapomocą wind; para i elektryczność stają się w takich razach nieocenionymi współpracownikami człowieka, a po skończeniu budowy zapewnią ogrzewanie i oświetlenie nowopowstałego olbrzyma.

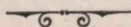


S P O R T.



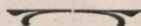
Z PARYŻA DO BERLINA W AEROPLANIE.

Lotnik francuski Audemars 3 sierpnia przedsięwziął podróż z Paryża do Berlina. Z aerodromu paryskiego na Issy les Moulineaux wleciał mimo złej pogody i przybył do Gelsenkirchen w Westfalii nazajutrz. O 5-ej godzinie rano wyruszył w drogę dalszą, nie zważając na deszcz, i już o godzinie 6 m. 50 tegoż samego dnia po obiedzie wylądował w Johannisthalu pod Berlinem. Audemars jechał na aparacie systemu Bleriot.



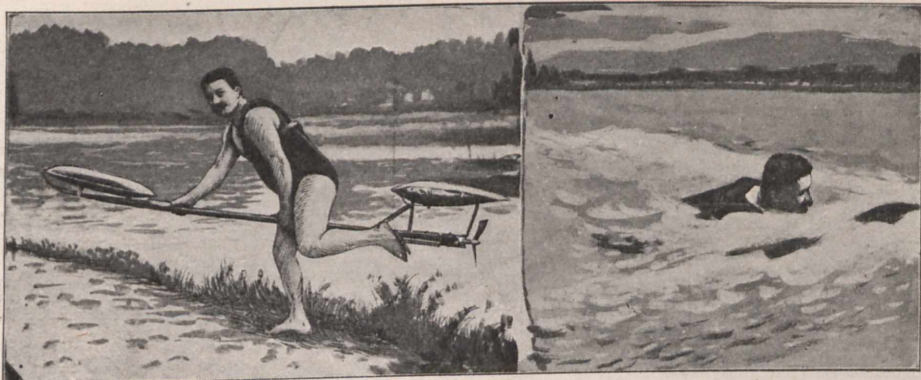
PŁYWAK RENAUD.

Marynarz floty francuskiej Renand przepłynął jezioro Bizerte na 23 kilometry długie; w pierwszą godzinę zrobił 4 kilometry, całą zaś drogę w 11 godzin. Należy więc przypuszczać, że jest on kandydatem do przepłynięcia cieśniny La Manche.



PRZYRZĄD DO PŁYWANIA.

Przyrząd, który widzimy na rysunku, składa się z 2-u metrowej sztangy i dwóch skrzynek, wypełnionych powietrzem. Skrzynki te



umieszczone są z przodu i tyłu. Według objaśnień wynalazcy, każdy kto tylko chce może, za pomocą tego aparatu zrobić 10 kilometrów na godzinę i to nawet taki człowiek, który nigdy nie pływał. Porusza się

aparat ten tak szybko, gdyż posiada małą szrubę, stosowaną w parowcach. Rozumie się, że w aparacie siłę parową zastępują nogi, poruszające pedały.



KWITNĄCA „JUKKA“ (szpilecznica).

W Kaszewicach pow. Piotrowski, w ogrodzie księdza proboszcza zakwitła „Jukka“, co należy do rzadkich wypadków, ojczyzna bowiem tej rośliny jest środkowa Ameryka zwłaszcza stepy gdzie na gruncie twardym a nawet kamienistym, wyrasta w potężne drzewa.

Łodyga kaszewickiej jukki (szpilecznicy) ma 5 stóp wysokości, a na niej osadzonych piramidalnie kwiatów kilka setek.



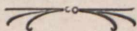
ROBINSONOWIE POLARNI..

W 1909 roku Einar Mikkelsen wyjechał z Kopenhagi w celu odnalezienia papierów i rysunków, które porobił Mylius Ericksen i zostawił w śnieżnych polach polarnych. Einar wrócił obecnie i przywiózł plan, po jaki jechał. Wraz z Mikkelsenem wszystkie jego trudy dzielił Jersen. Nasza rycina przedstawia właśnie tych dwóch dzielnych ludzi.



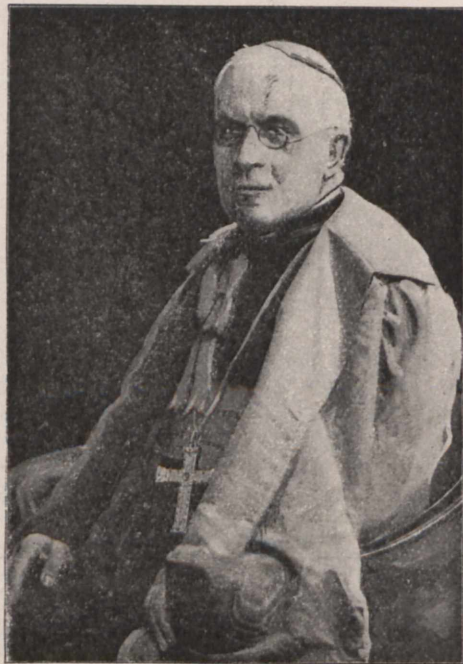
Ś. P. PROF. ALOIZY WINIARZ.

Dnia 20 b. m. zmarł we Lwowie zasłużony badacz prawa polskiego, profesor wszechnicy Lwowskiej, ś. p. Aloizy Winiarz. Z bogatej naukowej spuścizny zmarłego wymienić należy prace „Ustrój polityczny i społeczny Polski”, „Archiwum Namiestnictwa”, „Sądownictwo rektora uniwersytetu Jagiellońskiego”. Był on uczniem prof. Oswalda Betzera. Śmierć prof. Winiarza została, zdaje się, wywołana brutalnym napadem rusinów, którzy dn. 23 stycznia 1907 r. uzbrojeni w toporki i boksyery rzucili się na profesora. Od tej pory prof. Winiarz zapadł na zdrowiu i więcej nie wyzdrowiał. Cześć jego szlachetnej pracy!



Ś. P. KARDYNAŁ ANT. FISZER,
arcybiskup kołoński.

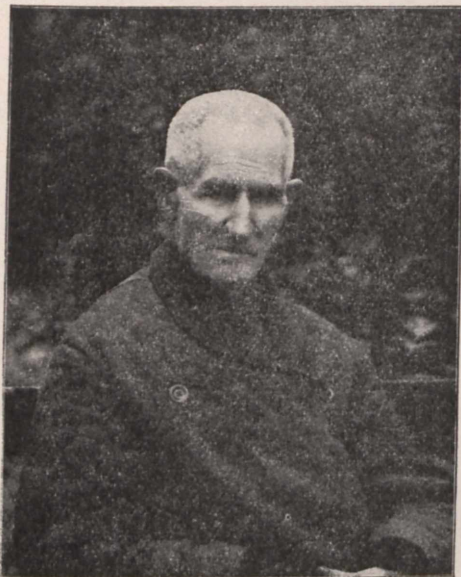
W Kolonii zmarł w 83 roku życia kardynał Fiszer, znany ze swoich wystąpień w sprawie polskiej, oraz związków chrześcijańsko-demokratycznych. Był on zwolennikiem związków zawodowych robotniczych chrześcijańskich, które to popierał a nawet sam za ich tworzeniem agitował. Ostatnimi czasy wszedł nawet z tego powodu w kolizję z Rzymem. Kurja rzymska uważała bowiem wystąpienia kardynała za zbyt klasowe, na co zwrócono mu uwagę.



Ś. p. Kardynał A. Fiszer.

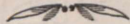
Ś. P. GAŚECKI.

Prawie ich już niema, tych dziś stuletnich, którzy walczyli w szeregach ostatniej polskiej, regularnej armii. Jeden z nich, Ignacy Gąsecki zszedł teraz do grobu. Urodzony



Ś. p. Gąsecki.

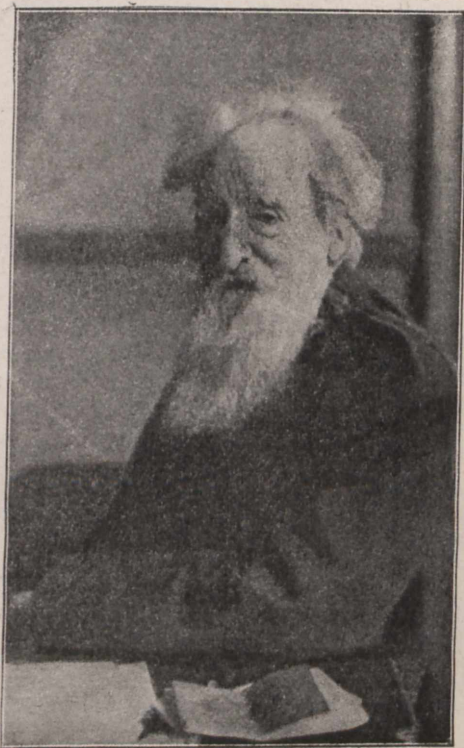
w wyszogrodzkim w r. 1805-ym, wstąpił do korpusu kadetów w Kaliszu. Po ukończeniu tegoż przeszedł do armii czynnej. Wybuch powstania zastał go w randze podporucznika 4-ego pułku piechoty. Bił się pod Grochowem, Miłosną, Ostrołęką i Kaluszynem. W jednej z potyczek raniony w piersi, uchylił się od śmierci dzięki rogatywce, którą miał pod mundurem. Po podaniu Warszawy przeszedł do Galicyi. Gdy rząd rosyjski, w obawie przed organizowaniem legionów zagranicą, ogłosił amnestyę, ś. p. Gąsecki z niej skorzystał i powrócił do kraju. Skonfiskowanego majątku nie oddano mu jednakże. Po długich zabiegach otrzymał w województwie płockiem posadę z płacą 600 zł. pol. rocznie. W roku 1864-ym musiał ze służby rządowej ustąpić. Ciężko borykał się z losem przez lat wiele, zanim doszedł do znośnego bytu i mógł założyć rodzinę i wykształcić dzieci. Zmarł w Płocku, otoczony powszechnym poszanowaniem.



Ś. P. GENERAL BOOTH
TWORCA ARMII ZBAWIENIA.

Generał Booth, twórca armii zbawienia, urodził się w roku 1826 w Nottingham. Z początku był pastorem. Ideje ewangeliczne propagował wraz z żoną swoją na ulicach Londynu, w roku 1878 zorganizował on ze swoich wyznawców „Armię Zbawienia“ i sam nazwał się generałem. Niebawem wpływ jego rozszerzył się na Francję, Belgię, Szwecję, Stany Zjednoczone, Australię, Kanadę i t. d. W roku 1890 opublikował swoje dzieło „In Darkest England“, w którym wyłożył swoje ideje reform socyalnych. Armia Zbawienia obecnie liczy 80,000 „żołnierzy“, posiada swoje oddziały w 60 miastach, dostarcza pracy 19,000 ludzi. Każdego roku wydaje 3 miliony bezpłatnych obiadów.

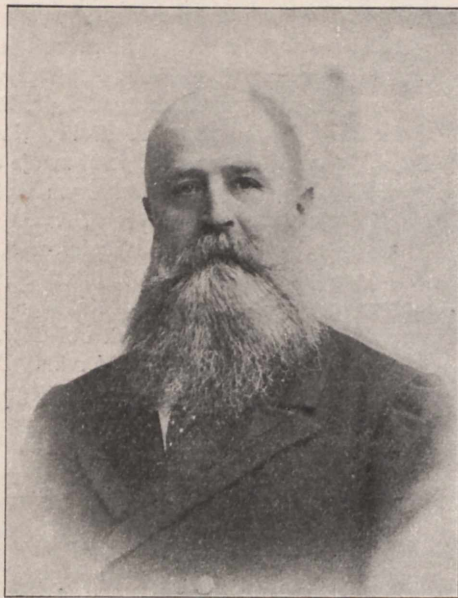
Generał Booth zmarł w 83 roku. Przed śmiercią stracił wzrok. Pogrzeb jego był uroczystością.



Generał Booth.

Ś. P. ŻDZISŁAW MARCHWICKI.

Ś. P. Żdzisław Marchwicki należał do rządu wyjątkowo zdolnych finansistów polskich. Jako dyrektor galicyjskiego Banku Krajowego, pracował on niezłomnie nad podnie-



Ś. p. Żdzisław Marchwicki.

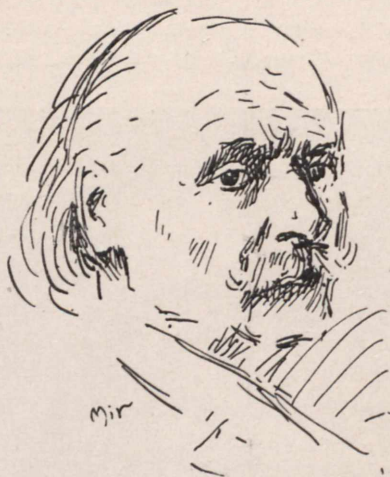
sieniem dobrobytu Galicyi. Za zasługi cesarz Franciszek-Józef mianował go dożywotnim członkiem Izby panów, a rada miasta Lwowa—honorowym obywatelem. Zmarły osierocił syna, Zdzisława, obywatela ziemskiego, oraz trzech braci: Józefa, dyrektora Banku Łódzkiego, Jana b. prokuratora sądu okręgowego w Warszawie i Stanisława, obywatela ziemskiego, oraz siostrę Maryą Konarzewską.



Ś. P. J. MASSENET.

Któż nie zna Werthera, Manon, Thais pereł współczesnego repertuaru operowego? Któż nie przypomina sobie słodkich chwil tej czarownej muzyki? Tym wszystkim, co rozkoszowali się tonami Werthera — śmierć Masseneta nasunie nie jedno westchnienie. Podobno w tece pozostało jeszcze kilka nowych oper, z których Panurge miała być wystawiona w sezonie zimowym w Pary-

żu. Massenet umarł w 70 roku życia. Umarł niespodziewanie, bo zaledwie po kilku go-



Ś. p. Massenet.

dzinach niedyspozycji. Śmierć jego w świecie muzycznym i artystycznym wywołała żal głęboki.



Ś. P. STANISŁAW MACIEJEWSKI.

Dnia 23 Sierpnia umarł skromny urzędnik Towarzystwa Ubezpieczeń, cichy poeta nie-

wy p łakanych łez ludzkich Stanisław Maciejewski. Na chleb musiał zarabiać, jako urzędnik. W wolnych z a ś chwilach pisał plastyczne „Obrazki“, które podpisywał „Halistan Marjusz“. Prawie, że w dzień śmierci wyszła z pod tłoczni jego książka: „Icki i Joski“.



W gronie kolegów pozostawił po sobie wspomnienie prawego i miłego człowieka.



Ś. P. DOBIESŁAW KRÓLIKOWSKI.

W zakładzie dla nieuleczalnych w Górze Kalwaryi zmarł 19 Sierpnia r. b. Dobiesław Królikowski, artysta malarz o wybitnym talencie. Sztuka była dlań drogą męki i boleśnego doświadczenia. Znosił on dla niej nędzę, nie mógł się jednak wyrzec służby w tym kieracie ideału; malował więc subtelne główki kobiece, które dostarczały wielu ludziom rozkoszy artystycznej, ale Królikowskiemu nie przynosiły nic okrom cierpienia. Jego „Niewolnica“, w „Haremie“, „Marzenia“, „Zapomnienia“—są przedniemi dziełami. Portrecistą dobrym był również Królikowski. Malował on między innymi portret prof. J. Chrzanowskiego. Najlepszą jednak rzeczą zmarłego jest „Nędza“. W niej wypowiedział on ogrom boleści, przez jaką przechodził.

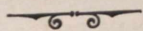
Zmarły kształcił się pod kierownictwem prof. Gersona i Al. Kamińskiego. Należał do rzędu lepszych uczniów, gdyż w r. 1883 wysłano go, jako stypendystę, do Krakowa. Wśród kolegów cieszył się sympatją, lecz był z natury samotnikiem. Zwłoki jego pochowano na miejscowym cmentarzu.

Pokój prochom jego!



Ś. P. KAROL BERENT.

Cichy i pracowity żywot zakończył w Warszawie Karol Berent, właściciel zakładu optycznego, oraz demonstrator fizyki na uniwersytecie tutejszym. Nieboszczyk przyjmował czynny udział w zawierusze roku 1863. Odznaczał się prawością charakteru, oraz rozumieniem potrzeb krajowych. Zmarły był ojcem znanego powieściopisarza, Wacława Berenta, autora „Próchna“, „Oziminy“, „Fachowca“...



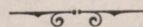
Ś. P. KAZIMIERZ STRYJEŃSKI.

Dnia 6 Sierpnia r. b. zmarł z ran odniesionych w katastrofie samochodowej we Francji (pod Dôle) Kazimierz Stryjeński, wybitny pedagog i pisarz francuski, syn emigranta—polaka i wychowaniec polskiej szkoły Batignolskiej w Paryżu. Stryjeński urodzony 1853 r. w Carouge, w Szwajcaryi. Pracę literacką rozpoczęł, jako tłumacz dzieł angielskich na język francuzki. Pierwszy zaś rozgłos dało mu wykrycie w bibliotece w Grenobli czterech nieznanych dzieł Stendhala. Od tej pory zyskuje sobie rozgłos, jako jeden z wybitnych znawców Stendhala.



Ś. p. K. Stryjeński.

Stryjeński, choć wychowany na obczyźnie, czuł się polakiem i był obrońcą naszych interesów w prasie francuskiej. Śmierć jego wyrządza nam krzywdę, gdyż mamy tak mało ludzi, coby zechcieli mówić prawdę całemu światu o losach naszych.



Ś. p. Karol Berent.

WILUŚ W SZWAJCARYI.

I

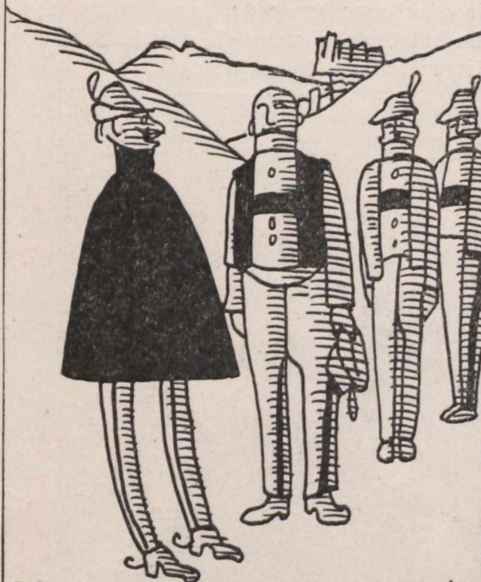


-WYJEŻDZAM DO SZWAJCARYI! PRZYGOTOWAĆ MI KOSTJUM!

SEKRETNA OCHRONA-AD HOC..



Co? wszyscy OGOLENI! DOBRZE!
A WIĘC MARSZ! PRZEBRĄC SIĘ TAM
W KOSTJUMY I JAZDA, SZUCMANY!
A LEKCJĘ PAMIĘTAĆ!



DEKLARACJA „RDZENNYCH” SZWAJCARÓW:
-NO CŃ? DOBRZE WAM W WASZYM
KRAJU? NICZEGO WAM NIEBRAK?
-BRAK NAM TYLKO RZĄDÓW WA-
SZEJ MOŚCI!



W GÓRACH.
-CŃ WY TUTAJ JADACIE, MOI POLCIC-
WI GÓRALE?
-PODŁUG ROZKAZU! WASSERZUPKĘ
I KISZKĘ GROCHOWĄ!
-TO DZIWNE! ZUPEŁNIE, JAK MOI
SZUCMANI..TO MUSI BYĆ ODWIECZNIE
NIEMIECKI KRAJ!



